3/2024

Nowa Europa Wschodnia

www.new.org.pl Kwartalnik lipiec–wrzesień 3 (89) / 2024 ISSN 1899-5543 Indeks 245534 Cena 24,90 zł (w tym 8% VAT)

Azerbejdżan na wojnie z obywatelami

Anna Żamejć

ROSJA – KRAJ DONOSICIELI

Aleksandra Archipowa

Moje pozytywne doświadczenia ze Wschodem

Andrusieczko | Kosiewski | Potocki | Włodek

Wasil Bykau – białoruski wizjoner

Joanna Bernatowicz

Kirgistan. Triumf patriarchatu

Joanna Bagadzińska

ISSN 1899-5543

eprasa.pl 15f0aae880

REKLAMA

20-22 listopada 2024
Wrocław/Wojnowice

POLSKA POLITYKA WSCHODNIA 2024

Najważniejsza konferencja o polskiej polityce wschodniej

Debaty, wykłady, prezentacje raportów

Organizator:
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego we Wrocławiu

KONFERENCJA BĘDZIE RÓWNIEŻ TRANSMITOWANA PRZEZ INTERNET

Wrocław miasto spotkań

Konferencja została dofinansowana przez MIASTO WROCŁAW

K-EW Kolegium Europy Wschodniej

New Eastern Europe

Nowa Europa Wschodnia

eprasa.pl 15f0aae880

Nowa Europa Wschodnia

eprasa.pl 15f0aae880

eprasa.pl 15f0aae880

O Wschodzie pozytywnie

O Europie Wschodniej mówi się i pisze w Polsce najczęściej w kontekście negatywnych doświadczeń. To stamtąd przychodzą do Europy konflikty zbrojne i przestępczość, to rejon świata, w którym lekceważy się prawa człowieka. Redakcja „Nowej Europy Wschodniej" postanowiła zapytać specjalistów i specjalistki zajmujące się terytorium poradzieckim o ich pozytywne doświadczenia związane z krajami byłego ZSRR. Tym, co dała im Europa Wschodnia, dzielą się: pisarka Ludwika Włodek, publicysta Michał Potocki, korespondent wojenny Piotr Andrusieczko i historyk sztuki Piotr Kosiewski. Ich spostrzeżenia mogą być źródłem optymizmu: Wschód, choć okaleczony przez wojny i dyktatorskie rządy, jest także miejscem, gdzie rodzi się wspaniała sztuka i twórczy ferment, a społeczeństwa krajów wschodnioeuropejskich są o wiele dojrzalsze od rządzących nimi elit politycznych. Piotr Andrusieczko zastrzega, że Ukraina to nie tylko „barykady i okopy", i zaznacza, że od Wschodu możemy się uczyć: „Przez wiele lat obserwowałem ukraińskich aktywistów wywierających presję na władzę, aby ta wprowadzała reformy i spełniała swoje obietnice. Ukraińscy dziennikarze od lat skutecznie patrzą na ręce urzędników i polityków. A dziennikarstwo śledcze rozwija się mimo toczącej się wojny. Kiedy to piszę, »Ukraińska Prawda« właśnie opublikowała kolejny materiał śledczy, tym razem o »wolontariuszu« jeżdżącym lamborghini, któremu wyraźnie służą zażyłe kontakty z władzami Kijowa".

W najnowszym numerze NEW publikujemy także obszerną rozmowę z antropolożką Aleksandrą Archipową. Wywiad ten pozwala zrozumieć, dlaczego podczas gdy w Ukrainie święci triumfy społeczeństwo obywatelskie, w Rosji odradza się totalitaryzm. Archipowa – jako „zagraniczna agentka" i ofiara donosu – żyje na emigracji w Paryżu i bada, dlaczego jej rodacy tak ochoczo współpracują z władzą. Tradycja donosicielstwa jest w Rosji długa i bogata. Dopóki będzie trwać, dopóty próżno oczekiwać końca putinizmu.

Redakcja

eprasa.pl 15f0aae880

Spis treści

Rozmowa numeru

Rozmowa z Eleną Wasylew **Możemy być prekursorami** 7

Publicystyka i analizy

Co dała mi Europa Wschodnia? Ankieta redakcji NEW 18
Ludwika Włodek **Swojski chaos i swojskie traumy w regionie, który nie istnieje** 18
Michał Potocki **Nic nie jest dane na zawsze** 27
Piotr Kosiewski **Dotknięcie rzeczywistości** 30
Piotr Andrusieczko **Społeczeństwo, które potrafi zmienić historię** 34

Rozmowa z Aleksandrą Archipową **Skrzyżowane palce za plecami** 38
Marcin Kaczmarski **W stronę juana** 50
Ireneusz Dańko **Cerkiew na „świętej wojnie”** 54
Anna Żamejć **Azerbejdżan. Zakazane historie** 64
Wojciech Wojtasiewicz **Gruzja. Walka o wszystko** 73
Rozmowa z Bartłomiejem Gajosem **Ukraińskie oczekiwania zbudowała Europa** 80
Henryk Jan Litwin **W obronie ruskich pierogów** 87

Kultura

Rozmowa z Joanną Bernatowicz **Jestem prostym, zmęczonym życiem Białorusinem** 91
Wasil Bykau **Długa droga do domu** 105
Rozmowa z Olgą Rusiną **Dzieci czytają wojnę** 120

Prezentacja

Milo Janáč **Miło niemiło** 127

Reportaż

Joanna Bagadzińska **Poślubię kazachską dziewczynę** 135
Maria Semenczenko **Sprawa Barczuków** 147

eprasa.pl 15f0aae880

Historia

Roman Kabaczij **Czy dekolonizacja w Ukrainie osiągnie swój cel?** 155

Recenzje

Ilona Klimek-Gabryś **Nie możemy przywyknąć** 165
O książce *Wojna 2022. Eseje, wiersze, dzienniki*
Ireneusz Dańko **Chce mi się pisać, ale trzeba kopać okopy** 167
O książce Siergieja Siergiejewicza „Sajgona" *Brud [*khaki]*
Ireneusz Dańko **Amerykanie w Bololandzie** 170
O książce Douglasa Smitha *Rosyjska misja. Zapomniana opowieść o tym, jak Amerykanie uratowali Związek Sowiecki przed upadkiem*

eprasa.pl 15f0aae880

Nowa Europa Wschodnia
Kwartalnik

Wydanie zostało dofinansowane
przez MIASTO WROCŁAW

Wrocław miasto spotkań

www.wroclaw.pl

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania. Redakcja ceni swobodę wypowiedzi i różnorodność opinii, dlatego teksty publikowane w „Nowej Europie Wschodniej" nie muszą być zgodne z poglądami Wydawcy ani Redakcji. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych bez zgody Wydawcy jest zabronione. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść zamieszczanych materiałów promocyjnych.

REDAKCJA
Łukasz Grzesiczak, Sonia Knapczyk, Małgorzata Nocuń (redaktorka naczelna), Urszula Pieczek, Ewa Polak, Krzysztof Popek, Sławomir Popowski, Zbigniew Rokita, Wojciech Wojtasiewicz, Kamila Zimnicka (korekta)

WSPÓŁPRACUJĄ: Piotr Andrusieczko, Kuba Benedyczak, Jan Brodowski, Kamil Całus, Maciej Falkowski, Wojciech Górecki, Iwona Kaliszewska, Piotr Kępiński, Wojciech Konończuk, Kamil Kłysiński, Tomasz Kobylański, Tomasz Kułakowski, Grzegorz Nurek, Piotr Oleksy, Piotr Pogorzelski, Witalij Portnikow, Jadwiga Rogoża, Ziemowit Szczerek, Andrzej Szeptycki, Marcin Wojciechowski

PRENUMERATA
prenumerata@new.org.pl
Informacja o prenumeracie:
www.new.org.pl

WINIETA I PROJEKT GRAFICZNY
Piotr Grzyb

SKŁAD, ŁAMANIE I OKŁADKA
Małgorzata Chyc | AT Wydawnictwo

ADRES REDAKCJI I WYDAWCY
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego
we Wrocławiu
Zamek Wojnowice
ul. Zamkowa 2, 55-330 Wojnowice
tel. +48 71 341 71 97
office@kew.org.pl, www.kew.org.pl

„Nowa Europa Wschodnia"
ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
redakcja@new.org.pl, www.new.org.pl

Partnerem wydania jest Fundacja Znak

Fundacja
Znak

ISSN: 1899-5543
ISSN: 2084-3992 (online)
Cena 24,90 zł (w tym 8% VAT)
Nakład 1500 egz.

eprasa.pl 15f0aae880

Możemy być prekursorami

Z Eleną Wasylew, ekspertką Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, rozmawia Urszula Pieczek

URSZULA PIECZEK: W Międzynarodowy Dzień Uchodźcy, 20 czerwca, Helsińska Fundacja Praw Człowieka opublikowała raport na podstawie historii uchodźców z Ukrainy, którzy doświadczyli naruszeń prawa międzynarodowego, w tym tortur, poniżającego traktowania, prześladowań, przemocy seksualnej czy wymuszonych zaginięć. Dlaczego Fundacja postanowiła zająć się tym tematem?

ELENA WASYLEW: W momencie wybuchu wojny w Ukrainie w 2014 roku zaczęliśmy współpracować z naszymi siostrzanymi ukraińskimi organizacjami. Już wtedy pomagaliśmy w dokumentowaniu naruszeń prawa międzynarodowego we wschodniej Ukrainie i na Krymie. A po inwazji na pełną skalę w 2022 roku, w związku z kryzysem uchodźczym, postanowiliśmy z naszymi partnerami rozpocząć takie działania w Polsce, żeby upewnić się, że świadectwa uchodźców, którzy doświadczyli naruszeń prawa międzynarodowego, są odpowiednio udokumentowane.

Z jakimi organizacjami w Ukrainie pracujecie?

Współpracujemy na przykład z Koalicją Piąta Rano, która zrzesza ponad trzydzieści organizacji. W ramach tych działań powstaje wspólna baza danych, historii, które – mamy nadzieję – w przyszłości będą służyć jako repozytorium pamięci historycznej. Ponadto, w zależności od indywidualnych przypadków i pozwoleń, udostępniamy dane organom ścigania – prokuraturom w Polsce, w Ukrainie lub Międzynarodowemu Trybunałowi Karnemu. Warto także wspomnieć o takich zespołach jak Rubikus, czyli siatkach wolontariuszy, którzy pomagają wyjeżdżać osobom z terenów okupowanych.

Wspominała Pani o organizacjach siostrzanych – Helsińska Fundacja Praw Człowieka ma swoje „odpowiedniki" w różnych krajach europejskich i rejonie Eurazji promujące ideę praw człowieka. Interesuje mnie, czy organizacje z Rosji włączają się w pracę przy dokumentowaniu

eprasa.pl 15f0aae880

rosyjskich zbrodni wojennych w Ukrainie?

Nie pomagały nam w dokumentacji ze względu na sytuację w Rosji i możliwość uznania każdej pomocy za przejaw szpiegostwa czy działania antyrosyjskiego. Trudno od tamtejszych działaczy obecnie oczekiwać, żeby się włączali bezpośrednio w pomoc ukraińskim ofiarom, chociaż są indywidualne osoby, które ryzykują wiele, żeby organizować wyjazdy z terenów okupowanych, gdzie prawa człowieka są naruszane na masową skalę. Mało osób jednak wie, że Fundacja zajmuje się także pomocą w ewakuacji obrońców praw człowieka z takich krajów jak Rosja. Sam fakt, że oni muszą szukać schronienia, świadczy o tym, że sytuacja jest bardzo skomplikowana.

Na czym polega dokumentowanie naruszeń?

Zaczęliśmy dokumentować, czyli rozmawiać z ludźmi i opisywać ich historie w sierpniu 2022 roku. Zbieranie świadectw to w dużym skrócie opisywanie historii ludzi przez pryzmat międzynarodowego prawa humanitarnego czy międzynarodowego prawa praw człowieka. Chcemy w ten sposób identyfikować naruszenia prawa międzynarodowego. Świadectwa przekazujemy odpowiednim organom, którym takie informacje mogą pomóc w śledztwie. Niektóre z osób mogą stać się świadkami w śledztwie prowadzonym przez organy ścigania w Polsce, Ukrainie czy Międzynarodowym Trybunale Karnym.

Czy te bazy danych są otwarte? Można przeczytać te historie? Czy może udostępniane są wyłącznie organom ścigania?

W Ukrainie póki co są dwie główne bazy danych, o których piszemy w raporcie. Jedną stworzyła właśnie Koalicja Piąta Rano, drugą – Trybunał dla Putina. Te bazy nie są otwarte, jednak od czasu do czasu wymienione organizacje przygotowują analizy, które mają na celu informowanie opinii publicznej o skali naruszeń prawa międzynarodowego.

Bazy nie można udostępniać, na razie tworzymy – nazwijmy to – archiwum historyczne, które może zostać ujawnione pod warunkiem odpowiednich regulacji prawnych. Musi znaleźć się ktoś trzymający nad tym pieczę i zapewniający, że ludzie, którzy się wypowiadali, znajdują się pod ochroną. Nie wszyscy chcą upublicznienia swoich historii. Można spojrzeć na przykład na bazę danych IDOC przygotowaną przez Norweski Komitet Helsiński – aby chronić pamięć o zbrodniach międzynarodowych i w celu wsparcia procesu ścigania tych zbrodni.

Jeśli dobrze rozumiem, prowadzicie pogłębione wywiady z osobami, które zaznały krzywdy, te

eprasa.pl 15f0aae880

wywiady mogą służyć sprawie karnej, ale nie są równoznaczne z przesłuchaniem. Czyli jeśli dana osoba chce być świadkiem, musi tę historię powtórzyć i tym samym naraża się na proces wtórnej traumatyzacji.

Ma Pani rację, jednak sprawa jest bardzo złożona. Jako organizacje pozarządowe chcielibyśmy, żeby organy ścigania bezpośrednio przesłuchiwały osoby, które chcą być świadkami w procesach karnych. I to jest najlepszy sposób, żeby unikać retraumatyzacji, co też leży w interesie osób pokrzywdzonych. Wiele organizacji, nie tylko nasza, dokumentuje zbrodnie wojenne – na przykład Fundacja Opora in Poland, Projekt Sunflowers czy Instytut Pileckiego, który ma świetną metodologię do opracowania wywiadów. Jednak polska procedura karna nie pozwala na to, by korzystać z tych świadectw. Procedura wymaga, by te osoby zostały przesłuchane. Jednocześnie prokuratura krajowa polega na organizacjach pozarządowych, aby dotrzeć do potencjalnych świadków i ofiar zbrodni międzynarodowych, bo brakuje im narzędzi, żeby prowadzić kampanie informacyjne i budować odpowiednie relacje.

Dziś staramy się już nie przeprowadzać pogłębionych wywiadów, zmieniliśmy metodę działania – wiemy, w jaki sposób pracuje prokuratura, chcemy dzielić się kontaktami, kierujemy osoby, które chcą być świadkami, bezpośrednio do prokuratury krajowej. Wiem, że Opora dysponuje ankietami, a projekt Sunflowers ma bazę danych, w której osoba może złożyć swoje świadectwo. Jednocześnie należy pamiętać, że część osób nie chce zeznawać w procesach karnych, ale zależy im, aby ich świadectwo zostało usłyszane i zapamiętane.

Czyli współpracujecie z prokuraturą?

Tak. W polskiej prokuraturze są osoby naprawdę rzetelnie wykonujące swoją pracę, ale i one nie mają wsparcia na przykład ze strony pracowników społecznych, którzy odpowiadaliby za kontakty z potencjalnymi świadkami i osobami pokrzywdzonymi. Potrzebni są też psychologowie, którzy zapewnią wsparcie dla świadków i osób pokrzywdzonych, bo wywiady mogą wiązać się z powtórną traumą. Ta praca wymaga zaangażowania na pełen etat, a w departamentach przestępczości zorganizowanej pracownicy mają do czynienia z jeszcze innego typu ważnymi śledztwami.

Przekazaliśmy do polskiej prokuratury świadectwa osób pokrzywdzonych, które pozostały w Polsce, historie ludzi, którzy z Polski wyjechali, opracowane według wymogów Międzynarodowego Trybunału Karnego. Polska prokuratura przesłuchała już ponad dwa tysiące osób – pytanie, na ile te zeznania są wartościowe, by

eprasa.pl 15f0aae880

wszcząć procedurę karną. Mam nadzieję, że prokuratura kiedyś poinformuje opinię publiczną o tym, jak to wszystko wygląda.

Zrobiliśmy raport na podstawie stu pięciu pogłębionych wywiadów i uznajemy, że ten raport jest bazowy, ma tematykę zbrodni międzynarodowych popełnianych na terytorium Ukrainy wprowadzić do Polski – taki był nasz cel.

Rozumiem jednak, że ukazanie tych zbrodni powinno stać się przedmiotem namysłu polskiego rządu.

Tak, chcemy przypomnieć prawodawcy i rządowi polskiemu, że wśród uchodźców są osoby pokrzywdzone w wyniku bardzo poważnych naruszeń prawa międzynarodowego, oraz uwrażliwić na ten temat polską opinię publiczną. Zależało nam także na wprowadzeniu do języka polskiego pewnych terminów z zakresu zbrodni międzynarodowych, których wcześniej nie mieliśmy w polszczyźnie. Najważniejszy jednak punkt dotyczy tego, że chcemy angażować się w działania rzecznicze, żeby zapewnić dostęp do wymiaru sprawiedliwości dla uchodźców pokrzywdzonych w wyniku zbrodni międzynarodowych.

Czy po 2022 roku powstały jakieś struktury, zaproponowano regulacje w tym temacie? Wojna wybuchła w 2014 roku, a opinia publiczna, politycy nazywali ją konfliktem, jednak teraz wszystkich dotyczy kryzys polityki migracyjnej, zbrodnie obserwujemy na bieżąco – chyba wszyscy widzieli zdjęcia z Mariupola lub Buczy.

Zanim odpowiem na to pytanie, chcę zwrócić uwagę, że osoby pokrzywdzone w wyniku poważnych naruszeń prawa międzynarodowego, takich jak tortury, przemoc seksualna czy wymuszone zaginięcia, nie mają możliwości domagania się sprawiedliwości przed polskimi sądami.

Co to znaczy?

Prokuratura krajowa prowadzi śledztwo w przedmiocie wojny napastniczej Rosji przeciwko Ukrainie i popełnionych w jej trakcie zbrodni wojennych, ale to śledztwo jest jakby komplementarne do śledztwa prowadzonego w Międzynarodowym Trybunale Karnym lub w Ukrainie. Zbieramy materiały dowodowe w Polsce, zabezpieczamy je, ale nie będziemy tych zbrodni sądzić w Polsce. Dlaczego?

Czy jest w ogóle odpowiedź na to pytanie?

Jako Helsińska Fundacja Praw Człowieka zaczęliśmy zadawać pytanie, dlaczego to jest niemożliwe, żeby w Polsce sądzić zbrodnie międzynarodowe. Teoretycznie, według prawa,

eprasa.pl 15f0aae880



Archiwum Eleny Wasylew

Chcemy przypomnieć prawodawcy i rządowi polskiemu, że wśród uchodźców są osoby pokrzywdzone w wyniku bardzo poważnych naruszeń prawa międzynarodowego, oraz uwrażliwić na ten temat polską opinię publiczną.

kraje mają taki obowiązek. Międzynarodowy Trybunał Karny odgrywa rolę komplementarną – zajmuje się zbrodniami, kiedy państwa nie mogą albo nie chcą tego robić.

Największą część śledztw w temacie zbrodni popełnianych przez Rosjan prowadzi Ukraina. Ale przecież są kraje, które w ramach uniwersalnej jurysdykcji zajmują się śledztwami. Bardzo często osoby pokrzywdzone czy świadkowie to uchodźcy, którzy nie mogą wrócić do Ukrainy – na przykład dlatego, że trauma związana ze zbrodniami, jakich doznali w ojczyźnie, jest zbyt trudna.

Polska ma specyficzną historię i cały system prawa międzynarodowego tak naprawdę jest bardzo mocno powiązany z historią Holokaustu, agresji, opresji, której doświadczyliśmy i byliśmy jej świadkami. Znajdujemy się też w bezpośrednim sąsiedztwie wojny. Dlatego wydaje nam się uzasadnione, żeby właśnie Polska zajęła się tym tematem.

eprasa.pl 15f0aae880

I wcale nie chodzi o to, żeby obciążać nasz system tysiącami spraw. Będzie ich niewiele, ale będą miały ogromne znaczenie dla wszystkich pokrzywdzonych uchodźców i także znaczenie symboliczne dla nas jako społeczeństwa, które nie godzi się na popełnianie zbrodni międzynarodowych.

Czy inne kraje się nimi zajmują?

Belgia, Norwegia, Hiszpania – tak, wymieniamy się na poziomie europejskim informacjami na temat śledztw, Polska także je wspomaga. W raporcie mówimy, że Polska powinna rozważyć prowadzenie jurysdykcji uniwersalnej w pewnym wymiarze. Nie twierdzę oczywiście, żeby sądzić wszystkich, a istnieje już zespół, który się tym zajmuje. Dlaczego więc nie postawić kropki nad „i"?

O jakim zespole Pani mówi?

Jako Fundacja wsparliśmy przygotowanie analizy „Efektywne ściganie zbrodni międzynarodowych w Polsce: konieczne zmiany w polskim systemie prawnym i w podejściu do międzynarodowego prawa karnego" dla polskiego prawodawcy, którą opracowały wybitne akademiczki, specjalistki do spraw prawa międzynarodowego: dr hab. Patrycja Grzebyk, dr Kaja Kowalczewska, dr hab. Karolina Kremens, prof. Hanna Kuczyńska, dr hab. Karolina Wierczyńska. Tę analizę można znaleźć na naszej stronie, to lista sześćdziesięciu sześciu rekomendacji dla naszego prawodawcy. Mam nadzieję, że uda nam się o tym porozmawiać z przedstawicielami naszego rządu.

To naprawdę paląca kwestia, biorąc pod uwagę fakt, że Polska jest krajem najbardziej narażonym na negatywne skutki kryzysu polityki migracyjnej. Z jednej strony mierzymy się ze względu na sąsiedztwo ze zbrodniami popełnianymi w Ukrainie przez Rosjan, z drugiej – nie można bagatelizować migracji osób, które uciekają z innych części świata i szukają w Europie – przez Polskę – azylu.

Cieszę się, że Pani to powiedziała.

Czy istnieją dobre praktyki w innych krajach, z których możemy czerpać?

Wiemy na przykład, że w Norwegii osoby uchodźcze są na wstępie przesłuchiwane przez policję pod tym właśnie kątem, udziela się im kompleksowego wsparcia. W Holandii czy Finlandii, czyli w państwach, które – wydawałoby się – mają to ogarnięte, zdarzają się problemy, bywa różnie. Na lepszym poziomie są oczywiście kraje, które od zawsze miały wielu uchodźców, mają więcej doświadczenia.

eprasa.pl 15f0aae880

Jednak nie chcę Polski krytykować, bo myślę, że powinniśmy wyjść z mentalności, że ktoś nas musi czegoś nauczyć. W tej dziedzinie mamy szansę być prekursorami. Mogę tylko wyrazić nadzieję, że uda nam się w najbliższych tygodniach czy miesiącach doprowadzić do tego, żeby przy stole usiedli eksperci i porozmawiali już o konkretnych zmianach. Jeszcze raz podkreślę – organy ścigania są naprawdę rzetelne, zmotywowane. Póki jest wsparcie z zagranicy, to warto z tego skorzystać.

Rozumiem, że to też istotne ze względu na przeciążenie strony ukraińskiej.

Prokuratura ukraińska bardzo ceni sobie, kiedy inne kraje zajmują się uniwersalną jurysdykcją, bo to zwiększa wiarygodność postępowań karnych prowadzonych w Ukrainie. W skrócie – nie tylko Ukraina sądzi zbrodnie międzynarodowe popełnione przez Federację Rosyjską.

A co z osobami pokrzywdzonymi?

Właśnie chciałam do tego punktu wrócić. Tak jak powiedziałam, są w Polsce fantastyczni eksperci międzynarodowego prawa karnego, którzy przy odpowiednim klimacie mogą doprowadzić do zmiany systemu prawnego w tym zakresie. Jednak chcę zwrócić uwagę na coś innego – problem z prawem karnym jest taki, że w prawie karnym ściga się zbrodniarzy, a mniej myśli się o osobach pokrzywdzonych.

Co z osobami głęboko straumatyzowanymi, z obrażeniami po doznanych torturach, które przyjeżdżają do nas na przykład z Ukrainy? Nasze państwo nie ma odpowiednich procedur, które pozwalałyby na rehabilitację tych ludzi. Przecież to oczywiste, że często potrzebują oni pomocy lekarskiej, psychologicznej, ekonomicznej. Aktualnie staramy się doprowadzić do tego, żeby osoby, które są do nas kierowane, albo te, z którymi rozmawiamy, dostały wsparcie w związku z konsekwencjami przestępstw, których doświadczyły.

Dam Pani przykład – trafił do nas mężczyzna z Ukrainy, który był torturowany i przetrzymywany w piwnicach, został tak pobity, że uszkodzono mu zęby, bardzo bolała go szczęka, ma zaburzenia widzenia, ale on nie prosił nas o żadną pomoc. To jest specyfika tych ludzi, że oni nawet nie zdają sobie sprawy z tego, że mają jakieś prawa.

Czują, że nie mają praw, skoro są pokrzywdzeni. Jak się skończyła historia tego mężczyzny?

Zadzwonił do NFZ-u w Polsce, żeby poprosić o wizytę u stomatologa lub protetyka, dostał termin na kolejny rok. Zadzwoniliśmy tam z Fundacji z prośbą o przyspieszenie sprawy. Otrzymaliśmy informację, że jeżeli

eprasa.pl 15f0aae880

nie jest to osoba z pełną niepełnosprawnością albo honorowy dawca krwi, to nie ma w polskim NFZ-cie żadnych przesłanek ku temu, żeby ten mężczyzna mógł się dostać do lekarza szybciej. Czyli to znaczy, że trzeba iść prywatnie, a to wiąże się z kosztami.

Staramy się znaleźć, dopóki to jeszcze możliwe, organizacje pozarządowe czy zagraniczne, które będą w stanie przynajmniej część tych kosztów związanych z rehabilitacją czy wsparciem medycznym pokryć, ale to jest bardzo trudne.

A czemu Pani powiedziała, że takie wsparcie, taka pomoc są „jeszcze możliwe"?

To naturalne dla każdych miejsc z kryzysem humanitarnym. Po każdym roku standardowo ta pomoc finansowa się zmniejsza. To może być do około 50 procent rocznie. I to ma sens, bo pierwszy rok kryzysu jest zazwyczaj najważniejszy, później przychodzi stabilizacja, a potem przekształca się to w pomoc długofalową. Redukcja środków na pomoc humanitarną oznacza bardziej ograniczone zasoby dla organizacji pozarządowych. Dlatego tak ważne jest, żeby organy państwowe wzięły odpowiedzialność za zapewnienie odpowiedniego wsparcia najbardziej wrażliwym grupom, w tym osobom pokrzywdzonym w wyniku działań wojennych.

Fundacja mówi o tym od wielu lat – już w samej konwencji w sprawie zakazu stosowania tortur rekomenduje się rządom, żeby zapewniły dostęp do opieki medycznej, psychologicznej i społecznej osobom pokrzywdzonym, aby zaradzić konsekwencjom przestępstwa. Trudno złościć się na lekarzy czy pracowników ZUS-u, bo oni często chcieliby pomóc, ale nie mają takiej możliwości w swoich procedurach. I znowu, to nie jest tak, że my chcemy, żeby nagle polski system socjalny się dramatycznie obciążył, bo osób, które doświadczyły tortur i innych poważnych naruszeń, nie jest wiele, ale to nie znaczy, że nie powinno być dla nich systemowego wsparcia. Nie rozumiem, dlaczego polski system prawny jest tak mało wrażliwy na rozumienie sprawiedliwości. To nie jest tak, że leczymy jedynie jednostkę, konsekwencje zbrodni przekładają się na rodziny, bliskich, na społeczeństwo. Taki rodzaj pomocy jest pragmatyczny – ludzie nawet pokrzywdzeni mogą budować zdrowe społeczeństwo.

W przygotowanym przez Fundację raporcie zaskoczyło mnie, że naruszeniem prawa międzynarodowego jest ograniczenie prawa do poruszania się. Co to właściwie znaczy?

Okupant, czyli władze okupacyjne, mają zobowiązania w ramach

eprasa.pl 15f0aae880

międzynarodowego prawa humanitarnego. To nie jest tak, że oni mogą przyjąć jakiekolwiek prawa i robić cokolwiek na terenach, które okupują. Powinni trzymać się pewnych zasad – na przykład muszą zapewnić działanie instytucji, wypłaty emerytur, wywożenie śmieci itd. Ograniczenie praw człowieka podczas wojny też ma swoje ramy. Ograniczenie, jeśli do niego dojdzie, musi być proporcjonalne i uzasadnione.

Jeśli Rosjanie wprowadzają punkty kontrolne, które są dla nich logiczne, na przykład ze względów bezpieczeństwa, to nie mogą nagminnie zmuszać ludzi do zdejmowania ubrań, przeszukiwać ich telefony, zastraszać i poniżać. To naruszenie prawa międzynarodowego tak samo jak zmuszanie do przyjęcia obywatelstwa kraju okupacyjnego. Okupacja z definicji ma być tymczasowa, okupant powinien się wycofać po zakończeniu działań wojennych. Ograniczanie przemieszczania się jest na samych terenach okupowanych związane z filtracją, która jest narzędziem represji. Na początku filtracja „pomagała" identyfikować na przykład członków armii ukraińskiej, dziś zmieniła się w system zastraszania i zmuszania do przyjęcia rosyjskich paszportów. Okupant chce całkowitego podporządkowania się polityce rusyfikacji. Ludzie zmuszani są do korzystania z paszportów rosyjskich, ponieważ bez nich nie mogą się przemieszczać, wypłacać pieniędzy, pobierać emerytur itd.

Według prawa nie można zmusić do służby okupantowi. Rozumiem, że jeżeli przyjmie się paszport rosyjski, to jakby ta sytuacja się zmienia.

Już samo zmuszanie do przyjęcia paszportu jest nielegalne i oczywiście to ma potem szereg konsekwencji. Są też inne problemy. Rosja od początku wojny, co już jest udokumentowane, dokonywała przymusowych przesiedleń ludności. Najgłośniejsze są przymusowe przesiedlenia dzieci i w tej sprawie jest prowadzone śledztwo w Międzynarodowym Trybunale Karnym.

W naszym raporcie udokumentowaliśmy przypadek kobiety, która była przymusowo przesiedlona do Rosji z ośrodka dla osób z niepełnosprawnością. Nie miała żadnego wpływu, nikt nie pytał ich o zgodę – wywieziono ich w sposób zorganizowany do Rosji, umieszczono w ośrodku i zmuszano do przyjęcia paszportu.

Jest też kwestia osób, które nie chcą się poddać polityce rusyfikacji, które nie chcą, żeby ich dzieci chodziły do rosyjskich szkół. Niektórzy postanawiają uciekać, a to nie jest łatwe – takie stowarzyszenia jak Rubikus kierują je niebezpiecznymi drogami przez tereny okupowane, Rosję, Białoruś, bo inaczej nie da się

eprasa.pl 15f0aae880

przejechać. Czasem to zajmuje kilka miesięcy. To nie jest tak, że ucieczka z Ukrainy jest prosta, bo Ukraina graniczy z Unią Europejską. Tereny okupowane są naprawdę niebezpieczne i obarczone olbrzymim ryzykiem. Czasem zastanawiam się, skąd ci ludzie biorą siłę, determinację i odwagę, żeby się podjąć ucieczki.

A jeśli chodzi o przemoc seksualną? Czy ścieżka udowodnienia nadal jest tak trudna?

To zależy, w jakim kraju. Jeżeli chodzi o prawoznawstwo, decyzje trybunałów i sądów międzynarodowych, to mamy bardzo dobrze rozwiniętą praktykę. Przemoc seksualna w czasie wojny jest już zakwalifikowana w różnych sprawach jako zbrodnia wojenna, w niektórych przypadkach jako zbrodnia przeciwko ludzkości, nawet w jednym przypadku w Rwandzie jako ludobójstwo. Metodologia pracy z osobami ocalałymi, rozumienie wpływu zbrodni na tle seksualnym na zdrowie fizyczne, psychiczne, a także rozumienie stygmatyzacji są na dobrym poziomie.

Zmieniła się też definicja gwałtu – to nie tylko penetracja, ale cały szereg zachowań.

Nie wiem, czy się o tym pamięta, ale w Bośni i Hercegowinie osobą odpowiedzialną za pierwszy monitoring gwałtu i innych przestępstw związanych z przemocą na tle seksualnym był premier Tadeusz Mazowiecki. To on pełnił funkcję sprawozdawcy ONZ i na podstawie monitoringu, który przeprowadził kierowany przez niego zespół ekspercki, oszacowano, że w Bośni i Hercegowinie około 50 tysięcy osób doświadczyło gwałtu i przemocy seksualnej podczas wojny.

Polskie instytucje na przykład nie chcą być porównywane do Bośni czy do Kosowa, bo uważają, że są bardziej rozwinięte, ale wydaje mi się, że jednak tamtejszy system jest o wiele wrażliwszy na perspektywę i potrzeby osób pokrzywdzonych w wyniku gwałtów wojennych, tortur i innych zbrodni. Do tego trzeba mieć odpowiednie definicje w prawie, organy ścigania powinny być przygotowane. To nie jest proste dla osoby, która doświadczyła gwałtu, żeby zdecydować się na zeznania. Trzeba wziąć pod uwagę wstyd, strach przed rozpoznaniem (a to przecież przestępca powinien odczuwać wstyd!), a później traumę i lęk przed tym, że oprawca może się pojawić i ukarać mnie za to, a inni będą mnie wytykać palcami.

W Ukrainie dużo się o tym mówi. Działa na przykład taka organizacja jak Sema Ukraina, w ramach której od 2014 roku kobiety walczą o prawa i pamięć o swoich koleżankach, współtowarzyszkach z niewoli, z terenów okupowanych. Teraz w Ukrainie powstał program pilotażowy dla pięciuset ocalałych, żeby zapewnić im kompleksowe wsparcie i repara-

eprasa.pl 15f0aae880

cje. Mam nadzieję, że ten program zmienia się w systemowe rozwiązanie dla tysiąca osób, które doświadczyły przemocy seksualnej związanej z wojną w Ukrainie.

Na koniec poproszę Panią o główne rekomendacje dla Polski.

Są trzy. Po pierwsze, doprowadzić do tego, by oddział w polskiej prokuraturze miał odpowiednie zaplecze do zajmowania się ściganiem zbrodni międzynarodowych. Po drugie, należy przeprowadzić analizę polskiego systemu prawnego, żebyśmy mogli efektywnie ścigać zbrodnie międzynarodowe, w tym rozważyć sądzenie tych zbrodni przed polskimi sądami, biorąc pod uwagę kontekst. Po trzecie zaś, uwrażliwić nasz system na to, żeby osoby, które zostały poddane najpoważniejszym naruszeniom prawa międzynarodowego, niezależnie od tego, jakiej są narodowości, miały dostęp do kompleksowego wsparcia, żeby mogły sobie poradzić z destruktywnymi konsekwencjami zbrodni.

Raport „W poszukiwaniu sprawiedliwości. Prawa osób, które doświadczyły naruszeń prawa międzynarodowego w czasie agresji Federacji Rosyjskiej przeciwko Ukrainie" można przeczytać bezpłatnie na stronie hfhr.pl

Elena Wasylew jest koordynatorką ds. rzecznictwa w zespole Eurazji Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. Od lat zajmuje się monitorowaniem naruszeń prawa międzynarodowego podczas konfliktów zbrojnych i sytuacji osób pokrzywdzonych. Pracowała dla szeregu organizacji międzynarodowych i pozarządowych, takich jak Amnesty International, Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, Biuro Wysokiego Komisarza ds. Praw Człowieka i Lekarze bez Granic.

eprasa.pl 15f0aae880

Co dała mi Europa Wschodnia?
Ankieta redakcji NEW

Swojski chaos i swojskie traumy w regionie, który nie istnieje

Ludwika Włodek

Uwiera nas ciągłe poczucie, że musimy na swoją europejskość zasłużyć, udowodnić, że mimo słabszej siły nabywczej, trudno wymawialnych nazwisk i dziwnego akcentu jesteśmy tak samo mądrzy, odważni, a przede wszystkim godni szacunku, jak Niemcy, Francuzi, Włosi czy Anglicy.

Otrzymałam zadanie, żeby napisać o tym, co dała mi Europa Wschodnia. Tak jak zawsze, zanim zaczęłam jakiekolwiek wymierne działania, zbieranie materiałów, czytanie tekstów, długo po prostu myślałam o tym, co mam napisać. I właśnie w tym okresie wyświetlił mi się na Instagramie filmik Evaldasa Karosasa, litewskiego komika i stand-upera, który od kilku lat robi karierę w Londynie. Treść skeczu Karosasa wskazuje na to, że sztuczna inteligencja już nie tylko przegląda nasze maile i podsłuchuje rozmowy telefoniczne, ale czyta nam w myślach.

„Nawet wschodni Europejczycy nie lubią być w Europie Wschodniej" – zagaja ze sceny Karosas. – Litwini pytani o to, czy Litwa to Europa Wschodnia, odpowiadają: ależ nie, Litwa to przecież Europa Północna! Europa Wschodnia to Rumunia. Ale Rumuni wtedy mówią, my jesteśmy Europą Południową, Europa Wschodnia to Polska. Jednak okazuje się, że Polacy uważają, że Polska to Europa Środkowa. To kto jest w Europie Wschodniej? Na pewno Japonia. Albo Japonia, albo Europa Wschodnia nie istnieje!"

Po tych słowach komika na widowni wybuchają oczywiście salwy śmiechu. Myślę, że to dlatego, że w tych kilku zdaniach Karosas uchwycił nasze regionalne kompleksy i snobizmy. Każdy tu, w Europie Wschodniej, do czegoś aspiruje. Każdy chce

eprasa.pl 15f0aae880

być lepszy niż sąsiedzi, każdy ma potrzebę udowodnić, że został do tego regionu zakwalifikowany przypadkiem, w wyniku wyjątkowo perfidniej niesprawiedliwości dziejowej.

***

Dyskusja o Europie Wschodniej to trochę rewers dyskusji o Europie Środkowej. Europa Wschodnia to salon odrzuconych dla tych, którzy nie załapali się do bardziej prestiżowych gremiów. I ci odrzuceni tworzą sobie inne grupy ratunkowe, jak Europa Bałtycka czy kraje basenu Morza Czarnego, do których dokooptowują lepsze, niejako nobilitujące ich towarzystwo.

Warto może zapytać, dlaczego tak bardzo nie lubimy samych siebie, dlaczego tak zależy nam na budowaniu jakichś alternatywnych tożsamości? Zanim rozwinę ten wątek, nie mogę się powstrzymać, żeby nie przytoczyć jeszcze jednego skeczu Karosasa.

„Wiem, że Europa Wschodnia nie jest najfajniejszym miejscem pochodzenia – przyznaje komik. – Ile razy mówię ludziom, skąd jestem, nigdy nie pytają mnie, dlaczego mieszkam w Londynie. Zamiast tego mówią: masz szczęście, udało ci się. Ile razy zdradzałem dziewczynie, z którą się umówiłem, skąd jestem, ona robiła mi ghosting [dla mniej wtajemniczonych w angielskie nazwy związane z relacjami uczuciowymi: ghosting jest wtedy, gdy ktoś nagle przestaje się do nas odzywać, nie odpisuje na wiadomości, nie odbiera telefonów, po prostu znika jak duch z naszego życia]. Raz jednak spotkałem dziewczynę, która już na początku powiedziała mi, że uwielbia facetów z Europy Wschodniej. I wtedy to ja ją zghostingowałem. Nie mam czasu spotykać się z jakąś wariatką. No kurczę, dziewczyno, miej jakieś standardy. Nie chcę być w relacji z kimś, kto nie ma za grosz poczucia własnej wartości!"

Dyskusja o Europie Wschodniej to trochę rewers dyskusji o Europie Środkowej. Europa Wschodnia to salon odrzuconych dla tych, którzy nie załapali się do bardziej prestiżowych gremiów.

Śmieszne? No raczej. W czym jak w czym, ale w autoironicznym, nieco czarnym humorze, my, wschodni Europejczycy, jesteśmy naprawdę nieźli. Po tych dwóch skeczach myślę, że Karosas ociera się o geniusz. Mógłby być naszym wschodnioeuropejskim wieszczem, wieszczem na miarę naszych czasów oczywiście! Podobnie jak kiedyś Adam Mickiewicz czy Iwan Franko, tak dziś Karosas potrafi oddać kwintesencję tego, z czym my wszyscy w naszych wschodnioeuropejskich sercach się borykamy.

eprasa.pl 15f0aae880

A co to takiego? Co nas frasuje, napawa smutkiem, uwiera i mąci naszą radość życia? Ano ciągłe poczucie, że musimy na swoją europejskość zasłużyć, udowodnić, że mimo słabszej siły nabywczej, trudno wymawialnych nazwisk i dziwnego akcentu jesteśmy tak samo mądrzy, odważni, a przede wszystkim godni szacunku, jak Niemcy, Francuzi, Włosi czy Anglicy. Kompleks niższości pomieszany z kompleksem wyższości. Bo jednocześnie jesteśmy przekonani, że mamy trudniej, że bardziej musieliśmy się starać i że gdyby Francuzom czy Anglikom przyszło żyć w takich warunkach jak my, wypadliby znacznie gorzej. Nie poradziliby sobie zarówno z gospodarką niedoboru czasów realnego socjalizmu, jak i z chaosem okresu transformacji czy imperialnymi ambicjami Rosji.

Lekki chaos, nadmiar swobodnie urządzonej przestrzeni, nonszalancję w jej zagospodarowywaniu, tak charakterystyczną dla Europy Wschodniej, uznaję za swoją. Czy to w Wilnie, czy Lublinie, czy w Konstancy czuję się swojsko. Lubię, jak ktoś trochę za głośno mówi, jak nie do końca przestrzega reguł i zawsze wierzy, że jakoś to będzie.

Opisując problemy, które nękają Europę Wschodnią, trochę mimochodem zdradzam zakres geograficzny tego obszaru. Zanim jednak zmierzę się z tym arcytrudnym, jak wykazał Karosas, zadaniem zdefiniowania, czym jest Europa Wschodnia, jeszcze przez chwilę zostanę przy wiecznym poczuciu niedocenienia, jakie charakteryzuje mieszkańców tego regionu.

To typowe dla wszystkich mieszkańców peryferii, a Europa Wschodnia, co by nie mówić, jest obszarem peryferyjnym. Jeśli komuś termin peryferia uwłacza, może ładniej ją nazwać pograniczem, ale w gruncie rzeczy na to samo wyjdzie. Pogranicze jest o tyle lepsze, bo dokładniej oddaje naszą sytuację znajdowania się pomiędzy dwoma centrami cywilizacyjnymi – Moskwą z jednej strony, a Zachodem z drugiej. To centrum, nieważne czy lubiane, czy bardziej znienawidzone, jest dla peryferii czy też pogranicza punktem odniesienia. Wyznacza tendencje, narzuca mody i standardy. Musimy się do nich odnieść, czy nam się podoba, czy nie, nawet jeśli to odniesienie będzie polegało na totalnym odrzuceniu.

I stąd właśnie bierze się często tłumione, jakby podskórne poczucie, że na uwagę świata musimy pracować ciężej niż ci, którym przyszło tworzyć centra. Że czegokolwiek byśmy nie zrobili, i tak nas będą porównywać z tymi większymi, bardziej znanymi. Co z tego, że Warszawa czystsza niż Londyn i Paryż razem wzięte? Co z tego, że we Lwowie wszystkie menu już się sczytuje z kodów QR, a w Wilnie łatwiej się obyć bez gotówki niż w Bernie czy Rzymie, jak i tak powiedzą: o, macie tu nowocześnie jak na Zachodzie. W drugą stronę zresztą to samo. Kiedy PiS wcielał w ży-

eprasa.pl 15f0aae880

cie swój autorski projekt demokracji patriotycznej, wytykano mu, że zmierza w kierunku moskiewskich standardów.

***

Ale czas już rozwikłać zagadkę, czym jest Europa Wschodnia. Bez tego dalej ani rusz. Oczywiście dowcip Karosasa nie byłby taki śmieszny, gdyby wszystkie wymienione przez niego kraje Europą Wschodnią nie były.

A więc po kolei. Litwa na pewno tak. A jak Litwa, to przecież i Łotwa, i Estonia. To skoro Estonia, to bardziej położona od niej na zachód Białoruś zapewne też. Skoro Białoruś, to i Ukraina. Z Ukrainy już rzut beretem do Rumunii, Rumunia więc też. A jak Rumunia, to i Mołdawia, no i Bułgaria. Ale czy Bułgaria to już nie są Bałkany? Dalej na zachód jest jeszcze większy problem, Serbia może i jest, choć trochę Europą Wschodnią, ale niegdyś będące z nią w jednym państwie Chorwacja i Czarnogóra już na pewno nie, zwłaszcza Chorwacja. Co dopiero mówić o Słowenii, ta nawet nie chce być Bałkanami. Toż to Austria jest, a choć *Österreich* tłumaczy się jako państwo na wschodzie, to Austria w dzisiejszym rozumieniu tego słowa Europą Wschodnią jednak nie jest.

Zostawmy więc byłą Jugosławię z jej kłótniami o to, kto jest Bałkanami, a kto nie, i idźmy dalej na północ. Co więc z Węgrami? No nie, Węgry należą do bardziej nobliwego grona, są przecież kwintesencją Europy Środkowej, gdzież te Węgry z ich czerwoną dachówką i dyskretnym porządkiem architektonicznym miałyby być w tym samym regionie rozpasanej pastelozy, blach Pruszyński, wielkich szyldów i tymczasowych konstrukcji z pustaków oraz drewnianych chat z wstawionymi naprędce plastikowymi oknami, co Rumunia, Ukraina i Polska? Ach, napisałam Polska, no więc właśnie klamka zapadła. Na pohybel polskim kompleksom, jesteśmy Europą Wschodnią, nawet ten galicyjski skrawek byłej Austrii w postaci Krakowa i okolic nas przed wschodnioeuropejskością nie uratuje.

No więc Polska. Ale jeszcze ktoś nam został. Mały, piękny kraj, nieśmiało klei się do swojego dawnego partnera, Czech, które oczywiście Europą Wschodnią nie są, ach gdzieżby tam, najbardziej uprzemysłowiony kraj Austro-Węgier, najgęstsza sieć kolejowa w Europe. No ale Słowacja? Bo to o niej oczywiście mowa. Tu już sprawa nie jest taka oczywista. Jeszcze Bratysława, dawny Preszburg, przedmieścia Wiednia niemalże, od bycia Europą Wschodnią odżegna się z łatwością. Jeszcze Koszyce nawet, toż to prawie Węgry. Ups, stop węgierskiemu rewanżyzmowi! Ale wiecie, co mam na myśli. Bardziej na wschód już sprawa jest oczywista. Na litość, Bardejów, Preszów… toż to taka sama Europa Wschodnia jak Dukla czy Truskawiec. Zwłaszcza Preszów. Rusiński Prajszew, tam przecież cerkwi jest prawie tyle samo co kościołów.

eprasa.pl 15f0aae880

Na dodatek Preszów był stolicą efemerycznej Słowackiej Republiki Rad w 1919 roku. I znowu grząsko, bo Węgierska Republika Rad też była, i to wcześniej, zaraz powie jakiś mądrala, dajmy spokój tym wyliczankom, tak nigdy nie skończymy. Arbitralnie uznajmy Słowację za Europę Wschodnią i idźmy dalej. Czy mamy już wszystko? Cały ten elitarny klub, do którego nikt nie chce należeć? Czyżby? A co z Rosją?

***

Trudne pytanie, wiem, ale musiało paść. Pracuję w Studium Europy Wschodniej. Jednostce uniwersyteckiej, gdzie uczymy o krajach byłego Bloku Wschodniego. Studenci zapisują się na specjalizacje, które podzielone są według regionów. U nas specjalizacja „Europa Wschodnia" obejmuje Ukrainę, Białoruś, Mołdawię i kraje bałtyckie: Litwę, Łotwę i Estonię. „Europa Środkowa" to Rumunia, Węgry, Czechy i Słowacja. Wszystko, co na południe od Rumunii, to Bałkany. Rosja jest osobno.

Co ciekawe, kwalifikowanie lub niekwalifikowanie Rosji do Europy Wschodniej zależy od tego, z jakiego punktu widzenia jest rozpatrywane. Dla Zachodu – szeroko pojętego, bo od Niemiec do Stanów Zjednoczonych – Europa Wschodnia kończy się na Uralu. No ale nie u nas. Rzadko kiedy jakiś Polak czy Litwin nazwie Rosję Europą Wschodnią, zwłaszcza jeśli sam już porzuci marzenia o byciu z Europy Środkowej czy Północnej. Możemy już być tą Europą Wschodnią, ale pod jednym warunkiem – że Rosja to Eurazja, nie żadna Europa Wschodnia.

W takim rozumowaniu zresztą przodują Ukraińcy. Nikt tak dobrze nie tropi azjatyckich powiązań kultury rosyjskiej jak oni, no może jeszcze Kazachowie. W czasie rewolucji godności, na przełomie 2013 i 2014 roku, w internecie pojawiło się mnóstwo ukraińskiej produkcji memów wypominających Rosjanom ich azjatyckość. Porównywano słowa na zasadzie: we wszystkich słowiańskich językach pieniądze brzmią podobnie, a po rosyjsku „dien'gi" i, patrzcie państwo, nie przypadkiem, kazachska waluta nazywa się „tenge" (Chorwaci robią zresztą podobne rzeczy z Serbami, szukają turkizmów w języku serbskim). Wszystkie te działania mają oczywiście udowodnić, że jedynym prawowiernym spadkobiercą Rusi Kijowskiej jest Ukraina, a Rosja to bękart Złotej Ordy i jakichś nic nieznaczących ugrofińskich książtewek.

Kazachowie też łączą kulturę rosyjską z Wielkim Stepem. Głównie po to, żeby udowodnić Rosjanom, przyjmującym wobec nich z upodobaniem postawę Wielkiego Brata, że się trochę jednak mylą, bo to Kazachowie mają dłuższe tradycje polityczne i znamienitszych przodków niż potomkowie ich pomniejszych wasali. Ten dyskurs bardzo zbliżył do siebie Ukraińców i Kazachów. Od 2014 roku w wielu księgarskich witrynach w Ukrainie widziałam książkę napisaną jeszcze w czasach sowieckich, w połowie lat siedemdziesiątych, przez kazachskiego pisarza Ołżasa Sulejme-

eprasa.pl 15f0aae880

nowa – *Az i ja*. Sulejmenow udowadniał w niej, że kultura ruska czerpała z kultury koczowników Wielkiego Stepu. Zamachnął się nawet na taką świętość jak *Słowo o pułku Igora*. Argumentował, że ten znamienity zabytek staroruskiej literatury jest kopią turkijskich eposów o bohaterach historycznych, napisaną przez dwujęzycznego autora dla dwujęzycznych czytelników, żyjących w mieszance kultur ruskiej i połowieckiej. Kosztowało go to konfiskatę książki i wycofanie jej ze sprzedaży. Gdyby nie interwencja samego pierwszego sekretarza KC Kazachskiej Partii Komunistycznej w Moskwie, Dinmuhammada Kunajewa, kto wie, czy Sulejmenow nie skończyłby w więzieniu (co ciekawe, *Az i ja* została napisana po rosyjsku, podobnie jak większość, znakomitych zresztą, wierszy Sulejmenowa).

Można wytykać błędy metodologiczne Sulejmenowowi czy arbitralność dywagacji o tureckich wpływach w języku rosyjskim, ale powiązania rosyjskiej, a nawet ruskiej kultury z Azją są oczywistością. Nie jest to jednak argument, który pozwoliłby wypisać Rosję z Europy Wschodniej. Nie jest nim – i tu mam świadomość, narażam się znacznie bardziej – także putinizm i agresja Rosji na Ukrainę.

Warto może, żebym wreszcie wyjawiła, jakie kryteria biorę pod uwagę mojego autorskiego castingu na wschodnioeuropejskość. W skrócie mówiąc, są to kryteria mieszane i trudne do zdefiniowania. Uważny czytelnik już się na pewno zorientował, że czasem o tym, czy kraj uważam za wschodnioeuropejski, decyduje religia. Prawosławie zdecydowanie predestynuje do znalezienia się w tym obozie. Ale przecież nie tylko. Drugi ważny czynnik to ścieranie się wpływów niemieckich i rosyjskich. Tam gdzie przeważają rosyjskie, mamy Europę Wschodnią, tam gdzie niemieckie – Europę Środkową. Wpływy cywilizacyjne dobrze się mierzy sposobem zagospodarowania przestrzeni. Podobnie jak Suwalszczyznę od Mazur na pierwszy rzut oka łatwo odróżnić właśnie po budownictwie, po tym jak są zorganizowane wsie i drogi, tak jasna rysuje się granica między wschodnioeuropejską Rumunią (z wyjątkiem Siedmiogrodu rzecz jasna) a środkowoeuropejskimi Węgrami.

Europa Wschodnia to po prostu każde miejsce, gdzie czuję się u siebie. Nieważne, czy to miałoby być całe miasto, czy po prostu czyjeś mieszkanie, stolik w jakimś barze czy ścieżka w lesie.

Są to oczywiście kryteria bardzo arbitralne, często w jednym kraju, jak wyżej wspomniana Słowacja czy modelowa wręcz pod tym względem Ukraina i po prawdzie przecież także Polska, ścierają się różne wpływy. Ludziom spoza naszego regionu łatwiej jest stosować reguły jasne i przejrzyste, jak dawna przynależność do ZSRR czy szerzej przynależność do bloku wschodniego, czyli opcja maksimum: Eu-

eprasa.pl 15f0aae880

ropa Wschodnia to ZSRR plus byłe demoludy – aż do Uralu. Jednak nam tutaj takie szybkie cięcia wydają się niesprawiedliwe, nieczułe na niuanse.

Oczywiście przy tym wszystkim dyskutowanie o przynależności do makroregionu, który kształtował się setki lat na podstawie granic państwowych, w obecnym kształcie pochodzących z końca II wojny światowej albo jak w przypadku byłego ZSRR i byłej Jugosławii – nawet z lat dziewięćdziesiątych, jest po prostu absurdalne. Dlatego może należałoby porzucić granice państwowe i mówić po prostu o okolicach czy poszczególnych miejscowościach.

Nikt tak dobrze nie tropi azjatyckich powiązań kultury rosyjskiej jak Ukraińcy, może jeszcze Kazachowie. W czasie rewolucji godności w internecie pojawiło się mnóstwo ukraińskiej produkcji memów wypominających Rosjanom ich azjatyckość.

Pamiętam esej francuskiego historyka Alaina Besançona, który granice te wyznaczał na podstawie wyznaniowej, Kunderę, który powiedział, że Europa – to akurat było o Środkowej, ale dyskusja o Europie Środkowej to rewers dyskusji o Wschodniej – jest tam, gdzie ludzie w tramwaju czytają książki. Potem powtórzył to zresztą Taras Prochaśko na jakiejś debacie w Polsce. Prochaśko, cudowne dziecko stanisławowskiego odrodzenia, czyli kręgu literatów z ukraińskiego Iwano-Frankiwska, którzy debiutowali u schyłku radzieckiej Ukrainy, uważał swoje rodzinne miasto oczywiście za Europę Środkową. Na początku lat dwutysięcznych, kiedy toczyła się ta dyskusja, zapewne z łatwością podzieliłby Ukrainę na pół – na środkowo- i wschodnioeuropejską. Dziś, gdy Ukraina w imieniu całego Zachodu walczy z rosyjską agresją, nikt już takich podziałów nie jest skłonny robić.

Czy napisałam o rosyjskiej agresji? Tak. To mi nieubłaganie przypomina, że kilka akapitów wyżej odeszłam od tematu, od najtrudniejszego pytania tego tekstu, dlaczego uważam Rosję za Europę Wschodnią. I teraz już naprawdę na nie odpowiem.

W przypadku Rosji, oczywiście z punktu widzenia jej zachodnich sąsiadów, uznanie jej za Europę Wschodnią, nie za Eurazję, wydaje się nobilitujące. Czy Rosjanom na tym zależy, to już inna sprawa.

Moje rozumowanie idzie podobnym tokiem jak rozumowanie Adama Michnika na temat rosyjskiej demokracji. Naczelny „Gazety Wyborczej" lubił mawiać – nie wiem, czy wobec tego, co się w tym państwie dzieje, robi to nadal – że nadzieja na demokrację w Rosji żyje, póki żyją rosyjscy demokraci. Ja natomiast uważam, że póki znam Rosjan i Rosjanki, którzy myślą tak jak ja, czują tak jak ja, śmieją się z tych samych dowcipów, pamiętają podobne rzeczy ze swojego życia, to wszyscy jesteśmy wschodnimi Europejczykami. I to się nie zmieni, choćby większość ich społeczeństwa, w ślad za władzami, na Europę miała się wypiąć.

eprasa.pl 15f0aae880

***

Zawsze kiedy poddaję się tego typu refleksjom i zaczynam myśleć o granicach Europy, o tych nieuchwytnych różnicach w ramach jednej w gruncie rzeczy ogólnoludzkiej cywilizacji, przychodzi mi na myśl poemat Jarosława Iwaszkiewicza *Azjaci* opatrzony mottem, które ma być urywkiem jakiejś rozmowy w teatrze, z udziałem samego Iwaszkiewicza, o czym świadczą inicjały jednego z wypowiadających się:

> E.J. Wam się podoba jedno, a nam co innego. Bo wy jesteście Europejczycy, a my jesteśmy Azjaci.
> J.I. Pleciesz, przyjacielu. Wszyscy jesteśmy Europejczykami.
> A.O. Wszyscy jesteśmy Azjaci!

> Ostatnia, świetna książka Piotra Mitznera *Mój Iwaszkiewicz*, w której analizuje on twórczość Iwaszkiewicza przez pryzmat ich wspólnych (swoich i Jarosława) wielokulturowych doświadczeń wyniesionych z podobnej historii rodzinnej, jeszcze bardziej uświadomiła mi, jak genialny to jest utwór.

„Moja kijowska rodzina – pisze Piotr na początku rozdziału poświęconego Azjatom – nigdy wyraźnie nie określała swojej narodowości. Byli po prostu kijowianami, a posługiwali się dialektem będącym osobliwą mieszanką rosyjskiego, ukraińskiego i niemieckiego. Nie mieli też potrzeby identyfikacji europejskiej. Czasem tylko o mojej skośnookiej babci mawiało się – Azjatka".

W kolejnym akapicie cytuje Iwaszkiewicza: „Cała siła kultury polskiej, dopóki była rozproszona, ssała soki Rosji, Ukrainy, Uralu, Kaukazu. Teraz korzenie nie mają skąd czerpać i dlatego to karłowacenie". A nieco dalej kawałek poematu:

> Trawa Tołstoja
> Chleb Dostojewskiego
> Wierzby płaczące Czajkowskiego
> Zarastają mnie po szyję
>
> Nie wytnie ich szabla Wołodyjowskiego
> Ani uśmiech zniszczy Daniela

…który tak komentuje: „To nie tylko zakorzenienie poety, ale całej kultury polskiej, to, zaznaczony w warstwie językowej, splot polsko-rosyjski, charakterystyczny dla języka potocznego rodzin ze Wschodu. Przecież »chleb« to w języku rosyjskim »zboże« i (chleb zwykle raczej »wyrasta« niż »zarasta«) bardziej w tym znaczeniu słowo to zostało tu użyte".

eprasa.pl 15f0aae880

Sama już nie wiem, czy to „trawa Tołstoja" i „wierzby płaczące Czajkowskiego" każą mi wliczać Rosję do Europy Wschodniej. Czy może po prostu tych kilkoro moich znajomych i przyjaciół Rosjan, z którymi mam wiele wspólnego, z którymi czuję solidarność kulturową i jedność doświadczenia pokoleniowego (wymowne jest jednak to, że wszyscy oni teraz mieszkają już poza Rosją).

***

I tutaj dochodzę do najważniejszego. Bo przecież nie o tym, czym jest Europa Wschodnia miałam pisać, a o tym, co mi Europa Wschodnia dała. Otóż dała mi dokładnie to: poczucie przynależności. Świadomość, że inni myślą podobnie. Że jest tu, u nas, w Europie Wschodniej właśnie grupa ludzi, bo przecież nie wszyscy, którzy tu żyją w ogóle, myślących podobnie: o świecie, o geografii, o literaturze. Śmieszą ich podobne filmy, wzruszają podobne krajobrazy. Pisałam, że moje kryteria wyróżniania Europy Wschodniej są arbitralne. Ale one są jednocześnie bardzo jasne. Europa Wschodnia to po prostu każde miejsce, gdzie czuję się u siebie. Nieważne, czy to miałoby być całe miasto, czy po prostu czyjeś mieszkanie, stolik w jakimś barze czy ścieżka w lesie. Moja koleżanka, urodzona i wychowana we Wrocławiu fotografka, opowiadała mi, że jako nastolatka, jadąc na jakiś obóz młodzieżowy do centralnej Polski, czuła się, jakby wyjechała do innego kraju. Ja też mam podobnie, kiedy jadę do Wrocławia. Miasto to jest niewątpliwie piękne, ale z innego porządku niż ten, do którego przywykłam. Za to lekki chaos, nadmiar swobodnie urządzonej przestrzeni, nonszalancję w jej zagospodarowywaniu, tak charakterystyczną dla Europy Wschodniej, uznaję za swoją. Czy to w Wilnie, czy Lublinie, czy w Konstancy czuję się po prostu swojsko. Lubię, jak ktoś trochę za głośno mówi, jak nie do końca przestrzega reguł i nieustannie wierzy, że jakoś to będzie. To są oczywiście stereotypy i uproszczenia, ale jednak zakorzenione w pewnej statystyce rzeczywistości.

Rzadko kiedy jakiś Polak czy Litwin nazwie Rosję Europą Wschodnią, zwłaszcza jeśli sam już porzuci marzenia o byciu z Europy Środkowej czy Północnej. Możemy już być tą Europą Wschodnią, ale pod jednym warunkiem, że Rosja to Eurazja, nie żadna Europa Wschodnia.

Nie chodzi zresztą tylko o kwestie estetyczne, w każdym razie nie tylko estetyczne w tym najbardziej bezpośrednim znaczeniu słowa estetyka. Takim wspólnym doświadczeniem regionalno-pokoleniowym jest też walka ze zniewoleniem. Nie chodzi o to, że tylko tu cenimy wolność, to są oczywiście bzdury. Ani też nie o to, że tylko tu wyjątkowo często chcą nas tej wolności pozbawiać. Po prostu nasze do-

eprasa.pl 15f0aae880

świadczenia są specyficzne, łączą się z konkretnymi wydarzeniami, o których pamięć kształtuje naszą wspólnotę wyobrażoną.

Takim doświadczeniem jest i będzie na pokolenia także obecnie tocząca się wojna w Ukrainie. To prawda, że cały prawie Zachód wstawił się za Ukrainą. Dla nas jednak, ukraińskich sąsiadów z Europy Wschodniej, ta wojna siłą rzeczy jest czym innym niż dla amerykańskich kongresmenów kłócących się o to, ile milionów dolarów przeznaczyć na dozbrajanie Ukrainy. Jest ciężka od skojarzeń, uruchamia traumy obecne tu od pokoleń, ale także daje nadzieję mocniejszą i żywszą niż gdzie indziej.

Ludwika Włodek jest dziennikarką i wykładowczynią. Autorka wielu książek reporterskich. Wykłada w Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego.

Nic nie jest dane na zawsze

Michał Potocki

Co mi dała Europa Wschodnia? Pytanie zadane przez redakcję „Nowej Europy Wschodniej" towarzyszyło mi przez ostatnie dwa tygodnie w trasie między Odessą, Kiszyniowem a Kijowem.

Towarzyszyło mi, gdy na dworcu w nieznoszącym Europy Komracie jedyne, co mogłem obejrzeć, to reklamy pracy w tejże Europie. Gdy smażyłem się w słońcu w OrheiLandzie, darmowym odpowiedniku Disneylandu, postawionym przez oligarchę w powiatowym mołdawskim miasteczku dla wyborczych głosów jego mieszkańców. Gdy na dworzec kolejowy w mołdawskiej stolicy wiózł mnie kierowca przewozu osób superluksusowym lincolnem. Gdy w nocnym pociągu do Kijowa rozmawiałem z Ołeną, wracającą od córki w Bielcach, wprost do równanych z ziemią, położonych niemal na linii frontu Łypci pod Charkowem. Bo tak trzeba, bo pracy się nie rzuca. Gdy w Kijowie Andrij przypominał, żebym koniecznie zdążył przyjechać na montaż dronów dla wojska przed piętnastą, bo potem wyłączą prąd i będę musiał na położone na czternastym piętrze poddasze zamienione chybcikiem na warsztat wejść piechotą po schodach. Gdy tego samego wieczora w Squacie 17B jak zawsze zastanawiałem się, czy nie wydać paruset hrywien i nie dostawić własnej flaszki do rze-

eprasa.pl 15f0aae880

szy butelek na Półkę Zwycięstwa, która ma zostać opróżniona w Ten Dzień (zadanie z gwiazdką: znaleźć wiersz Władysława Szlengla o tym tytule), gdy Rosja przegra.

Nie poddawać się

Towarzyszyły mi przy kolejnych scenkach rodzajowych, które mógłbym dodać do kolekcji poprzednich, zbieranych przez lata. Do całkiem pijanych Rosjan spod Irkucka, którzy – chcąc zaimponować zagranicznym koleżankom – mimo minus dwudziestu stopni rozebrali się do naga i pobiegli przez śniegi i lody, by zanurzyć się w Bajkale. Do całkiem trzeźwego białoruskiego urzędnika, który zgodził się na rozmowę ze mną głównie po to, by perorować przez dobrych czterdzieści minut, że skoro jestem z Zachodu, to pewnie płaci mi CIA, tak samo jak tym, co to podczas kolejnej kolorowej rewolucji, która akurat odbywała się tuż przed naszym spotkaniem, plądrowali, jak powszechnie wiadomo, sklepy. Do gruzińskiego taksówkarza częstującego czaczą z plastikowej butelki po wodzie albo kazachskiego ochroniarza w barze karaoke, który tłumaczył, że ten gość, który przed chwilą groził mi pobiciem, nie był wcale Kazachem, tylko Kirgizem, bo my, Kazachowie, jesteśmy spokojni i gościnni. Kolekcji, która – gdyby wyciągnąć z niej esencję i skumulować – byłaby gotowym aktem samooskarżenia o stereotypizację, orientalizm i inne brzydkie słowa z arsenału współczesnej krytyki.

Gdybym potraktował to pytanie płytko, wyszłaby seria anegdot do opowiadania przy piwie. W dodatku seria wtórna, wszak na bazie podobnych powstają całe książki. A przecież Europa Wschodnia dała mi coś więcej – mianowicie pewność, że nic nie jest dane raz na zawsze. Do wielu miejsc, które odwiedziłem przez dwie dekady zajmowania się tym regionem, teraz już nie pojadę. O ile Moskwy mi przesadnie nie szkoda – wychowałem się w mieście milionowym i każda wyraźnie większa metropolia mnie onieśmiela i przytłacza – o tyle nie mogę odżałować Mińska z jego stalinowską architekturą, absurdalnie szerokimi prospektami i wysepkami wolności w rodzaju Galerii Ŭ albo kameralnej knajpki *Try żauniery* (Trzej żołnierze), przed którą stał polsko-radziecki słup graniczny z czasów przedwojennych. Dzisiaj termin „czasy przedwojenne" znaczy coś innego. Galerii Ŭ ani knajpki już nie ma. „Zamknięte na stałe" – informuje Google, na którym upewniam się na potrzeby tego artykułu, że to były *Try żauniery*, a nie *Dwa…* Tamta Białoruś przeniosła się za granicę albo do

Europa Wschodnia dała mi coś więcej – mianowicie pewność, że nic nie jest dane raz na zawsze. Do wielu miejsc, które odwiedziłem przez dwie dekady zajmowania się tym regionem, teraz już nie pojadę.

eprasa.pl 15f0aae880

internetu. A dostępna przestrzeń nadal się kurczy. Nikt nie da mi gwarancji, że za rok albo pięć nie skurczy się o Kijów, Kiszyniów albo Tbilisi. Pewnie nie, ale gdyby jednak, to już dziś wiemy, dlaczego tak się może stać.

Plecak przetrwania

Europa Wschodnia dała mi też przekonanie, że nawet w beznadziejnej sytuacji nie warto się poddawać. Z zewnątrz Ołena jadąca z brzydkich jak noc, ale spokojnych Bielc, pod Charków wyglądałaby na szaloną. Ale w pociągu Ukrzaliznyci z Kiszyniowa do Kijowa tak nie jest. Na takich jak Ołena wolna Ukraina opiera się przed rosyjską nawałą. Albo takich jak Andrij, który po godzinach do spółki z kumplem z osiedla klepie te swoje siedmio- i dziesięciocalowe drony FPV z kamerką z przodu. Kiedyś po kryjomu pili piwo i palili fajki za garażami, a teraz pod dźwięki jakiejś mutacji MTV puszczającej amerykańskie hity z lat osiemdziesiątych spawają chińskie komponenty, żeby w ramach pospolitego ruszenia wysłać je wojsku, które podczepi granat pod brzęczącą maszynkę. Jak będą mieli szczęście, dostaną z powrotem filmik z akcji. Może nawet zobaczą, jak gdzieś w polu pod Kupiańskiem ich dron zabija Rosjanina, tak jak na filmach, które mi pokazują, publikowanych na czacie przez podobnych jak oni konstruktorów amatorów. I – proszę mi wybaczyć, ale tak jest – będą się z niego śmiać. Wojny tym nie wygrają, ale minus jeden wróg to zawsze minus jeden wróg.

Gdybym miał wymienić jeszcze jedną rzecz, którą dała mi Europa Wschodnia, byłyby to schematy przetrwania, przydatne w naszym regionie w obliczu zagrożenia, które lada rok może się zmaterializować.

Andrij montuje drony w weekendy, a na co dzień pracuje w firmie informatycznej. Ale są i tacy, którzy cywilne życie odłożyli sobie na przyszłość. Maksyma poznałem u progu rewolucji godności lat 2013–2014. Zarabiał godziwe pieniądze, sprowadzając z Zachodu sprzęt medyczny, a wolny czas poświęcał na naukę japońskich sztuk walki jako wielki fan kultury Kraju Kwitnącej Wiśni. Gdy opłacani przez władze bandyci zaczęli polować na uczestników protestów, zorganizował darmowe kursy samoobrony. Tam się poznaliśmy. Potem wybuchła wojna, Maksym zaciągnął się na ochotnika i niemal bez szkolenia został rzucony na Sawur-Mohyłę, gdzie latem 2014 roku przetrwał jedną z najcięższych bitew pierwszej fazy wojny rosyjsko-ukraińskiej. Toyotą od byłej żony woził na front zaopatrzenie, bo żołnierze w tamtych latach szli walczyć w trampkach i kurtkach Bundeswehry z demobilu. Walczył o lotnisko w Doniecku jako jeden z cyborgów. Gdy konflikt zamrożono, popracował chwilę w zarządzie zieleni w Dnieprze. Gdy w 2022 roku Rosja zaatakowała ponownie, zaan-

eprasa.pl 15f0aae880

gażował się w budowę dronów bojowych. Poważnych, a nie takich z półproduktów z AliExpress. Na tyle poważnych, że trafiły na znaczki pocztowe w Gwinei Bissau.

Gdybym miał wymienić jeszcze jedną rzecz, którą dała mi Europa Wschodnia, byłyby to schematy przetrwania, przydatne w naszym regionie w obliczu zagrożenia, które lada rok może się zmaterializować. Wiedzę o tym, co w takiej sytuacji powinno się znaleźć w „trywożnej walizie", plecaku przetrwania albo w jaki sposób oszacować ryzyko przy konkretnym rodzaju ostrzału rakietowego. I pamięć, że nie warto uciekać przed czarnym humorem. Takim, jaki prezentowało dwóch spotkanych na ukraińskiej prowincji chłopaków, którzy w pierwszych dniach inwazji trochę bez sensu kopali okopy przy zaimprowizowanym punkcie kontrolnym, a czas umilali sobie zastanawianiem się, gdzie oni tych wszystkich ruskich zakopią, skoro jest ich tam ponad sto milionów. Albo takim, które każe Andrijowi śmiać się z uciekającego przed dronem anonimowego Rosjanina, z którym film ktoś opublikował na czacie Discord. Nie warto przed czarnym humorem uciekać, bo i tak nas dogoni. Nawet to można uznać za pozytywną lekcję daną przez Europę Wschodnią. Byle dotrwać do czasów, w których *Try żauniery* znów będą tylko nazwą knajpy.

Michał Potocki jest redaktorem w „Dzienniku Gazecie Prawnej", współautorem trzech książek o współczesnej Ukrainie i Białorusi, wykładowcą na Podyplomowych Studiach Wschodnich Uniwersytetu Warszawskiego.

Dotknięcie rzeczywistości

Piotr Kosiewski

W Europie Wschodniej pasjonuje mnie przede wszystkim sztuka. To nią się zajmuję, to ją opisuję. Od pewnego czasu zadaję sobie pytanie: Dlaczego Ukrainie, jej obywatelom i obywatelkom udaje się tyle wytrwać? Być może jedną z najbardziej nieoczywistych odpowiedzi na to pytanie jest właśnie sztuka: jej zdolność opisu rzeczywistości, ale też umiejętności budowania autonomii.

W Polskim Pawilonie na tegorocznym Międzynarodowym Biennale Sztuki w Wenecji znalazły się dwa filmy ukraińskiej Open Group zatytułowane *Powtarzajcie za*

eprasa.pl 15f0aae880

mną. W każdym z nich uchodźcy krótko mówią o swoich losach. Pierwszy obraz powstał w 2022 roku w obozie dla uciekinierów pod Lwowem. Drugi – dwa lata później w państwach, w których znaleźli schronienie uchodźcy z Ukrainy. Każdy z rozmówców przekazuje bardzo skrótowe informacje o sobie: imię, czasami wiek, skąd przyjechał, gdzie znajduje się w trakcie nagrania. I kończy swą relację opowieścią o dźwiękach broni, którą ich atakowano. Tylko tyle i aż tyle. Następnie nagrane osoby proszą publiczność o powtórzenie tych dźięków: samolotu, pocisku czy czołgu.

Sytuacja zaaranżowana przez artystów przypomina karaoke – ustawiono nawet mikrofony na stojakach, do których oglądający mogą podejść. Ta niby niewinna zabawa uświadamia, jak ważne dla przeżycia jest dobre rozpoznawanie dźwięków broni. I jednocześnie napomina, że ukraiński los może w przyszłości stać się udziałem innych.

Powtarzajcie za mną Open Group to tylko jedna z prac ukraińskich artystek i artystów poświęconych trwającej od 2014 roku agresji zapoczątkowanej przez Rosję. Nie tylko przedstawiciele sztuk wizualnych zajmują się tematyką wojny. Wystarczy wymienić chociażby wydany w 2017 roku *Internat* Serhija Żadana, powieść rozgrywającą się w ogarniętym wojną mieście. Nienazwanym po imieniu, ale nietrudno się domyśleć, że opisany został pogrążony w chaosie Donieck.

Dlaczego o tym piszę? Ukraińskie artystki i artyści, także pisarze i pisarki czy reżyserzy i reżyserki, stanęli przed zadaniem znalezienia języka, za pomocą którego możliwe będzie opisanie tych dramatycznych doświadczeń. Języka unikającego pułapki pornograficznej prezentacji konfliktu i ekscytacji przemocą. Innego niż spotykany na co dzień w mediach elektronicznych czy społecznościowych – z tym przekazem nie sposób zresztą konkurować, a jednocześnie szybko prowadzi on do normalizacji czy „oswojenia" konfliktów.

Twórcy i twórczynie poszukują języka nie tylko dla tych, którzy na własnej skórze przeżyli życie w katastrofie, ale, co najważniejsze, niepowielającego dawnych form, nieodwołującego się do przyswojonych już, a kompletnie martwych kodów kulturowych oraz klisz wizualnych niemożliwych do ożywienia. Nie jest to łatwe zadanie, co pokazuje przypadek polskiej sztuki lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, która chciała oddać doświadczenie „Solidarności" i traumę stanu wojennego. Twórczości powstającej poza oficjalnym obiegiem, która miała, o czym z wielką powagą wtedy pisano, nie tylko polską sztukę zmienić. Dość szybko okazało się jednak, że słuszność to zbyt mało, a dzisiaj większość powstałych wówczas dzieł to jedynie historyczne dokumenty.

Oczywiście i teraz tworzy się prace, które są wtórne, banalne. Epatujące przemocą, zbyt łatwo grają na emocjach. Zapewne nie może być inaczej. Jednak mam poczucie, że istnieje cała grupa ukraińskich twórczyń i twórców, w większości urodzonych w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku i w niepodległej już Ukrainie,

eprasa.pl 15f0aae880

którzy znaleźli język adekwatny do opisu rzeczywistości, w której przyszło im żyć. Osadzony w ich własnym, lokalnym doświadczeniu, a jednocześnie na tyle uniwersalny, że docierający do odbiorcy niemającego bezpośredniego wglądu w ukraińską rzeczywistość. Wreszcie jest to twórczość pozbawiona paternalistycznego spojrzenia na zachodniego (najczęściej) odbiorcę, którego poucza się, że my w tej części Europy „lepiej wiemy", a nasze doświadczenie jest „prawdziwsze", „pełniejsze".

Co istotne, ci artyści i artystki nie zaproponowali radykalnego zerwania z własną tradycją artystyczną, trudną, bo nie tylko spychaną przez stulecia na peryferia, mierzącą się z imperializmem rosyjskim i dodatkowo z funkcjonowaniem od lat trzydziestych ubiegłego wieku w systemie, który radykalnie ograniczał swobodę wypowiedzi. Mamy raczej do czynienia – używając języka zaczerpniętego ze świata komputerowego – ze swoistym „rebootem". Restartowaniem czy uruchamianiem na nowo. Twórcy i twórczynie bardzo świadomie wykorzystują także to, co zrobili ich poprzednicy. I tym istotnym punktem odniesienia jest doświadczenie ukraińskiej awangardy z pierwszych dekad ubiegłego wieku, a potem niezależne poszukiwania z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Ukraińskie artystki i artyści, także pisarze i pisarki czy reżyserzy i reżyserki, stanęli przed zadaniem znalezienia języka, za pomocą którego możliwe będzie opisanie dramatycznych doświadczeń wojennych.

Najbardziej fascynujące jest wreszcie to, że ukraińscy artyści i artystki mierzą się dziś nie tylko z doświadczeniem wojny, ale też szukają własnej odpowiedzi na wyzwania związane z rosyjskim imperializmem – często nieoczywistej. Nie ograniczając się jedynie do „wykasowania" jego kulturowego dziedzictwa, lecz opowiadając o nim na własnych warunkach.

Istotne jest to, jak im się to udało. Być może kluczowe było doświadczenie obu majdanów, postawienie pytania, w jaki sposób opowiedzieć o traumatycznych wydarzeniach w 2014 roku na kijowskim Majdanie, ale też w Charkowie czy Odessie. Nikita Kadan, jeden z najważniejszych ukraińskich artystów ostatnich dekad, w rozmowie z kuratorem Björnem Geldhofem tłumaczył, że za sprawą pomarańczowej rewolucji w 2004 roku „Sytuacja obywatela, normalnego obywatela, i sytuacja działacza stały się sobie bardzo bliskie. Być świadomym obywatelem oznacza bycie działaczem społeczno-politycznym". I dodawał: „Wyciągaliśmy z tego stanu wnioski dla naszej praktyki artystycznej". I zderzali je z tym, co działo się w Ukrainie od tego czasu.

Artyści i artystki opowiadali o czasach rewolucji godności, jak Mykoła Ridnyj, który w wideo *Zwyczajne miejsca* (2015) wrócił do dramatycznych wydarzeń w Charkowie z wiosny 2014 roku, kiedy to grupa prorosyjskich aktywistów opanowała kluczowe

eprasa.pl 15f0aae880

budynki miejskie i próbowała, wzorem Doniecka i Ługańska, stworzyć promoskiewską Charkowską Republikę Ludową. Ridnyj pokazał jeden dzień z życia miasta: jedni spieszą się do pracy, inni spacerują. Jakiś chłopak idzie szybkim krokiem, młoda matka ciągnie za sobą oporne dziecko. Codzienność, wręcz nuda tych ujęć kontrastuje ze ścieżką dźwiękową filmu Ridnyja będącą zapisem audio demonstracji pro- i antymajdanowych. Pełnych agresji, wezwań do przemocy.

O wojnie widzianej z punktu widzenia jednostki opowiedziała w niezwykłym cyklu *Kłubnika Andrijiwa* (2014–2021) Ałewtyna Kachidze (Alevtina Kakhidze). Poświęcony jest on matce artystki, która pozostała po tej „drugiej stronie" i przez lata, aż do śmierci w kolejce na punkcie kontrolnym, gdy jechała po emeryturę na terytorium nadzorowane przez Ukrainę, opowiadała córce o życiu w sytuacji podziału. O losach kultury podczas konfliktu, jak w *Schronieniu* (2015) Nikity Kadana, w którym przypominał o zniszczeniu Regionalnego Muzeum Historii Lokalnej w Doniecku. Wreszcie o sytuacji po 24 lutego 2022 roku, jak Łesia Chomenko (Lesia Khomenko), tworząc monumentalne obrazy z serii *Maks w wojsku* (2022), przedstawiające żołnierzy ochotników, których poczucie odpowiedzialności sprawiło, że zrezygnowali z dotychczasowego życia (bycia informatykiem, prawnikiem czy artystą).

Jakie wnioski można wyciągnąć z ukraińskiej sztuki? Jeden może być zaskakujący. Od 2022 roku nieustannie pada pytanie o źródła odporności państwa ukraińskiego, które przez dekady było, także przez własnych obywateli, postrzegane jako słabe. Tymczasem okazało się całkiem silne, nie tylko w wymiarze militarnym. Silne i odporne okazało się też społeczeństwo. Różne padają odpowiedzi na pytania o źródła tej odporności. Być może jednym z najbardziej nieoczywistych jest sztuka: jej zdolność opisu rzeczywistości, ale też umiejętności budowania autonomii, także instytucjonalnej, co pozwoliło ukraińskim artystkom i artystom nie tylko szybko odnaleźć się w sytuacji konfliktu, który obejmuje cały kraj – przez cały czas są organizowane wystawy etc. – ale przede wszystkim przekonująco opowiadać o sytuacji Ukrainy międzynarodowej publiczności.

Jest też inny wniosek, który dotyczy samej sztuki. Ukraińscy artyści i artystki pokazali, że nadal możliwe jest znalezienie języka wypowiedzi adekwatnego do opisu świata, w którym przyszło nam żyć. Sztuki, która może służyć obnażeniu skomplikowania naszej rzeczywistości, ujawnieniu politycznych i ekonomicznych uwikłań. Czyli dać głębszy i istotniejszy opis naszego świata, nie tylko Ukrainy w czasie wojny, a tym samym lepszego jego rozumienia. I to jest najważniejsza z lekcji, którą warto odrobić.

Piotr Kosiewski jest pracownikiem Fundacji im. Stefana Batorego, stałym współpracownikiem „Tygodnika Powszechnego", publikuje w miesięczniku „Znak".

eprasa.pl 15f0aae880

Społeczeństwo, które potrafi zmienić historię

Piotr Andrusieczko

Pierwszy raz pojechałem na tzw. Wschód w 1998 roku do Kijowa i chociaż później również obserwowałem, a niekiedy opisywałem sytuację w innych państwach, to jednak moim głównym tematem pozostaje Ukraina. Do dziś niejednoznaczna i pokazująca, jak bardzo można się mylić w swoich pierwotnych osądach.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych i na początku dwutysięcznych ubiegłego już wieku Ukraina fascynowała burzliwymi procesami, które zachodziły w niej i wokół niej. Wtedy trudno było stwierdzić, czym one się zakończą. W tym czasie Polska przyłączyła się do NATO i zmierzała do Unii Europejskiej, natomiast Ukraina znajdowała się cały czas w rozkroku między Zachodem a Rosją, reformy buksowały, korupcja rozkwitała. Niektórzy mówili nawet o państwie upadłym. Często z tych ocen czuć było wyższość, a niekiedy brak zrozumienia zachodzących tam procesów, w których centrum znajdowali się ludzie. W Ukrainie nigdy nie odczułem beznadziei, a nawet jeśli ona się pojawiała, to szybko zradzała próby znalezienia wyjścia z tej sytuacji. Ukraińskie społeczeństwo nieraz łamało stereotypy o sobie, swoim kraju czy szerzej Europie Wschodniej.

Dwadzieścia lat temu w Rosji od czterech lat prezydentem był Władimir Putin, w Białorusi od dziesięciu Aleksander Łukaszenka. W Ukrainie w 2004 roku kończyła się druga kadencja Łeonida Kuczmy. To dawało szansę na zmiany, chociaż przy wspomnianych sąsiadach dostrzec można było sporo ryzyka. Ukraina w 2004 roku mogła pójść białoruskim albo rosyjskim śladem. Tak się jednak nie stało. Ukraińcy w późniejszych latach niejednokrotnie pokazywali, że są gotowi ponieść ofiarę w obronie demokracji i swojego wyboru. Zresztą ich historia „oporu rewolucyjnego" zaczęła się jeszcze w 1990 roku.

W obronie wyboru

W wyborach w 2004 roku stanęli naprzeciw siebie Wiktor Janukowycz, uważany za kandydata prorosyjskiego, i Wiktor Juszczenko, mający wówczas opinie reformatora. Ale głównymi aktorami gorącej końcówki 2004 roku okazali się nie oni, a ludzie – ukraińskie społeczeństwo.

eprasa.pl 15f0aae880

21 listopada 2004 roku odbyła się druga tura wyborów prezydenckich. Sztab Juszczenki i obserwatorzy informowali o fałszerstwach na korzyść Janukowycza. Rozpoczęła się pomarańczowa rewolucja. Opozycja dysponowała odpowiednim zapleczem do protestu, ale bez wsparcia tysięcy Ukraińców nic by ono nie dało.

Kiedy po wyborach wracałem z misji obserwacyjnej z Zaporoża, gdzie byłem świadkiem próby dokonania masowego fałszerstwa wyborczego, zatrzymaliśmy się na kilka godzin w Kijowie. Czasu było mało, ale chcieliśmy poczuć chociaż trochę tę atmosferę. A ta porażała. Dzięki woli ludzi udało się dokonać rzeczy, zdawałoby się, niemożliwej – powtórzenia drugiej tury wyborów.

Ukraińcy pokazali, że można się nie poddawać i skutecznie sprzeciwić autorytarnej władzy i silniejszemu agresorowi. To też przykład dla innych.

26 grudnia 2004 roku pojechałem w ramach misji obserwacyjnej do Doniecka, czyli matecznika Partii Regionów i jej kandydata Janukowycza. To było moje pierwsze zetknięcie z Donbasem. Ukraińcom się udało, Juszczenko zwyciężył. Później było różnie, wręcz nie najlepiej – jak często bywa, wybrani politycy zawiedli.

Majdan w Kijowie był jednak przykładem zdyscyplinowanej pozytywnej i wręcz karnawałowej rewolucji. Ukraińcy pokazali, że potrafią w pokojowy sposób dokonać zmian. A wśród tych, którzy stali na Majdanie w 2004 roku, byli ludzie z doświadczeniem sprzed czternastu lat – studenckiego protestu głodowego nazwanego rewolucją na granicie.

Studenckie doświadczenie

W październiku 1990 roku ZSRR trwał. Ukraina owszem dołączyła w lipcu do tzw. parady suwerenności, ale nie było pewności, co będzie dalej. Michaił Gorbaczow robił wszystko, żeby zachować zreformowany ZSRR. W Ukrainie działała opozycja i miała nawet swoich deputowanych w ukraińskiej socjalistycznej Radzie Najwyższej, ale system wciąż trzymał się mocno.

Jak to zwykle bywa, niezadowoleni z kompromisów z komunistyczną władzą i zbyt powolnych zmian byli studenci. To oni stworzyli konspiracyjny komitet, który zajął się organizacją protestu w centrum Kijowa. Zachowanie w tajemnicy masowej akcji było sporym wyzwaniem, KGB wciąż działało. 2 października rano na plac Rewolucji Październikowej w Kijowie (obecnie Majdan Niezależności/ plac Niepodległości) przybyli studenci i zaczęli rozkładać namioty. To wtedy pojawiło się pierwszy raz w Kijowie miasteczko namiotowe, które okaże się symbolem przyszłych protestów. Ukraińscy studenci korzystali z wcześniejszego doświadczenia swoich kolegów na

eprasa.pl 15f0aae880

świecie, jak chociażby z protestów na placu Niebiańskiego Spokoju w Pekinie wiosną 1989 roku, gdzie głównymi uczestnikami byli właśnie studenci. Postulaty to: niedopuszczenie do podpisania nowego porozumienia związkowego, demokratyczne wybory parlamentarne, nacjonalizacja majątku partii i komsomołu w Ukrainie, odbywanie służby wojskowej przez ukraińskich żołnierzy na terytorium Ukrainy i dymisja premiera Witalija Masoła.

Protest głodowy w Kijowie trwał do 17 października. Po latach jeden z jego liderów Ołeś Donij wspominał, że bywały ciężkie momenty i wśród protestujących pojawiało się nawet zwątpienie co do jego sensu. A jednak udało się i władza skapitulowała. Co prawda nie wszystkie wymogi zostały później zrealizowane, ale udany pokojowy protest pokazał, że Ukraińcy potrafią się jednoczyć w walce o demokratyczne zmiany. Istotnym elementem było połączenie na proteście zachodu i wschodu kraju. Obecni byli studenci z Sumszczyzny, czyli regionu wschodniej Ukrainy graniczącego z Rosją. Nie wiem, w jakim stopniu protest z 1990 roku odegrał rolę w ukraińskiej emancypacji politycznej w obwodzie sumskim, ale tam nigdy nie wygrywał prorosyjski i antydemokratyczny kandydat czy partia. A w 2022 roku opór miejscowych mieszkańców musiał zaskoczyć rosyjskich żołnierzy.

Ukraińcy pokazują, że sprzeciw ma sens

W każdym razie doświadczenie 1990 roku zostało wykorzystane w późniejszych protestach. 21 listopada 2013 roku rząd Mykoły Azarowa zdecydował wstrzymać proces przygotowań do podpisania umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską. Jeszcze tego samego wieczora w Kijowie zebrali się pierwsi protestujący. To był ten moment, kiedy sam zwątpiłem, czy coś z tego protestu wyniknie, i przez pierwsze kilka dni obserwowałem wydarzenia z Polski. Szybko jednak zrozumiałem, że Ukraińcy są wystarczająco zdeterminowani, aby bronić swojego wyboru. Tak rozpoczęła się kolejna rewolucja – Euromajdan. Tym razem jednak władza sięgnęła po przemoc. Najpierw pobito studentów. W styczniu 2014 roku doszło do starć, które przyniosły pierwsze ofiary. Euromajdan przekształcił się w rewolucję godności z krwawym finałem 18–20 lutego 2014 roku. Świat obiegły fotografie Ukraińców, którzy ginęli w obronie swoich praw.

Później Rosja przeprowadziła wojskową operację aneksji Krymu i okupowała półwysep. A historia walki Tatarów krymskich o prawo do bycia u siebie, życia pod okupacją i nieprostych wyborów stała się również częścią ukraińskiego sprzeciwu. W ciągu ostatnich dziesięciu lat około stu Tatarów krymskich zostało skazanych na wieloletnie wyroki więzienia, wielu jest prześladowanych, a są też tacy, którzy byli porwani, zabici albo których los do dziś pozostaje nieznany.

eprasa.pl 15f0aae880

W kwietniu 2014 roku rozpoczęły się starcia na wschodzie kraju, gdzie Rosja postanowiła rozpocząć wojnę. Wielu spośród pierwszych ochotników było wcześniej na Majdanie. Ukraiński dziennikarz Jurij Butusow nazwał początkowe miesiące wojny w Donbasie „wojennym majdanem".

W roku 2014 i w późniejszych latach spotkałem na wschodzie Ukrainy licznych ochotników walczących w obronie ojczyzny, niektórzy byli bardzo młodzi. Wielu z nich znów stanęło w obronie kraju po rosyjskiej agresji w lutym 2022 roku. Do nich dołączyły tysiące nowych. Wielu bohaterów moich materiałów zginęło, wielu walczy nadal.

Ten ukraiński opór jest fenomenem, który zweryfikował sporo stereotypów o Ukrainie, ale też Europie Wschodniej. Ukraińcy pokazali, że można się nie poddawać i skutecznie sprzeciwić autorytarnej władzy i silniejszemu agresorowi. To też przykład dla innych.

Ten sprzeciw to nie tylko barykady i okopy. Przez wiele lat obserwowałem ukraińskich aktywistów wywierających presję na władzę, aby ta wprowadzała reformy i spełniała swoje obietnice. Ukraińscy dziennikarze od lat skutecznie patrzą na ręce urzędników i polityków. A dziennikarstwo śledcze rozwija się mimo toczącej się wojny. Kiedy to piszę, „Ukraińska Prawda" właśnie opublikowała kolejny materiał śledczy, tym razem o „wolontariuszu" jeżdżącym lamborghini, któremu wyraźnie służą zażyłe kontakty z władzami Kijowa.

Takich „bohaterów" w Ukrainie wciąż jest wielu, a na kraj ten zawsze można patrzeć i opisywać go z perspektywy korupcji, oligarchów, nieudanych reform i innych problemów. Można i trzeba jednak robić to także przez pryzmat tych, którzy walczą i wierzą w zmiany.

Piotr Andrusieczko jest reporterem, korespondentem z Ukrainy i Europy Wschodniej.

eprasa.pl 15f0aae880

Skrzyżowane palce za plecami

Z Aleksandrą Archipową, rosyjską antropolożką
żyjącą na emigracji w Paryżu, rozmawia Katarzyna Syska

KATARZYNA SYSKA: Jak została Pani agentem zagranicznym?

ALEKSANDRA ARCHIPOWA: Ustawę o agentach zagranicznych uchwalono w 2012 roku, a następnie – jak to często bywa we współczesnych autorytaryzmach – nawet niezbyt represyjne prawo dotyczące wąskich grup społecznych przeradza się w pełnowartościowe narzędzie prześladowań. Początkowo zobowiązywała osoby i organizacje korzystające z zagranicznego finansowania do informowania o tym fakcie. Dziś jest to mechanizm opresji wymierzony w ludzi, którzy przygotowują treści medialne, a także w organizacje społeczne zajmujące się bezdomnymi, nastolatkami, prowadzące profilaktykę HIV itd. Stopniowo (wymagane na mocy ustawy) sformułowanie o zagranicznym finansowaniu danych działań coraz bardziej się rozmywało, a teraz w ogóle nie ma znaczenia – wystarczy uznać, że ktoś znajduje się pod zagranicznym wpływem. To bardzo nieprecyzyjne określenie, może bowiem oznaczać wszystko. Jeśli czytałam w dzieciństwie Harry'ego Pottera – czy to wpływ zagraniczny? Za agentów zagranicznych uznaje się organizacje, które robią coś, co państwo zalicza do swoich kompetencji, jak choćby ekologiczne organizacje ratujące ptaki. Co to ma wspólnego z polityką? Ale Kremlowi nie podoba się, że powstają struktury, których nie może kontrolować. A działaczom z branży medialnej czy naukowej, którzy występują lub piszą dla szerokiej publiki, można przypisać status agenta zagranicznego bez żadnych wyjaśnień. Można potem wnioskować do sądu o uzasadnienie. Ja tak zrobiłam po tym, jak wiosną 2023 roku uznano mnie za agenta zagranicznego. Po roku otrzymałam wyjaśnienie, że znajduję się pod zagranicznym wpływem, ponieważ udzielałam wywiadów mediom-agentom, ale przede wszystkim dlatego, że prowadzę popularny kanał w Telegramie „Nie(ciekawa) antropologia". Analizuję tam dowcipy o Władimirze Putinie oraz różne narracje dotyczące współczesności. Urzędnicy Ministerstwa Sprawiedliwości jako wykroczenie potraktowali szesnaście dowcipów o Putinie. Czyli ostateczna przyczyna uznania mnie za agenta zagranicznego to publiczne omawianie dowcipów na temat prezydenta.

eprasa.pl 15f0aae880

Co ten status oznacza dla Pani w praktyce?

Zakaz wykonywania zawodu. Nie mogę uczyć dzieci i młodzieży do lat osiemnastu. Ale *de facto* to całkowity zakaz, bo wszystkie uczelnie mówią: a jeśli ktoś napisze donos, że na pani wykładzie był niepełnoletni student?

Poza tym mam zakaz pracy w instytucjach państwowych. Nie mogę publikować żadnych reklam i muszę poprzedzać każde wystąpienie czy tekst poniżającym komunikatem, że jestem agentem zagranicznym. Inaczej zapłacę karę. Nie mogę prowadzić publicznych wykładów. W moim przypadku to całkowicie uniemożliwia wykonywanie zawodu.

Kiedy dowiedziała się Pani o przypisaniu statusu agenta zagranicznego, była Pani w Rosji czy już za granicą?

Za granicą. 24 lutego 2022 roku wracałam samolotem z wakacji w Meksyku. Przesiadkę miałam we Frankfurcie i tam z przerażeniem przeczytałam wiadomości. Dowiedziałam się, że mój lot do Moskwy został odwołany i uznałam to za znak. Zostałam najpierw w Niemczech, potem we Francji. A w kwietniu dowiedziałam się, że do instytutu, w którym pracowałam, przyszło FSB, i wtedy zdecydowałam, że nie wrócę.

Co Pani grozi w Rosji?

Każde złamanie tych niedorzecznych zasad, o których wspominałam, skutkuje karą administracyjną, a dwie kary administracyjne prowadzą do wszczęcia postępowania karnego. Ja mam już dwie sprawy administracyjne w toku. To nie znaczy, że na pewno wytoczą mi sprawę karną, ale istnieje takie zagrożenie. Szacuje się, że obecnie około pięciuset osób fizycznych ma status agenta zagranicznego. Praktyka pokazuje, że różnego rodzaju represje, na przykład oskarżenia o dyskredytację armii rosyjskiej lub niepopieranie wojny, dotykają ich kilka razy częściej.

Już nie wystarczy nie krytykować? Zarzutem może być brak wyrażania poparcia?

To bardzo subtelna różnica. Jeszcze w 2022 roku od osób publicznych wymagano *de facto* jedynie milczenia – wystarczyło aktywnie nie krytykować. Tych, którzy otwarcie krytykowali wojnę, w tym mnie, od razu „unieszkodliwili" – reszta mogła poprzestać na milczeniu. Jednak od początku 2024 roku obserwujemy nasilenie punktowych represji i cenzury pod adresem znanych osób. Wymaga się od nich wyraźnych sygnałów poparcia. A jeśli milczą, to znaczy, że są przeciw. To istotna różnica między 2022 i 2024 rokiem. Już musisz powiesić „Z" na teatrze, zagrać koncert w Mariupolu albo wystąpić z jakimś oświadczeniem. Ale jeśli coś przeskrobałeś i zabronili ci publicznie występować albo pisać, najlepiej pojechać do Mariupola i w ten sposób dostąpić oczyszczenia z grzechów. Mariupol pełni funkcję politycznego czyśćca.

eprasa.pl 15f0aae880

Czy uznanie za agenta zagranicznego było związane z donosem pod Pani adresem?

Nie wiem. Nikt tego nie wie. Ale rzeczywiście – na mnie, podobnie jak na większość moich kolegów, współobywatele piszą donosy. To teraz bardzo powszechne, ale donosicielstwo nie jest specyficznie rosyjską skłonnością. Powszechnie je praktykowano w byłych krajach socjalistycznych albo w czasie II wojny światowej. Kiedy Niemcy weszli do Paryża, całkiem dobrze usytuowani Francuzi masowo oczerniali swoich sąsiadów, żeby się zabezpieczyć na zapas. Fala donosów jest teraz w Rosji olbrzymia – niektórzy piszą dla osobistej korzyści, wykorzystując państwo jako taką wielką pałkę – to się nazywa „prywatyzacja mechanizmu opresji". Ktoś chce rozwiązać osobisty problem, na przykład nie lubi sąsiada, ale wie, że jeśli napisze skargę: „hałasuje wieczorami", policja nic nie zrobi, nawet nie przyjedzie. Dlatego lepiej od razu zgłosić, że sąsiad śpiewa piosenki ukraińskie – wtedy służby zareagują.

Da się ocenić skalę tego rodzaju donosicielstwa?

Nie wiadomo, jak to szacować. Nie ma oficjalnej statystyki. RosKomNadzor [organizacja zajmująca się monitoringiem życia publicznego – przyp. red.] opublikował raport, z którego wynika, że w pierwszym półroczu 2022 roku wpłynęło o 50 procent więcej skarg na fake newsy w internecie związane z sytuacją w Ukrainie niż w poprzednim półroczu. Tak naprawdę to też są donosy. Więc mamy dużo danych pośrednich, a konkretnych brak, bo zjawisko to nie jest rejestrowane całościowo. Gromadzę bazę informacji o sprawach administracyjnych przeciwko osobom oskarżonym o dyskredytację armii (z artykułu 20.3.3), bo dostępne są protokoły. Baza zawiera około ośmiu tysięcy spraw, z tego w pięciuset przypadkach z dokumentów wiadomo, że miał miejsce donos. Spraw wszczętych na skutek donosu jest oczywiście znacznie więcej – po prostu w protokole o tym nie wspomniano. Ale te pięćset spraw dotyczy wypowiedzi ustnych, które da się udowodnić tylko tak, że jakaś „Kowalska" przyjdzie i zezna: słyszałam, że Iwanow mówił to i to. Więc donosów jest dużo. Oprócz tych, którzy załatwiają w ten sposób własne interesy, prywatyzując mechanizm represji, są jeszcze ideowi seryjni donosiciele. Nazywam ich „misjonarzami". Czują, że mają misję, sakralny obowiązek pomocy ojczyźnie. Bardzo się tym szczycą, chętnie udzielają na ten temat wywiadów. Uważają, że oczyszczają kraj z niepożądanych osób.

Rozumiem, że to przypadek Twojej donosicielki?

Tak, Anna Wasiljewna Korobkowa – a przynajmniej pod tym nazwiskiem jest znana – napisała, jak sama twierdzi, ponad tysiąc donosów na różnych ludzi. W swojej kolekcji mam około stu pięćdziesięciu jej donosów. Korobkowa skarży się głównie na osoby, które występują w niezależnych mediach ze swoimi eks-

eprasa.pl 15f0aae880

pertyzami, nawet niekoniecznie dotyczącymi wojny. Jej celem jest „osłabienie oporu wobec wojny". Dlatego próbuje – całkiem zasadnie – zmniejszyć liczbę występujących publicznie ekspertów, donosi więc na wszystkich występujących na Deutsche Welle, w TV Dożd' czy w Radiu Swoboda. Wysyła skargi na policję i do pracodawców, na przykład do rektora uniwersytetu. Ostatnio też regularnie grozi, że „zrobi" z konkretnej osoby agenta zagranicznego.

Skontaktowała się Pani ze swoją donosicielką. Jak do tego doszło?

Widziałam tekst tego donosu – był tam adres e-mail. Po prostu do niej napisałam. Szczerze mówiąc, myślałam, że dostanę automatyczną wiadomość „adresat nie istnieje" i okaże się, że to jakiś funkcjonariusz FSB pod pseudonimem. Napisałam bardzo grzecznie: „Dzień dobry, nazywam się Aleksandra Archipowa, jestem antropologiem społecznym, folklorystą, badam reakcje obywateli na SWO [specjalną operację wojskową – przyp. red.]. Wiem, że ma Pani specyficzny punkt widzenia – może zechciałaby Pani mi o tym opowiedzieć?". Korobkowa bardzo chętnie odpowiedziała i pisała do mnie nawet wtedy, kiedy ja już przestałam odpowiadać. Opowiedziała mi całe swoje życie.

Czyli nie interesował Pani powód donosu, tylko potraktowała ją Pani jako obiekt badań?

Oczywiście, że interesowała mnie jako obiekt antropologiczny. Tak się do mnie przywiązała, że składała mi życzenia noworoczne, a kiedy dowiedziała się, że zostałam agentem zagranicznym, była oburzona, nie mogła w to uwierzyć i zarzekała się, że nie ma z tym nic wspólnego. Naprawdę ją to zasmuciło. Istnieje opinia, że Korobkowa to produkt działań FSB. Wielu dziennikarzy próbuje ją namierzyć, bo rzeczywiście napsuła krwi środowisku eksperckiemu. Moi koledzy lingwiści na podstawie zebranych między innymi przeze mnie materiałów postanowili zbadać, czy donosy Korobkowej pisze jedna osoba, czy cały oddział FSB. Autorstwo można ustalić za pomocą analizy stylometrycznej. Bazuje ona na założeniu, że każdy człowiek ma unikalny styl budowania zdań – składnię. Leksyka też jest ważna, ale przede wszystkim składnia. W tekście pisanym styl budowania i łączenia zdań nie podlega świadomej refleksji, więc trudno go podrobić. Jeśli nie mamy do czynienia z ankietą, a w miarę swobodnym tekstem, ten styl będzie widoczny. A kiedy dysponujemy kilkoma tekstami, ich porównanie pozwala stwierdzić, czy zostały napisane przez tę samą osobę.

Od lat zajmuję się badaniem konspirologii. W USA był ruch konspirologów popierających Donalda Trumpa. Przewodził mu człowiek pod pseudonimem QAnon, który podawał się za wysokiego urzędnika w Białym Domu i pisał między innymi, że w siedzibie prezydenta USA jest tajny krąg pedofilów porywających dzieci, a Trump z nimi walczy. Ludzie mu wierzyli, powstał ruch zwolenników QAnona. Ale w ciągu czterech lat

eprasa.pl 15f0aae880

QAnon wyprodukował wystarczająco dużo tekstów do przeprowadzenia analizy stylometrycznej, z której wynikło, że piszą je co najmniej dwie osoby, może nawet większa grupa. Nie ma zatem żadnego QAnona.

A do jakich wniosków doszli lingwiści badający rosyjski materiał?

Wyniki są na razie wstępne, bo ciągle gromadzimy nowe teksty. Im więcej materiału, tym bardziej precyzyjne dane. Mamy dużo listów Korobkowej – do mnie, do innych dziennikarzy. Pisze długie wiadomości o sobie, a to dla nas prawdziwy prezent. Z tych listów wynika, że napisała je ta sama osoba. Nie wiemy, czy pracuje dla FSB, ale na pewno jest to jedna konkretna osoba. Natomiast teksty jej donosów nie są takie jednoznaczne, wskazują na obce wpływy. Być może dlatego, że w donosach jest dużo formułek, cytatów z dokumentów. A może ktoś jej pomaga je pisać – tego nie wiemy.

Czy Korobkowa wyjaśnia, dlaczego to robi?

Ona ma akurat bardzo sprecyzowany pogląd – uważa, że jeśli Rosja przegra wojnę, będzie musiała wypłacać reparacje. I rozumuje tak: skąd wezmą pieniądze na te reparacje? Cytuję: „przecież nie z kieszeni moskiewskich urzędników?". Będą płacić „prości ludzie". A więc wpłynie to negatywnie na jej dochody, a obecnie, jak pisze, jej sytuacja materialna bardzo ją satysfakcjonuje. Reparacje pogorszą poziom jej życia.

Czyli otwarcie przyznaje się, że nie kieruje nią wzniosła miłość do ojczyzny, tylko materialne wyrachowanie. A nawet widać w tej logice brak zaufania do państwa, strach, że nie zadba o obywateli.

Właśnie tak. Nie ma tam śladu patriotyzmu. Korobkowa nigdzie nie wspomina, że toczymy świętą wojnę, uwalniamy świat od nazistów – nic z tych patriotycznych bredni. Jest tam za to przekonanie, że pracuje w imię lepszej przyszłości Rosji.

Przez troszczenie się o własny dobrobyt. To niezbyt klasyczny typ misjonizmu. Wyróżnia się jeszcze inne rodzaje donosicieli?

Można te dwa główne dzielić na podtypy. Są tacy, którzy donoszą dla konkretnej korzyści – materialnej lub innej, na przykład chcą się pozbyć szefa, awansować. Inni prywatyzują represyjne mechanizmy, żeby kogoś ukarać. Takich przypadków jest bardzo dużo. Donos staje się sposobem na ukaranie sąsiada, który cię jakoś uraził. Nazwałabym to korzyścią emocjonalną, działaniem w afekcie.

Zaznaczę jednak, że jestem zdeklarowaną zwolenniczką konstruktywizmu społecznego. Często twierdzi się, że ludzie donoszą, bo są moralnie zepsuci. A tak naprawdę skłonność do donoszenia może być kreowana przez państwo, które wysyła sygnał, że takie zachowanie jest dobre, pożądane. Tak jest w przypadku Rosji. Dla wąskiego środowiska inteligentów słowo „donos" ma zdecydowanie

eprasa.pl 15f0aae880



Archiwum prywatne

Poparcie dla wojny istnieje między innymi dlatego, że – za sprawą starań władz – stało się społecznie akceptowaną praktyką.

negatywny wydźwięk. Jeśli chcesz wyrazić się o takim działaniu pozytywnie, używasz innego słowa – w wielu językach istnieje takie rozróżnienie. Na przykład po angielsku negatywny wydźwięk ma określenie „*denunciation*", a pozytywny, kiedy jakiś bohater anonimowo informuje o łamaniu prawa – „*whistle blowing*". W latach trzydziestych XX wieku w ZSRR też funkcjonowało rozróżnienie na „donos" i „sygnał". To pokazuje, że języki dążą do rozdzielenia pożądanego i karygodnego działania tego typu. W języku rosyjskim natomiast stopniowo dokonywało się przeformowanie pojęcia donosu. Z socjologicznego punktu widzenia nie ma dobrych i złych uczynków – są społecznie akceptowane praktyki. Człowiek to istota, która chce żyć w grupie, i dlatego w długim procesie ewolucji wykształcił umiejętność wypierania własnych poglądów, jeśli nie odpowiadają one oczekiwaniom wspólnoty. W naszym gatunku dążenie do wewnątrzgrupowej współpracy jest na tyle silne, że bardzo precyzyjnie identyfikujemy społecznie pożądane praktyki i stosujemy się do nich, a unikamy zachowań nieakceptowanych.

Donoszenie stało się cnotą obywatelską?

Na portalu Integrum, który daje dostęp do rosyjskiej prasy z ostatnich trzydziestu lat, sprawdziłam częstotliwość użycia

eprasa.pl 15f0aae880

słowa „donos" w połączeniu z przedstawicielem władzy, na przykład: „deputowany Dumy Państwowej napisał donos". W języku rosyjskim to pojęcie z definicji zakłada anonimowość, a tu zaczynamy mieć do czynienia z jawnymi donosami. Okazało się, że wyrażeń typu „deputowany Dumy napisał donos/doniósł na/wystosował skargę/zwrócił się do prokuratury" w ciągu ostatnich piętnastu lat było w prasie o 2,5 razy więcej. Przy czym liczyłam to jako procent od ogólnej liczby wzmianek o „deputowanych Dumy". Liczba takich wyrażeń konsekwentnie rosła, ale wyraźny skok dał się zauważyć, kiedy w 2012 roku Putin zastąpił Miedwiediewa na stanowisku prezydenta. Od tamtej pory tendencja się nasilała. Zasadniczo posłowie Dumy to ustawodawcy, którzy proponują nowe prawa i poddają je dyskusji. Jednak moje badanie wyraźnie pokazuje, że w Rosji deputowani nie opracowują żadnych ustaw, bo wzmianek typu „poseł wystąpił z projektem ustawy" jest o wiele mniej, a ich liczba ciągle spada. Posłowie pełnią u nas rolę „regulatorów moralności" (ang. *moral enterpreuners*), którzy obserwują, jak się zachowują inni, i ciągle piszą skargi lub donosy. W ten sposób słowo „donos" uległo destygmatyzacji. Od lat trwał proces przekonywania Rosjan, że donos to normalna, społecznie akceptowana praktyka.

Poza tym dużo współczesnych zjawisk wywodzi się z okresu pandemii. To wtedy uruchomiono specjalne boty w Telegramie czy okienka na portalach struktur siłowych oraz urzędu cenzury (Roskomnadzor), żeby obywatele mogli zgłaszać wszystkie zaobserwowane przypadki łamania reguł kwarantanny.

Niedawno użytkownicy moskiewskiego portalu Mos.ru, przez który załatwia się różne codzienne sprawy, jak umówienie się do lekarza, dostali wiadomość o treści: „jeśli mają Państwo jakieś uwagi, proszę napisać skargę", a wśród możliwych powodów do niezadowolenia jest punkt: „niewłaściwe zachowanie obywateli". Zatem władze systematycznie przyuczają Rosjan, że donos to coś normalnego, a aktywnie zaczęły to robić właśnie w czasie pandemii, zachęcając do zgłaszania przypadków nieprzestrzegania zasad kwarantanny i rozpowszechniania fake newsów o covidzie. Normalizacja donosicielstwa odbywała się stopniowo.

Często spotykam się ze stwierdzeniem, że obecny reżim putinowski to powrót do modelu sowieckiego. Jakby po trzydziestu latach przerwy Kreml reaktywował dobrze znane schematy mentalne i organizacyjne. Zgadza się Pani z taką opinią czy to tylko wygodny chwyt retoryczny?

W historii żaden przełom nie powtarza się z absolutną dokładnością, nawet jeśli można zauważyć znaczne podobieństwa. Ludzie chcą wpisać swoje doświadczenie w znany paradygmat historyczny – to naturalny proces. Dlatego mówią – „to stalinizm, 1937 rok", a z drugiej strony „znów prowadzimy świętą wojnę przeciwko faszystom". Jednak rzeczywistość jest bardziej złożona. Rosja putinowska

eprasa.pl 15f0aae880

nie odpowiada formalnym wyznacznikom totalitaryzmu. W systemie totalitarnym wymaga się od ludności ideologicznego zaangażowania na każdym poziomie – również w życiu prywatnym, na przykład w domach powinny wisieć obrazy wodza. Pewna rozmówczyni opowiadała mi, jak jako mała dziewczynka w dniu śmierci Stalina padła przed jego domowym portretem na kolana i zaczęła przysięgać wierność martwemu wodzowi. Ideologia totalitarna przenika wszystkie sfery życia. Reżim putinowski (różnie się go nazywa: hybrydowy, autorytarny) natomiast opierał się na innym pakcie: władza nie wtrąca się w prywatne życie obywateli, a społeczeństwo nie interesuje się polityką. Formalnie istnieją demokratyczne instytucje. Nawet teraz, w czasie wojny, kiedy ta umowa zaczyna być łamana i państwo zaczyna ingerować w sferę osobistą, nie oczekuje się od Rosjan szczerego popierania ideologii. Prosty przykład. Znakiem politycznej lojalności jest wywieszanie wszędzie łacińskich liter „Z" i „V", ale nikt nie wyjaśnił Rosjanom, co te litery oznaczają. To semantycznie puste znaki.

Myślałam, że „V" to „*victory*" – zwycięstwo.

Nie. Według najbardziej prawdopodobnej wersji to oznaczenia rosyjskich wojsk (Zapad, Vostok) stacjonujących na granicy z Ukrainą, które potem weszły na jej terytorium. Później ktoś zreinterpretował to jako „*victory*", ale oficjalnie żadnej wykładni nie było. A ludzie wieszają „Z" i „V" na teatrach, szkołach, samochodach, ustawiają dzieci na szkolnych apelach w kształty tych liter. Na przykład kultowy aktor Władimir Maszkow – wielki zwolennik wojny – wywiesił na teatrze, którym kieruje, wielką literę „Z". Ale kiedy dziennikarka głównej prokremlowskiej „Rossijskiej Gaziety", spodziewając się ideologicznej tyrady, zapytała go, co to znaczy, Maszkow bez mrugnięcia okiem odpowiedział: „»Z« to zwierciadło – teatr jest zwierciadłem duszy". Albo szkoła publikuje na swojej stronie zdjęcie skrzynki z listami uczniów na front, a w rzeczywistości takiej skrzynki na korytarzu nikt nie stawia. Takich historii jest dużo. Ludzie robią to dla formalności, demonstrują zewnętrzne oznaki lojalności.

Przecież są też ideowcy, którzy szczerze i z wielkim zapałem wspierają linię Kremla.

Oczywiście, że są. A inni się maskują. To jedna z podstawowych taktyk oporu w warunkach niewoli – formalne przestrzeganie reguł. Sęk w tym, że w obecnym reżimie różnica między nimi jest nieistotna. W jednej szkole faktycznie ustawią dzieci w literę „Z" i każą im tak stać, a w innej napiszą raport z rzekomo przeprowadzonych warsztatów wyplatania siatek maskujących albo opublikują zdjęcie skrzynki listów na front, która realnie stała na korytarzu dwie sekundy. Ale dla reżimu obie strategie demonstracji lojalności są w porządku.

Władzom wystarczą pozory?

eprasa.pl 15f0aae880

W zupełności. Dlatego oficjalne strony internetowe szkół pełne są informacji o patriotycznych inicjatywach. Ale kiedy zaczęłam dokładniej to sprawdzać, okazało się, że wiele instytucji edukacyjnych ma dwie strony – oficjalną z „Z" i aktywnościami oraz prywatną, gdzie rodzice dyskutują o kółkach zainteresowań, wycieczkach itd., bez żadnych propagandowych treści.

Jeśli oznaki lojalności często są wyłącznie pozorowane, to znaczy, że strach przed donosami nie jest aż tak silny?

I tak, i nie. Ten system funkcjonuje w bardzo chwiejnej równowadze. Strach przed denuncjacją jest silny, przynajmniej w moim środowisku. Nie mogę teraz pojechać na badania terenowe w głąb Rosji, żeby to sprawdzić, ale sądząc po relacjach, które otrzymuję, w wielu miejscach tak to działa. Ludzie boją się donosów, a z drugiej strony próbują zachować normalność, balansują na granicy legalności. W końcu w prowadzeniu dwóch witryn szkoły nie ma nic wprost karygodnego.

Może pasującym paradygmatem historycznym byłyby tu czasy Breżniewa z ich podziałem na rytualną sferę publiczną i prześmiewczy underground?

Tak, jest sporo podobieństw. Często pytają mnie, jaką ideologią kieruje się Putin: czy faktycznie chce – razem z dziadkiem Patruszewem – przywrócić Związek Radziecki. Według mnie Putin jest raczej millenarystą. Pierwotnie tak nazywano ruchy religijne oparte na przekonaniu, że wkrótce nastąpi koniec świata i wszyscy umrzemy. Zbawienia dostąpią tylko nieliczni, pod warunkiem że odpowiednio się do tego przygotują.

Stąd cała ta kremlowska konspirologia?

Współcześni millenaryści oczywiście wykorzystują różne teorie spiskowe. Jeśli uważnie posłuchamy przemówień prezydenta, zauważymy, że przewijają się w nich wypowiedzi typu: jeśli dojdzie do wojny atomowej, my trafimy do raju. Putin boi się współczesnego świata, zachodzących w nim transformacji, rozwoju inżynierii genetycznej (to jego obsesja), zmian genderowych. Apokalipsa jest bliska, świat, jaki znamy, ulegnie zniszczeniu, a aktywną rolę w tym procesie odgrywa Zachód. Rosja natomiast ostatkiem sił powstrzymuje ten chaos, jest oblężoną twierdzą, którą on – prezydent – musi za wszelką cenę ocalić. Putin otwarcie roztacza takie wizje w wywiadach w ostatnich latach. Millenaryści często „utykają" w jakimś momencie historii: noszą ubrania z konkretnej epoki, nie używają nowych wynalazków, bo nowoczesność ich zabije. Dla millenaryzmu, który propaguje dziś Putin, charakterystyczna jest idealizacja przeszłości. Które jej elementy Kreml proponuje przywracać? Z jednej strony to epoka radziecka – pionierzy, dziecięce organizacje polityczne i paramilitarne, takie jak Armia Młodych, Ruch Pierwszych. Z drugiej – demonstracyjne prawosławie – Putin często pokazuje się

eprasa.pl 15f0aae880

na nabożeństwach, fotografuje się w cerkwiach ze świecami itd. A teraz proszę sobie wyobrazić ZSRR, w którym komsomolcy chodziliby do cerkwi. W wizji idealnej quasi-sowieckiej przeszłości, którą Kreml próbuje przywrócić, a raczej skonstruować, harmonijnie współistnieją zjawiska, które w rzeczywistej historii ZSRR się wykluczały. I wszyscy to pamiętamy. Ale dla Putina pionierzy mogą zaraz po partyjnym apelu pójść do cerkwi. Nie widzi sprzeczności. Ta millenarystyczna ideologia jest aktywnie zaszczepiana w społeczeństwie.

Niedawno w domu kultury w Obnińsku (obwód kałuski) odbył się koncert z okazji Dnia Dziecka. Ubrane na biało dziewczynki odgrywały w tańcu scenę ukrzyżowania do piosenki Wołodymyra Skobcowa z takim mniej więcej tekstem: „Niech przyjdzie umrzeć nam na krzyżu, lecz nie padniemy na kolana. W krwawym polu, osamotniony, Donbas trzyma na ramionach niebiosa". Czysty millenaryzm: jutro nastąpi katastrofa, a my jesteśmy obrońcami starego, dobrego świata. To też istotna różnica w porównaniu z ZSRR – sowiecka ideologia była jednak ukierunkowana na przyszłość, budowanie nowego lepszego świata.

Na podstawie informacji i świadectw, które przysyłają subskrybenci z całej Rosji, bada Pani biegunowe zachowania społeczne w Rosji w warunkach wojny: z jednej strony formy demonstrowania lojalności (donosy, propaganda), z drugiej – rodzaje sprzeciwu wobec reżimu. Proszę opowiedzieć o funkcjach i celach zjawiska, które nazywa Pani „semantyczną partyzantką".

Agresywna lojalność i zdecydowany protest to raczej krańce wachlarza, na który składa się dużo różnorodnych zachowań, często hybrydowych, trudnych do jednoznacznego przyporządkowania. Problem polega na tym, że władze bardzo sprawnie kontrolują przestrzeń publiczną – zarówno medialną, jak i realną – i ostro reagują na każdą publicznie wyrażaną krytykę. W swoim domu możesz sobie mówić, co chcesz, ale już w mediach społecznościowych czy na murze nie wolno ci tego napisać. Ludzie czują się stłamszeni. Propaganda skutecznie wytwarza w obywatelach poczucie osamotnienia, wrażenie, że wszyscy wokół myślą inaczej niż oni. Dlatego w Rosji rozwijają się formy „słabego oporu", który według Jamesa Scotta jest narzędziem działania „bezsilnych" grup społecznych. W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku Umberto Eco prognozował, że w przyszłości państwa będą totalnie kontrolować przepływ informacji, więc jedynym sposobem wysłania komunikatu w przestrzeń publiczną będzie semiotyczna partyzantka, czyli rozsadzanie od środka treści transmitowanych przez władzę. Używam tej metafory do określenia osób, które dziś w Rosji próbują krytykować działania Kremla. Podobnie jak partyzanci wysadzają na tyłach wroga skład broni, semiotyczni partyzanci w przestrzeni publicznej detonują treści pro-

eprasa.pl 15f0aae880

pagandowe – komunikaty władzy. Stosują różne metody – od naklejek „nie dla wojny" do działań typu *„emotional sharing"* – ideologicznie niewinnych graffiti opisujących emocje, na przykład: „ja też się boję; nie jesteś sam; przejebane". Takie hasła w przestrzeni miejskiej jakby szukają sojusznika. Ludzie mówią mi, że kiedy rano w drodze do pracy zobaczą podobny napis, poprawia im się nastrój. W windach czy na klatkach schodowych wiszą kartki zakamuflowane pod zwykłe ogłoszenia, jak: „zginął pies, przewidziana nagroda". A kiedy nic niepodejrzewający przechodzień podejdzie bliżej, drobnym drukiem przeczyta: „Pies wabi się Przyszłość. Ukraińskie dzieci nie mają przed sobą przyszłości. Jeśli nie odnajdziesz swojej przyszłości, twoje życie też legnie w gruzach". Albo niby zwykła reklama: „NAPRAWA KOMPUTERÓW", a poniżej: „Serwisant nie przyjdzie, bo zabrali go do wojska". To sposób przyciągnięcia uwagi starszych pań spacerujących z psami po osiedlu, przeciętnych telewidzów, którzy od razu odwróciliby się od bezpośrednich krytycznych haseł.

Takie interwencje mogą rozszczelnić telewizyjny obraz rzeczywistości?

Poparcie dla wojny istnieje między innymi dlatego, że – za sprawą starań władz – stało się społecznie akceptowaną praktyką. A teraz wyobraźmy sobie umowną Marię Iwanownę, która rano idzie po chleb, wchodzi do windy, a tam naklejka: „Chuj wojnie". Wychodzi z klatki i widzi napis: „W Mariupolu zabijają ludzi". Na przystanku wisi zakrwawiona dziecięca bluza itd. Zatem w swoim otoczeniu musi się zderzyć z wieloma praktykami braku akceptacji dla wojny. Zgodnie z idealnym założeniem, jeśli Maria Iwanowna zobaczy takich sygnałów odpowiednio dużo, zrozumie, że ma wokół siebie wiele osób, które sprzeciwiają się konfliktowi. A to daje nadzieję, że również sama zmieni poglądy. Do tego dążą semiotyczni partyzanci. To oczywiście wizja utopijna, bo aktywiści są prześladowani, aresztowań i mandatów za graffiti czy naklejki jest naprawdę dużo. Rosyjskie służby rozumieją, że semiotyczny protest jest groźny, więc dają wysokie kary. Niedawno aktywistkę Saszę Skoczylenko sąd skazał na siedem lat więzienia za umieszczenie w marketach kilku antywojennych naklejek. To wyraźne ostrzeżenie dla innych semiotycznych partyzantów.

Aktywistów gotowych do podjęcia ryzyka zawsze jest niewielu. Jak radzą sobie zwykli ludzie, którzy nie popierają wojny, ale nie chcą walczyć z systemem?

W rosyjskich szkołach prowadzona jest natrętna propaganda „patriotycznych duchowych wartości". Nauczycieli zmusza się do organizowania pogadanek. Mnóstwo rodziców pisze do mnie, że w relacjach ze szkołą stosują rozmaite strategie pozornego posłuszeństwa, które socjologia zalicza do form słabego oporu. Na przykład mówią synowi, że jeśli w szkole nauczyciel zarządzi pisanie listów na front, powinien powiedzieć, że rozbo-

eprasa.pl 15f0aae880

lał go brzuch i zwolnić się z lekcji. Kiedy wiedzą, że następnego dnia córka będzie mieć lekcję „wartości patriotycznych", zostaje w domu, a rodzice piszą usprawiedliwienie. Świetnie. Ale z drugiej strony dzieci rosną w poczuciu, że istnieje dużo czysto formalnych rytuałów posłuszeństwa, które można „odbębnić", a dorośli (rodzice, nauczyciele) patrzą na to przez palce. I że jest wielu dorosłych, którym nie należy ufać, a działania, do których wzywają, są zupełnie bezsensowne, więc nie warto się angażować – wystarczy przeczekać. Podobna atmosfera panowała w późnym ZSRR i między innymi dlatego doszło do jego rozpadu. Dziś dzieci uczy się podwójnego myślenia, które w dłuższej perspektywie jest bardzo szkodliwe, bo zniechęca do podejmowania jakiejkolwiek aktywności obywatelskiej. Przecież wszystko, co mówią ludzie związani ze sferą publiczną, to bzdury, którym trzeba formalnie przytaknąć, ale nijak się nie angażować. Z takim przekonaniem trudno będzie w przyszłości budować społeczeństwo obywatelskie.

Czyli taktyka, która w obecnej sytuacji pełni funkcje ochronne, okaże się szkodliwa w dłuższej perspektywie?

Tak, bo dzieci zaczynają ufać tylko „swoim". To jedna z przyczyn słabości protestu. Rosjanie nie wychodzą na demonstracje, bo w ogóle nie lubią masowych akcji. Późnosowieckie podwójne myślenie, według którego zostali wychowani (obowiązkowe pochody, apele itd.), sparaliżowało w nich zdolność do autentycznego uczestnictwa w zbiorowych działaniach.

Z drugiej strony prokremlowska część społeczeństwa chętnie uczestniczy w zbiorowych akcjach poparcia dla wojny.

To też nie jest oczywiste. Trudno zbadać realne poparcie dla wojny. Dwie niezależne organizacje – Russian Field i Chronika – prowadzą badania, w których nie pytają ogólnie o stosunek do SWO, lecz konkretnie formułują pytania: „Czy zgadzasz się, żeby ktoś z twoich bliskich poszedł na front? Ile swoich oszczędności jesteś gotów przeznaczyć na armię?". Wtedy okazuje się, że tylko 25 procent wcześniejszych deklaratywnych zwolenników wojny zgadza się wnieść jakiś osobisty wkład. Mniej więcej tyle samo jest zdecydowanych przeciwników. A pozostałe 50 procent to płynny środek – ci, którzy unikają odpowiedzi, niby popierają lub nie, mówią to, co pytający chce usłyszeć, ale trzymają skrzyżowane palce za plecami.

Aleksandra Archipowa jest rosyjską antropolożką i folklorystką. Bada problemy związane ze współczesnym i radzieckim folklorem politycznym. Publikuje w periodyku „Arzamas", gości w programie *Antropologia* na falach Radia Swoboda.

eprasa.pl 15f0aae880

W stronę juana

Marcin Kaczmarski

Wojna Rosji z Ukrainą jedynie pogłębiła asymetrię w rosyjsko-chińskich relacjach gospodarczych. Rekordowe obroty handlowe w 2023 roku i eksport towarów podwójnego przeznaczenia postawiły chińsko-rosyjskie relacje gospodarcze w centrum uwagi.

Przez lata obserwatorzy stosunków rosyjsko-chińskich lekceważyli współpracę gospodarczą między tymi państwami. Składało się na to kilka przyczyn. Pierwszą były niewielkie obroty handlowe, zwłaszcza jeśli wyłączymy zeń sprzedaż rosyjskiego uzbrojenia do Chin. Co więcej, handel „detaliczny" prowadzony przez przedsiębiorcze jednostki stanowił kluczowy komponent ogólnego bilansu. Taki stan rzeczy utrzymywał się do połowy lat dwutysięcznych, odkąd obroty zaczęły stopniowo rosnąć, a znaczenie „mrówek" – maleć. Ale nawet wówczas, na tle dynamicznego rozwoju handlu Chin z resztą świata, Rosja – pomimo bycia krajem sąsiedzkim – przypominała raczej odszczepieńca niż kluczowego partnera.

W latach dwutysięcznych ukształtował się bowiem panujący do dzisiaj model współpracy gospodarczej. Chiny stopniowo rozszerzały swoją ofertę eksportową nakierowaną na rynek rosyjski, zaopatrując go w coraz bardziej wyszukane technologie. Rosja z kolei zaopatrywała partnera we wszelkiej maści surowce, poczynając od ropy naftowej, a na surowym drewnie kończąc. Jedynym technologicznie zaawansowanym elementem rosyjskiego eksportu była budowa elektrowni nuklearnych. Niemal kompletny brak inwestycji – poza sektorem energetycznym, w rosnącym stopniu finansowanym przez Pekin – dopełniał wrażenie nieomal neokolonialnego modelu współpracy gospodarczej.

Dla zwolenników rosyjsko-chińskiego „strategicznego partnerstwa" taka asymetria była wyjątkowo niewygodna, co często prowadziło do jej ignorowania i skupiania się na geopolitycznym wymiarze relacji. Dla sceptyków był to kolejny dowód na słabość więzi łączących Moskwę i Pekin. Dopiero odcięcie rosyjskiej gospodarki od Zachodu w wyniku sankcji nałożonych po lutowej inwazji na Ukrainę uwidoczniło znaczenie wymiaru gospodarczego w coraz bliższej, a zarazem złożonej relacji między Rosją i Chinami.

eprasa.pl 15f0aae880

Strategiczne efekty pełzającego wsparcia

Największe wrażenie robi dynamika wzrostu obrotów handlowych. W 2023 roku osiągnęły one poziom 240 miliardów dolarów, podczas gdy jeszcze dwa lata wcześniej – w pandemicznym 2021 roku opiewały na niecałe 150 miliardów. Chińskie firmy skorzystały z miejsca poczynionego przez kompanie zachodnie, które zgodnie ze swoimi zapowiedziami opuściły rynek rosyjski. Laptopy, telefony komórkowe i samochody chińskiej produkcji stały się liderami pod nieobecność zachodnich konkurentów. Jednocześnie wzrósł chiński eksport towarów podwójnego przeznaczenia, tzn. mających zastosowanie tak cywilne, jak i wojskowe – od półprzewodników (czipów) niezbędnych do produkcji uzbrojenia po ciężki sprzęt budowlany wykorzystywany do wznoszenia umocnień. Nie zmieniła się przy tym struktura rosyjskiego eksportu do Chin. Wciąż dominują w nim surowce, zaś chiński apetyt na ropę naftową sprawił, że Rosja pozostaje głównym dostawcą ropy do Chin, prześcignąwszy po raz kolejny Arabię Saudyjską.

Asymetria gospodarcza w stosunkach rosyjsko-chińskich uległa pogłębieniu. Niemal 40 procent rosyjskiego importu pochodzi z Państwa Środka, tylko Korea Północna pozostaje bardziej zależna od chińskiego importu.

W rezultacie asymetria gospodarcza w stosunkach rosyjsko-chińskich jedynie uległa pogłębieniu. Niemal 40 procent rosyjskiego importu pochodzi z Chin. Według Kaspara Pucka z Clingendael Institute tylko Korea Północna pozostaje bardziej zależna od chińskiego importu. Skumulowany handel Chin ze Stanami Zjednoczonymi i Unią Europejską wciąż pozostaje pięć–sześć razy większy. Rosyjscy konsumenci nie mają na tyle głębokich portfeli, by zastąpić Amerykanów czy Europejczyków. Moskwa coraz wyraźniej przesuwa się też w sferę juana. Według Janisa Klugego z SWP 37–40 procent rosyjskiego handlu jest rozliczane w juanach, z czego gros przypada na handel z Chinami. Rezerwy rosyjskiego banku centralnego to złoto i juany. Jednocześnie po 2022 roku nie nastąpił napływ chińskich inwestycji do Rosji. Chińscy giganci technologiczni (np. Huawei) oraz finansowi (banki z ekspozycją na Zachód) prowadzą ostrożną politykę. Huawei stara się przestrzegać sankcji, między innymi wycofując się ze sprzedaży osprzętu do 5G i kasując aplikacje banków obłożonych sankcjami ze swoich telefonów w Rosji. Zarazem kompania wciąż zatrudnia rosyjskich specjalistów od IT. Holding Alibaba wstrzymał rosyjskie projekty.

Chińskie wsparcie gospodarcze, napędzane interesami poszczególnych graczy gospodarczych, zwłaszcza tych mniej eksponowanych na rynki zachodnie, ma skumulowany wpływ na zdolność Rosji do utrzymania gospodarki i kontynuowania

eprasa.pl 15f0aae880

operacji wojskowych przeciwko Ukrainie. Jednocześnie wydaje się prawdopodobne, że chińska ekspansja gospodarcza toczy się z przyzwolenia władz w Pekinie, ale nie jest zeń bezpośrednio sterowana. Głównym sposobem na ułatwienie Moskwie prowadzenia wojny jest nieutrudnianie handlu z Rosją. Pekin dał chińskim firmom *carte blanche* na zwiększenie obecności na rynku rosyjskim i dostarczanie Rosji wszelkiego rodzaju towarów o tyle, o ile nie narazi to Chin na zachodnie sankcje.

Rząd w Pekinie wyraźnie nie chce bowiem zaangażować się w otwarte poparcie gospodarcze Rosji – w postaci kredytów, inwestycji czy wreszcie zgody na budowę gazociągu Siła Syberii 2. Takie kroki jeszcze bardziej komplikowałyby i tak nie najlepsze relacje Chin z państwami zachodnimi. Wsparcie gospodarcze Chin dla Rosji w dalszym ciągu jest ukrywane za fasadą neutralności. Poszukiwanie tymczasowej stabilizacji stosunków Chin z USA oraz nadzieje Pekinu na utrzymanie podziałów w Europie i dalsze wbijanie klina w relacje transatlantyckie pokazują, że Pekin próbuje prowadzić grę na wielu frontach, niezależnie od bliskich relacji z Moskwą. Siła Syberii 2 i projekt pasażerskiego samolotu szerokokadłubowego CR929 symbolizują trudności w przejściu od łatwych politycznie haseł i ambitnych projektów do ich wprowadzenia w życie w kontekście zachodnich sankcji.

Niedokończone i nieudane projekty

Potwierdzone kontraktem porozumienie Rosji i Chin w sprawie gazociągu Siła Syberii 2 byłoby najbardziej wyraźnym sygnałem strategicznego wsparcia Pekinu dla Rosji, zwłaszcza w obliczu kurczącego się rynku europejskiego Gazpromu. Projekt napotkał jednak szereg przeszkód, które uniemożliwiały jego realizację jeszcze przed wojną. Zapotrzebowanie Chin na gaz ziemny spadło, a Pekin rozbudował sieć terminali LNG i zawarł długoterminowe kontrakty na dostawy gazu skroplonego. Włączenie Mongolii jako kraju tranzytowego stwarza – z punktu widzenia Pekinu – dodatkowe ryzyko, choć jako trasa lądowa w dalszym ciągu zwiększałaby dywersyfikację źródeł i bezpieczeństwo dostaw.

W maju 2023 roku Chiny kolejny raz otwarły się na perspektywę budowy odcinka „D", zwiększającego przepustowość systemu gazociągów Azja Centralna–Chiny. Moskwa z kolei prawie nie ukrywała, że chciałaby dostarczać gaz z tych samych źródeł, z których korzystają europejscy odbiorcy Gazpromu. Choć kwestie te osłabiają argumenty za Siłą Syberii 2, nie można wykluczyć, że przedłużając negocjacje, Pekin stara się uzyskać od Rosji określone ustępstwa dotyczące ceny gazu, własności złóż gazowych w Rosji czy zakupu udziałów w Gazpromie. Wojna w Ukrainie stworzyła komplikacje polityczne. W przypadku, gdyby Chiny zdecydowały się na podpisanie kontraktu i udzielenie przedpłat lub pożyczek, państwa europejskie odczytają to

eprasa.pl 15f0aae880

jako krok dalej w oferowaniu Rosji strategicznego wsparcia. W związku z tym niepewność co do politycznych skutków porozumienia jeszcze bardziej ogranicza jego wiarygodność. Choć przyszłość Siły Syberii 2 pozostaje otwarta, inny duży projekt chińsko-rosyjski poniósł definitywną porażkę.

W sierpniu 2023 roku Rosja ogłosiła wycofanie się ze wspólnego projektu szerokokadłubowego samolotu pasażerskiego o kryptonimie CR929. Zainicjowany w 2017 roku, CR929 miał poszerzać zakres chińsko-rosyjskiej współpracy gospodarczej poza handlową, przy ambicjach obu państw konkurowania z duopolem Boeing-Airbus. Projekt, naznaczony opóźnieniami, napotkał dalsze przeszkody w następstwie wojny Rosji z Ukrainą. Po nałożeniu sankcji rosyjski udziałowiec – Zjednoczona Korporacja Lotnicza – sprzeciwił się szerokiemu wykorzystaniu zachodnich części projektu. W czerwcu 2023 roku chińska korporacja COMAC przedstawiła projekt jako inicjatywę czysto chińską, zmieniając jego nazwę na „COMAC wide-body". W sierpniu strona rosyjska potwierdziła wycofanie się ze współpracy, deklarując chęć kontynuowania dostaw części (silników, skrzydeł kompozytowych) do samolotu.

Nieodwracalny trend

Wspólne projekty, które pozostają na papierze, często mówią nam więcej o danej relacji niż te, które udało się wdrożyć. Uporczywy lobbing Moskwy na rzecz nowego gazociągu pozostaje jak dotąd daremny. Wspólny samolot podzielił los projektu szybkiej kolei Moskwa–Kazań, która miała być budowana przez chińskie konsorcjum. Brak postępu lub całkowite fiasko głównych wspólnych inicjatyw obnaża rosnące trudności Chin i Rosji w realizacji dużych przedsięwzięć gospodarczych w sytuacji zróżnicowanych powiązań z Zachodem i skuteczności zachodnich sankcji wobec Rosji. Jednocześnie ciągła, dyskretna pomoc Pekinu generuje strategiczne skutki, nawet jeśli największe inwestycje nie są realizowane. Bez wsparcia ze strony Chin dużo trudniej byłoby Rosji prowadzić wojnę.

Oba kraje pozostają w dwóch różnych kategoriach wagowych, jak w żadnej innej sferze. Rosyjski rynek jest stopniowo kolonizowany przez chińskie firmy, a Rosja przesuwa się w sferę juana. Wojna wzmocniła i przyspieszyła trendy, które obserwujemy od dwóch dekad, czyniąc je w praktyce bardzo trudnymi do odwrócenia.

Marcin Kaczmarski jest analitykiem zajmującym się problematyką Europy Wschodniej, bada m.in. relacje Rosji i Chin.

eprasa.pl 15f0aae880

Cerkiew na „świętej wojnie”

Ireneusz Dańko

Rosyjska Cerkiew jest jednym z fundamentów wojennej propagandy Kremla. „Specjalną operację wojskową” w Ukrainie przedstawia jako świętą wojnę w obronie Rosji i prawosławia przed „faszystami z Kijowa” i „zdegenerowanym moralnie kolektywnym Zachodem”.

„Nie chcemy z nikim walczyć, Rosja nigdy nikogo nie zaatakowała. To niesamowite, gdy wielki i potężny kraj nikogo nie zaatakował, a jedynie bronił swoich granic” – mówił w maju 2022 roku patriarcha moskiewski Cyryl podczas kazania w Soborze Archangielskim na Kremlu z okazji Radonicy (prawosławnego Święta Zmarłych). W tym samym czasie Ukraina odpierała od dwóch miesięcy rosyjską inwazję i odkrywała kolejne zbrodnie.

Siedemdziesięcioośmioletni Władimir Gundiajew (świeckie imię i nazwisko Cyryla) należy do zaufanego kręgu Putina, którego wysławia jako wiernego wyznawcę i obrońcę prawosławia. Łączy ich nie tylko tęsknota za rosyjskim (prawosławnym) imperium. Obaj pochodzą z Sankt Petersburga, obaj byli związani z sowiecką bezpieką. Prezydent jako oficer KGB, patriarcha jako tajny agent. Niezależni rosyjscy dziennikarze ustalili, że Gundiajew w czasach sowieckich współpracował z KGB pod pseudonimem „Michajłow”. Będąc sekretarzem leningradzkiego metropolity Nikodema, odpowiedzialnego za kontakty zagraniczne Patriarchatu Moskiewskiego, zbierał i przekazywał informacje o rosyjskiej diasporze. Wtedy też dał się poznać jako miłośnik luksusu, którym do dziś lubi się otaczać (prywatny majątek Gundiajewa w kraju i za granicą szacuje się na ponad 4 miliardy dolarów).

Patriarcha zaprzecza tym doniesieniom. Nie kryje za to wsparcia dla wojny przeciw Ukrainie. Z tego powodu znalazł się na listach osób i firm objętych sankcjami przez rządy między innymi Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Czech i Kanady (sprzeciw Węgier zablokował taką decyzję Unii Europejskiej). Nie ma prawa wjazdu do wyżej wymienionych państw ani też możliwości korzystania z ulokowanego tam majątku. W grudniu 2023 roku Służba Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU) wydała za nim list gończy, oskarżając o zamach na integralność terytorialną kraju i usprawiedliwianie zbrodni wojennych Moskwy. W kwietniu bieżącego roku Zgromadzenie

eprasa.pl 15f0aae880

Parlamentarne Rady Europy uznało całą rosyjską Cerkiew za narzędzie propagandy Kremla, a patriarchę wraz z hierarchami za współwinnych zbrodni w Ukrainie.

Wojna zmywa grzechy

Zwierzchnik rosyjskiego prawosławia solidnie zapracował na miano jednego z głównych inspiratorów i adwokatów zbrojnej agresji w kraju nad Dnieprem. Jeszcze w 2014 roku, po obaleniu rządów Wiktora Janukowycza w Kijowie i wybuchu walk w Donbasie, zajmował neutralne stanowisko. Wzywał walczące strony do pokoju. Nie pojawił się nawet na państwowych uroczystościach z okazji anektowania Krymu do Rosji. Nie przyłączył też krymskich diecezji do rosyjskiej Cerkwi. Z czasem zaostrzył jednak retorykę – zaczął oskarżać ukraińskie władze, a także grekokatolików i prawosławnych nieuznających jego zwierzchnictwa, że prowadzą wojnę religijną przeciw rosyjskiej Cerkwi. To samo powtarzał później Putin, usprawiedliwiając „specjalną operację wojskową".

Według nieoficjalnych informacji opozycyjnej „Nowej Gaziety" Kreml uprzedził patriarchę o planowanej inwazji na Ukrainę. Dzień przed wybuchem konfliktu (podczas obchodów Dnia Obrońcy Ojczyzny) Cyryl uroczyście pozdrowił rosyjską armię i wspomniał, że „nie ma wojny bez ofiar". Tuż po 24 lutego 2022 roku unikał otwarcie prowojennych wystąpień. Wzywał do modlitwy o pokój i wsparcia ofiar w „strefie specoperacji". O sprowokowanie „bratobójczych" walk obwiniał zewnętrzne, antyrosyjskie siły. W kolejnych miesiącach zmienił ton – postawił na twardą wojenną propagandę. Zapowiedzią tego była uroczystość (14 marca 2022 roku), podczas której wręczył ikonę dowódcy rosyjskiej Gwardii Narodowej generałowi Wiktorowi Zołotowowi. Obraz przedstawia Matkę Boską, która miała objawić się rosyjskim żołnierzom przed atakiem na niemieckie pozycje jesienią 1914 roku na Suwalszczyźnie. Patriarcha wierzył, że jej wizerunek także teraz – jak podkreślał – „inspirował młodych żołnierzy, którzy złożyli przysięgę, wstępując na ścieżkę obrony Ojczyzny". Podczas jesiennej mobilizacji w 2022 roku ogłosił, że „ofiara poniesiona w czasie służby wojskowej zmywa wszystkie grzechy", a poległym w Ukrainie obiecywał „wieczne życie". Miesiąc później wezwał Rosjan do dwudniowych modłów o zdrowie Putina i głównodowodzącego armii rosyjskiej, który wtedy obchodził jubileusz siedemdziesiątych urodzin.

Patriarcha Cyryl w 2014 roku zajmował neutralne stanowisko w kwestii rosyjskiej interwencji w Ukrainie. Wzywał walczące strony do pokoju. Nie pojawił się nawet na państwowych uroczystościach z okazji anektowania Krymu do Rosji.

eprasa.pl 15f0aae880

Wierni w zatwierdzonych przez Cyryla tekstach mieli prosić Boga, aby wybawił jubilata od „widocznych i niewidocznych wrogów". Niedługo potem Cerkiew wydała dla walczących żołnierzy specjalne modlitewniki, w których dyktatora z Kremla określono „arcystrategiem i kochającym Boga Rosyjskim Władcą". „Tak w prawosławiu nazywa się archanioła Michała – głowę wojska aniołów" – tłumaczyła gazeta „The Moscow Times".

Zwierzchnik rosyjskiej Cerkwi nie dał się nikomu przebić w wiernopoddańczych hołdach dla Putina. Inaugurację jego piątej prezydenckiej kadencji uczcił w maju bieżącego roku modłami w kremlowskim Soborze Zwiastowania. W trakcie uroczystości życzył gospodarzowi Kremla, by rządził do końca życia. Za wzór dawał mu kanonizowanego wielkiego księcia Aleksandra Newskiego, osiemnastowiecznego pogromcę Szwedów i niemieckich kawalerów mieczowych. „Ten człowiek nie oszczędzał swoich wrogów, ale zasłynął jako święty" – podkreślał Cyryl.

Duchowni rosyjskiej Cerkwi – jak powtarza patriarcha – od początku są na pierwszej linii frontu w walce z wrogami ruskiego miru. Potwierdza to ukraińska lista osób objętych sankcjami za wspieranie wojny, na którą w styczniu 2023 roku wpisano dwudziestu dwóch prawosławnych dostojników z Rosji. Poza Cyrylem znalazł się tam między innymi jego bratanek, protojerej Michaił Gundiajew oraz wpływowy siedemdziesięcioszścioletni metropolita włodzimierski i suzdalski Tichon. „NATO buduje swoje umocnienia, sprowadza sprzęt do ataku na Rosję. To ostatnia walka. Gdybyśmy nie wprowadzili wojska jako pierwsi, zaatakowaliby nas" – Tichon usprawiedliwiał atak na Ukrainę.

Oficjalny tytuł Cyryla brzmi: Jego Świątobliwość Patriarcha Moskiewski i całej Rusi. „Całej", czyli obejmującej Rosję, Białoruś i Ukrainę. Podobnie jak Putin zaprzecza istnieniu ukraińskiego narodu. Ukraińcy („Małorusini") to – w jego opinii – część „trójjedynego narodu rosyjskiego", obok Rosjan („Wielkorusów") i Białorusinów. W takim duchu przemawiał w marcu bieżącego roku w katedralnym soborze Chrystusa Zbawiciela w Moskwie, gdzie jako zwierzchnik Cerkwi przewodniczył nadzwyczajnemu Światowemu Zgromadzeniu Rosyjskiej Rady Ludowej.

„Przywrócenie jedności narodu rosyjskiego oraz jego potencjału duchowego i życiowego jest kluczowym warunkiem rozwoju Rosji i rosyjskiego świata w XXI wieku – zauważył. – I niech nikt nas nie straszy rosyjskim nacjonalizmem, rosyjski nacjonalizm w naturze nie istnieje, wszyscy o tym wiedzą".

Na koniec obrad kilkuset działaczy organizacji powiązanych z rosyjską Cerkwią przyjęło dokument, w którym specjalną operację wojskową w Ukrainie nazwali „świętą wojną". Wezwali też władze na Kremlu, by wpisać do systemu prawnego pojęcie „trójjedynego narodu rosyjskiego", a obronę „rosyjskiego świata" przed „globalizmem" i „satanistycznym" Zachodem uznać za priorytet polityki zagranicznej Rosji.

eprasa.pl 15f0aae880



Źródło Patriarchat Moskiewski

Siedemdziesięcioośmioletni Władimir Gundiajew (świeckie imię i nazwisko Cyryla) należy do zaufanego kręgu Putina, którego wysławia jako wiernego wyznawcę i obrońcę prawosławia.

„Specjalna operacja wojskowa stanowi nowy etap narodowowyzwoleńczej walki narodu rosyjskiego przeciwko zbrodniczemu reżimowi w Kijowie i stojącemu za nim kolektywnemu Zachodowi (…). Podczas specjalnej operacji wojskowej naród rosyjski z bronią w ręku walczy o swoje życie, wolność, państwowość, tożsamość cywilizacyjną, religijną, narodową i kulturową, a także prawo do życia na własnej ziemi w granicach jednego państwa rosyjskiego" – czytamy w uchwale przyjętej pod kierunkiem patriarchy. „Należy całkowicie wykluczyć możliwość istnienia na tym terytorium rusofobicznego reżimu politycznego, wrogiego Rosji i jej narodowi, a także reżimu politycznego kontrolowanego z zewnętrznego ośrodka wrogiego Rosji".

Modlitwa za Świętą Ruś

Gundiajew przez piętnaście lat zwierzchnictwa nad rosyjską Cerkwią stworzył z niej scentralizowaną religijno-polityczną strukturę. Zgodnie z tradycją sięgającą Wielkiego Księstwa Moskiewskiego związał ją ściśle z państwem. Początkowo uchodził za kościelnego liberała, obecnie rządzi twardą ręką, nie znosi sprzeciwu. Przekonali się o tym nieliczni kapłani, którzy po 24 lutego 2022 roku podpisali list

eprasa.pl 15f0aae880



Źródło Patriarchat Moskiewski

Przytłaczająca większość prawosławnych księży w Rosji spełnia oczekiwania władz państwa i Cerkwi. Nie tylko modlą się o zwycięstwo w Ukrainie, ale też karnie błogosławią poborowych w punktach mobilizacyjnych i służą na terenach objętych walkami.

otwarty z apelem o zakończenie „bratobójczej wojny" w Ukrainie. Część z około trzystu duchownych, która to uczyniła (na ponad trzydzieści tysięcy parafii Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej), została poproszona o wycofanie się z tego stanowiska – odmowa równała się z wykluczeniem ze stanu kapłańskiego i ukaraniem przez sądy za „dyskredytowanie" armii. Część wyemigrowała, by uniknąć kary. Księży, którzy modlili się o pokój, przełożeni pouczali, że powinni prosić Boga o zwycięstwo. Do wszystkich parafii trafiła specjalna *Modlitwa za Świętą Ruś*, którą kapłani mieli odmawiać z wiernymi podczas nabożeństw. „Powstań, Boże, aby pomóc Twojemu ludowi, i obdarz nas mocą Twojego zwycięstwa" – głosi jej fragment. Dalej brzmi: „Umocnij w Twoich przykazaniach wojowników i wszystkich obrońców naszej Ojczyzny, ześlij na nich siłę ducha, zachowaj od śmierci, ran i niewoli…"

Kto nie podporządkował się nakazowi, miał poważne problemy, jak na przykład dwudziestoośmioletni proboszcz Ilia Gawriszkiw z wioski Pogoriełoje Gorodiszcze koło Tweru. Wcześniej złożył podpis pod antywojennym listem i modlił się o pokój, ale po donosach do biskupa i Komitetu Śledczego Rosji został zmuszony do publicznej samokrytyki i wysłania „listu pokutnego" do władz kościelnych. W internecie można zobaczyć film, na którym kaja się przed parafianami w cerkwi. Biskup rżew-

eprasa.pl 15f0aae880

ski i toropiecki Adrian stoi obok i strofuje młodego kapłana. Grozi odsunięciem proboszcza od liturgii i wydaleniem ze stanu duchownego.

„Kim byłeś u nas? Ojcem Ilią? A teraz kim? Iliuszką, nie wiadomo jakim"… – ironizuje siwobrody hierarcha. Skruszony ksiądz pokornie wyznaje winę. Swój „błąd" tłumaczy „brakiem doświadczenia, pychą i głupotą". „Proszę was o wybaczenie, bardzo was kocham i szanuję" – kończy pokutne wystąpienie. „No co, wybaczymy?" – pyta biskup parafian. „Wybaczamy" – odpowiadają. Mimo to miesiąc później w niezależnych mediach pojawiła się informacja, że proboszcz Gawriszkiw złożył rezygnację z urzędu i opuścił parafię. Zrobić to miał po kolejnych donosach, których autor żądał wysłania go na front w Ukrainie, a przy okazji oskarżył jego żonę o pacyfizm i popieranie Aleksieja Nawalnego.

Pacyfizm to (według rosyjskiej Cerkwi) grzeszny przejaw heretyckiej myśli, niezgodnej z prawosławnym nauczaniem. Tak stwierdził sąd cerkiewny w sprawie pięćdziesięciodwuletniego proboszcza parafii we wsi Karabanowo, którą opisał rosyjski portal Meduza. Ksiądz Joann Burdin został najpierw ukarany grzywną w wysokości 35 tysięcy rubli przez państwowy sąd za „dyskredytację" armii podczas antywojennego kazania, które wygłosił w marcu 2022 roku. Następnie pozbawiono go kościelnej funkcji i praw kapłańskich. W aktach cerkiewnego procesu, które sam opublikował, przypominano mu, że Cerkiew prawosławna zawsze „błogosławiła żołnierzy w obronie Ojczyzny".

Od sprawowania liturgii został odsunięty także inny kapłan – Dimitrij Safronow. Podpadł on nie tylko tym, że nie chciał odmawiać modlitwy za zwycięstwo Świętej Rusi. W styczniu bieżącego roku odprawił panachydę (nabożeństwo żałobne) po śmierci Nawalnego w kolonii karnej. Tego było już za wiele.

Podczas jesiennej mobilizacji w 2022 roku patriarcha Cyryl ogłosił, że „ofiara poniesiona w czasie służby wojskowej zmywa wszystkie grzechy", a poległym w Ukrainie obiecywał „wieczne życie".

Przytłaczająca większość prawosławnych księży w Rosji spełnia oczekiwania władz państwa i Cerkwi. Nie tylko modlą się o zwycięstwo w Ukrainie, ale też karnie błogosławią poborowych w punktach mobilizacyjnych i służą na terenach objętych walkami. Ich działalność koordynuje główny kapelan wojskowy powołany przez Cyryla do zadań w „strefie specoperacji". Niektórzy nie tylko niosą tam duchową posługę. Niezależne rosyjskie media ujawniły, że jeden z duchownych – mimo oficjalnego cerkiewnego zakazu – brał broń do ręki i strzelał do ukraińskich żołnierzy. Jesienią 2022 roku biskup Sawwa, zastępca administratora Patriarchatu Moskiewskiego, przyznał, że trzech duchownych poległo na froncie. Później miało ich zginąć jeszcze kilku.

eprasa.pl 15f0aae880

Nie zabijaj

Ukraińska Prawosławna Cerkiew Patriarchatu Moskiewskiego aż do 24 lutego 2022 roku dbała o dobre kontakty z rosyjskimi współwyznawcami. Otwarta zbrojna agresja przeciwko Ukrainie sprawiła jednak, że jej głowa – metropolita kijowski Onufry – publicznie potępił wojnę i wezwał prezydenta Putina do wstrzymania „bratobójczych” walk. Zaapelował też do wiernych o „zjednoczenie wokół Ojczyzny” i wspieranie ukraińskiej armii. Trzy miesiące później zwołał w nagłym trybie sobór, który odciął się od moskiewskiego patriarchy, przypominając mu, że wojna to „pogwałcenie przykazania Bożego „Nie zabijaj”. Najważniejszą decyzją była zmiana statutu UPC, która – zdaniem autorów – daje pełną niezależność od Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej.

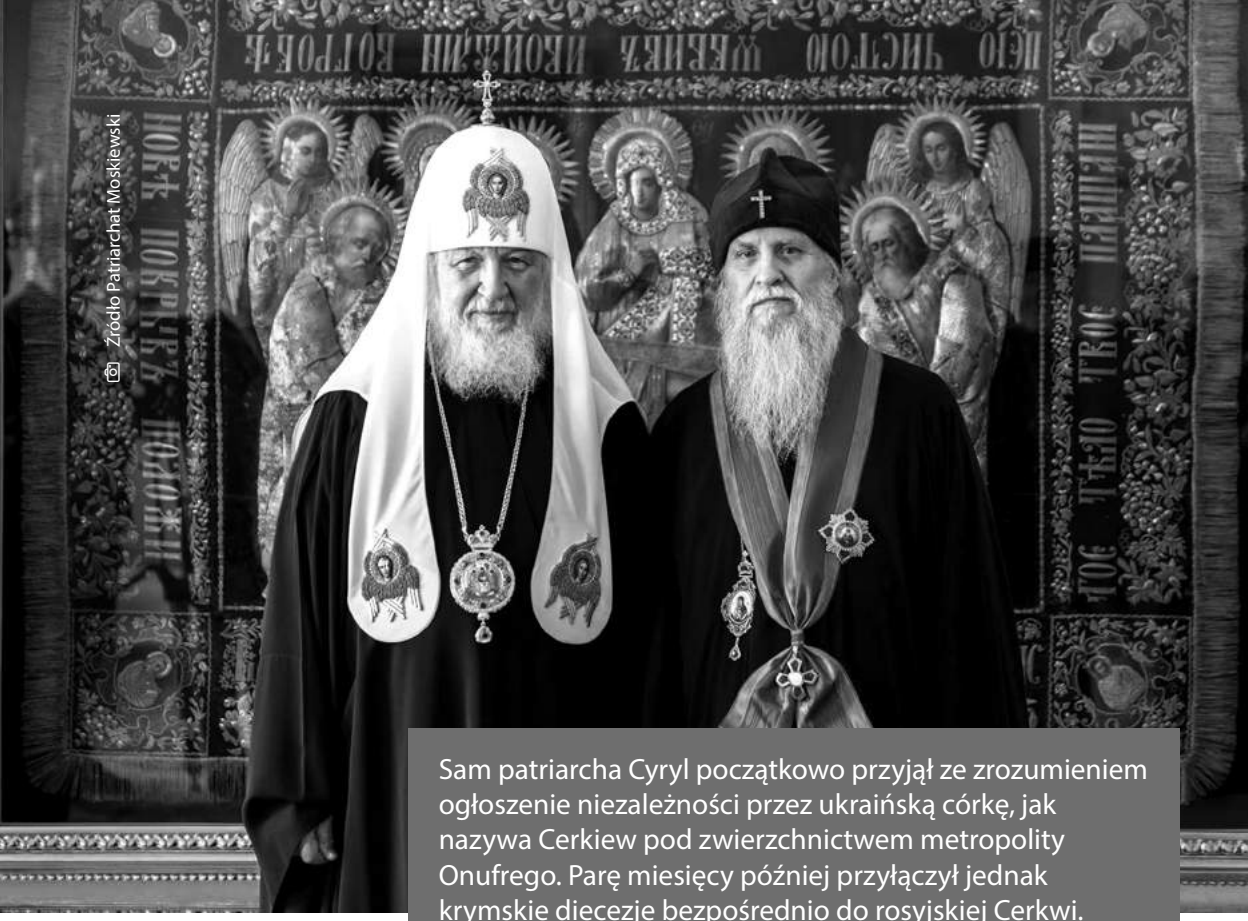
Choć z oficjalnych dokumentów UPC zniknęło określenie, że jest „Patriarchatu Moskiewskiego”, wspomniana „niezależność” budzi duże wątpliwości. Państwowa Służba Ukrainy ds. Etnopolityki i Wolności Sumienia w styczniu 2023 roku stwierdziła w ekspertyzie, że nowy statut i uchwały nie doprowadziły do zerwania cerkiewno-kanonicznego związku Ukraińskiej Prawosławnej Cerkwi z Patriarchatem Moskiewskim. Dalej pozostaje w jego strukturze, ciesząc się jedynie „pewnymi prawami do samodzielności”, nie tworzy zaś niezależnej, autokefalicznej wspólnoty religijnej.

W praktyce wygląda to różnie. Wielu duchownych UPC, w tym wysokich hierarchów, którzy w przeszłości słynęli z prorosyjskich poglądów, przeszło autentyczną przemianę, widząc rosyjskie zbrodnie na ukraińskich ziemiach. Od tego czasu z wiernymi organizują między innymi zbiórki dla ukraińskich uchodźców i żołnierzy. Inni zachowali sympatie do ruskiego miru, a nawet podjęli współpracę z okupacyjnymi władzami na zajętych terenach Ukrainy.

Rosyjska Cerkiew wydała dla walczących żołnierzy specjalne modlitewniki, w których dyktatora z Kremla określono „arcystrategiem i kochającym Boga Rosyjskim Władcą”.

Deklarowany patriotyzm wynika zapewne często z obawy przed zarzutami o zdradę, delegalizację Cerkwi czy odejście wiernych. Jeszcze kilka lat temu UPC była największą wspólnotą prawosławną w Ukrainie, posiadała 11,5 tysiąca parafii. Dziś ustępuje konkurencyjnej Prawosławnej Cerkwi Ukrainy (PCU), która powstała z połączenia dwóch ukraińskich Cerkwi nieuznających prymatu Moskwy. Mimo głośnych rosyjskich protestów patriarcha Konstantynopola Bartłomiej (honorowy przywódca światowego prawosławia) nadał w 2018 roku autokefalię PCU, czyli kanoniczną niezależność. Od tego czasu przeszło do niej wielu wiernych, księży i całych parafii należących wcześniej do Moskiewskiego Patriarchatu. Proces ten szczegól-

eprasa.pl 15f0aae880



Źródło Patriarchat Moskiewski

Sam patriarcha Cyryl początkowo przyjął ze zrozumieniem ogłoszenie niezależności przez ukraińską córkę, jak nazywa Cerkiew pod zwierzchnictwem metropolity Onufrego. Parę miesięcy później przyłączył jednak krymskie diecezje bezpośrednio do rosyjskiej Cerkwi.

nie przybrał na sile po 24 lutego 2022 roku. Szacuje się, że od tego czasu UPC opuściło od 700 do 1000 parafii. Bywało jednak i tak, że parafianie odchodzili, bo nie podobało im się nowe, „proukraińskie" oblicze Cerkwi i krytyka patriarchy Cyryla.

„Ideologiem tej wojny jest Cerkiew moskiewska, która błogosławi i wysyła swoich pasterzy, żeby tam, na pierwszej linii frontu, święcić morderców, którzy gwałcą, rabują. Trudno zrozumieć, gdzie tu jest duchowość" – swoje odejście z UPC tłumaczył w rozmowie z ukraińskim portalem Suspilne ksiądz Anatolij Jackiw z Wołynia.

Sam patriarcha Cyryl początkowo przyjął ze zrozumieniem ogłoszenie niezależności przez ukraińską córkę, jak nazywa Cerkiew pod zwierzchnictwem metropolity Onufrego. Uznał to za wynik presji ukraińskich władz na hierarchów i ich troski, by nie utracić parafii i wiernych. Parę miesięcy później przyłączył jednak krymskie diecezje bezpośrednio do rosyjskiej Cerkwi, z czym wstrzymywał się od aneksji półwyspu przez Rosję w 2014 roku. To samo wkrótce uczynił także z diecezją w okupowanym obwodzie ługańskim.

Mimo głoszonej niezależności od Moskwy ukraińskie władze objęły sankcjami część hierarchów UPC z Onufrym na czele. Służba Bezpieczeństwa Ukrainy od początku wojny kontroluje tzw. moskiewskie świątynie w całym kraju. W ślad za tym

eprasa.pl 15f0aae880

wszczęto około siedemdziesięciu śledztw, w tym kilkanaście przeciw metropolitom. Na niektórych ciążą zarzuty zdrady państwa i kolaboracji z wrogiem.

Wyrok pięciu lat więzienia i pozbawienia majątku jako pierwszy usłyszał w sierpniu 2023 roku metropolita tulczyński i bracławski Jonafan, którego sąd uznał winnym usprawiedliwiania wojny i zamachu na terytorialną integralność Ukrainy. Duchowny nie odsiedział nawet roku. Dzięki osobistym zabiegom patriarchy Cyryla pod koniec czerwca bieżącego roku został przekazany do Rosji w zamian za kilku ukraińskich jeńców wojennych. Jego zbawca nie krył, że zna dobrze Jonafana. Przed laty kierował seminarium duchownym w Moskwie, w którym Jonafan pobierał nauki. „To kolejny akt rażącego naruszenia wolności religijnej, przykład prześladowania wiary” – grzmiał zwierzchnik rosyjskiej Cerkwi, podejmując byłego seminarzystę w swojej rezydencji i honorując go medalem.

Zwierzchnik rosyjskiej Cerkwi inaugurację piątej kadencji prezydenckiej Putina uczcił modłami w kremlowskim Soborze Zwiastowania. Życzył gospodarzowi Kremla, by rządził do końca życia.

Najgłośniejsza sprawa karna dotyczy byłego już przełożonego Ławry Peczerskiej w Kijowie. Zabytkowy klasztor jest najstarszym i najważniejszym prawosławnym ośrodkiem Ukrainy, jego historia sięga Rusi Kijowskiej. Sześćdziesięciotrzyletni metropolita Paweł (Petro Łebid) przez trzydzieści lat zarządzał Ławrą, często goszcząc patriarchę Cyryla i najważniejszych rosyjskich polityków. Był dobrym znajomym prezydenta Wiktora Janukowycza, którego porównał nawet do Chrystusa. Po rosyjskiej agresji nie zmienił swoich sympatii. Kwestionował decyzje cerkiewnego synodu o uniezależnieniu się od Moskwy, dalej modlił się w intencji patriarchy Cyryla. Odmawiał opuszczenia z innymi mnichami tysiącletniego kompleksu klasztornego, który formalnie należy do ukraińskiego państwa. W ubiegłym roku trafił w końcu do całodobowego aresztu domowego, bez prawa kontaktu z wiernymi. Wolność odzyskał po wpłacie olbrzymiej kaucji opiewającej na 33 miliony hrywien (ponad 3 miliony złotych), którą zebrali zamożni wierni. Akt oskarżenia zarzuca mu wznieca-nie nienawiści na tle religijnym i usprawiedliwianie rosyjskiej agresji, za co grozi do ośmiu lat więzienia. Wśród dowodów znajdują się między innymi nagrania rozmów telefonicznych, w których metropolita z satysfakcją komentuje okupację południa kraju przez Rosjan. W jego siedzibie SBU znalazła wiele antyukraińskich materiałów pochodzących z Rosji. „Pasza Mercedes”, jak mówią o nim z powodu zamiłowania do drogich aut, nie przyznał się do winy. Twierdzi, że jest ofiarą religijnych i politycznych prześladowań. Duchowni Patriarchatu Moskiewskiego wciąż zajmują znaczną część Ławry, tocząc spór sądowy z rządem ukraińskim o prawo do jej dal-

eprasa.pl 15f0aae880

szego bezpłatnego użytkowania. Resztę odzyskanych sakralnych obiektów przekazano do dyspozycji autokefalicznej Cerkwi.

„Zapewnimy naszemu państwu pełną niepodległość. W szczególności niezależność duchową. Nigdy nie pozwolimy nikomu budować imperium w ukraińskiej duszy” – ogłosił 1 grudnia 2022 roku prezydent Wołodymyr Zełenski.

Zgodnie z oczekiwaniami głowy państwa, jak również większości obywateli (na co wskazują badania socjologiczne), Rada Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy zleciła rządowi przygotowanie projektu ustawy, który zakaże działalności „organizacji religijnych powiązanych z ośrodkami wpływów w Federacji Rosyjskiej”. Jesienią ubiegłego roku przeszedł on pierwsze czytanie w Radzie Najwyższej. Kiedy nastąpi drugie i w jakiej ostatecznie formie wejdzie w życie, nie wiadomo. Dokument nie wskazuje wprost, że chodzi o Ukraińską Prawosławną Cerkiew Patriarchatu Moskiewskiego. Mimo to jej przedstawiciele zgłosili sprzeciw. Przekonują, że proponowane przepisy kolidują z Europejską Konwencją Praw Człowieka i konstytucją Ukrainy. Z drugiej strony dodają, że od dwóch lat nie podlegają rosyjskiemu patriarsze.

Ireneusz Dańko jest historykiem, publicystą, dziennikarzem. Zajmuje się m.in. problematyką Europy Wschodniej. Stale współpracuje z „Nową Europą Wschodnią”. Wokalista zespołu Kuranty.

eprasa.pl 15f0aae880

Azerbejdżan
Zakazane historie

Anna Żamejć

Władze Azerbejdżanu rozprawiają się ze społeczeństwem obywatelskim i ostatnimi niezależnymi redakcjami. Niedawne masowe aresztowania prozachodnich dziennikarzy i aktywistów stanowią poważną zmianę w polityce wewnętrznej kraju i mogą również zwiastować początek nowego geopolitycznego kursu pod rządami Ilhama Alijewa.

Gdy w listopadzie zeszłego roku za kratki trafili założyciele i dziennikarze Abzasu, niezależnego bakijskiego portalu newsowego utworzonego w 2016 roku, niewiele jeszcze wskazywało na to, że to początek nowej kampanii prześladowań wobec dziennikarzy i społeczeństwa obywatelskiego.

Internetowa redakcja słynęła z publikacji niezwykle odważnych dziennikarskich śledztw, które obnażały korupcję władz i lokalnych oficjeli. Wielu na początku zinterpretowało wysunięte pod adresem dyrektora Abzasu Ulwiego Hasanli i pięciu dziennikarzy z jego ekipy zarzuty szmuglowania pieniędzy jako rezultat przekroczenia przez redakcję niepisanych granic. W autorytarnym Azerbejdżanie wszak nietrudno nadepnąć na odcisk wpływowym urzędnikom – szczególnie przez niewygodne publikacje.

Zatrzymania dziennikarzy zbiegły się jednak z zaskakującą rozmachem antyzachodnią kampanią w azerskich prorządowych mediach, w których oskarżano Europę i Stany Zjednoczone o budowanie ukrytych siatek wpływu w Azerbejdżanie.

Przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych wezwał nawet na dywanik ambasadorów USA, Francji i Niemiec, aby potępili to, co określił „nielegalnymi operacjami finansowymi" trzech krajów w celu wspierania Abzasu.

W Azerbejdżanie, w którym restrykcyjne ustawodawstwo praktycznie uniemożliwia otrzymywanie zagranicznych grantów, upowszechniła się w ostatnich latach praktyka otwierania kont bankowych w trzecich krajach w celu korzystania z zachodnich programów pomocowych. Choć przez lata władze przymykały oko na te działania, nagle luka w prawie stała się pretekstem do (naciąganych zdaniem niezależnych prawników) zarzutów kryminalnych. Organizacje reporterskie na całym świecie szybko uznały dziennikarzy Abzasu za więźniów politycznych.

eprasa.pl 15f0aae880

Zaledwie kilka dni po aresztowaniu dziennikarzy Abzasu, tym razem pod zarzutem rzekomo nielegalnej budowy, zatrzymano kolejnego reportera. Był to naczelny internetowego popularnego Kanału 13 Aziz Orujow. Dramatyczny moment aresztowania dziennikarza uwieczniła na filmie jego żona. Gdy zamaskowani policjanci wtargnęli do ich domu, trzyletnia córka wdarła się między ojca i mundurowych, usiłując powstrzymać wyprowadzenie Orujowa. Do aresztu śledczego trafił również prezenter Kanału 13 Szamo Eminow. Obu dziennikarzom dodano zarzuty szmuglowania pieniędzy z grantów zachodnich organizacji.

Machina aresztowań dopiero się jednak rozkręcała.

Łamanie lokalnych liderów

Kilka miesięcy później, w marcu 2024 roku, zatrzymano współzałożycieli kolejnej znanej niezależnej redakcji internetowej Toplum TV: Akifa Gurbanowa i Alasgara Mammadli, wraz z szóstką reporterów. Do tego dziesiątki osób wezwano na przesłuchania i objęto zakazem wyjazdu z kraju. Skala prokuratorskiego śledztwa nie pozostawiała wątpliwości: chodziło o coś więcej niż pojedyncze zatrzymania.

Na pozostających na wolności nielicznych niezależnych dziennikarzy padł blady strach – każdy mógł się stać kolejną ofiarą polowania na czarownice.

– Mamy do czynienia z całkowitym przejmowaniem kontroli nad mediami w Azerbejdżanie. Wiele redakcji od dawna już było pod kontrolą, ale w tym momencie niszczone są ostoje wolności słowa. Rząd Azerbejdżanu wysyła mocny sygnał do wszystkich, że niezależne dziennikarstwo nie tylko nie będzie tolerowane, ale co więcej, będzie ścigane i karane – mówi Kenan Alijew, azerski ekspert ds. mediów i były dyrektor Serwisu Azerbejdżanu Radia Wolna Europa.

Alijew zwraca również uwagę na stosunkowo niewielką reakcję na kryzys wolności mediów w Azerbejdżanie ze strony Zachodu. Poza garstką artykułów w prasie europejskiej i oświadczeń wydanych przez dziennikarskie i prawoczłowiecze watchdogi, Unię Europejską, Radę Europy i Departament Stanu USA aresztowania nie odbiły się głośnym echem.

– Wielu azerskich demokratów czuje się zdradzonych i pozbawionych nadziei, i to jest dokładnie to, czego chce władza. Mogą sobie dzielić wartości z Zachodem, ale w sukurs wam z Zachodu nikt nie przyjdzie – dodaje Alijew.

Według rachunków Instytutu na Rzecz Pokoju i Demokracji, azerskiego watchdoga w Holandii, w Azerbejdżanie za kratkami znajduje się obecnie trzystu trzech więźniów politycznych – dwukrotnie więcej niż przed rokiem. Poza przedstawicielami mediów siedzą także działacze społeczeństwa obywatelskiego. Dla niektórych z nich aresztowanie i czekanie na wyrok nie było jednak końcem prześladowań.

eprasa.pl 15f0aae880

Bakhtijar Hadżijew został zatrzymany w grudniu 2022 roku, kilka dni po powrocie z dorocznej konferencji Partnerstwa Wschodniego. Ten czterdziestodwuletni aktywista usłyszał zarzuty dotyczące między innymi chuligaństwa i obrazy sądu, ale według miejscowych watchdogów prawdziwy powód odebrania wolności był zgoła inny. Hadżijew, absolwent Harvardu z obszerną siecią kontaktów politycznych w amerykańskich i europejskich instytucjach, aktywnie zabiegał o wprowadzenie wobec Azerbejdżanu sankcji za łamanie praw człowieka.

Jego działalność musiała wyjątkowo rozeźlić azerskie władze, bo nie skończyło się na aresztowaniu. Hadżijew padł również ofiarą czarnej kampanii ze strony służb specjalnych. Zhakowano jego konta w mediach społecznościowych i ujawniono intymne rozmowy oraz zdjęcia z udziałem kobiet. Aktywista, który nigdy się nie ożenił i nie pozostawał oficjalnie w związku, przyznał, że flirtował z wieloma paniami, ale nie robił nic nielegalnego. Mimo zapewnień Hadżijewa, że część materiałów jest podkręcona lub sfingowana przez służby, jego publiczny wizerunek w konserwatywnym Azerbejdżanie runął w gruzach.

Według rachunków Instytutu na Rzecz Pokoju i Demokracji, azerskiego watchdoga w Holandii, w Azerbejdżanie za kratkami znajduje się obecnie trzystu trzech więźniów politycznych – dwukrotnie więcej niż przed rokiem. Siedzą także działacze społeczeństwa obywatelskiego.

Na wieść o wycieku prywatnych konwersacji i negatywnej reakcji opinii publicznej Hadżijew zakończył swój blisko pięćdziesięciodniowy strajk głodowy. Z każdym kolejnym tygodniem jest mu jednak coraz trudniej. Jest wykończony psychicznie wydarzeniami ostatnich miesięcy, zmaga się z silnymi bólami głowy i narastającymi problemami zdrowotnymi. Mimo że nie jest to jego pierwsza odsiadka (w 2012 roku, jako ówczesny lider ruchu społecznego, został aresztowany za rzekome unikanie służby wojskowej i spędził w więzieniu blisko dwa lata), i tym razem nie zanosi się na szybkie odzyskanie wolności.

Kolejną popularną postacią z azerskiego społeczeństwa obywatelskiego, która padła ofiarą ostatniej fali represji, jest Akif Gurbanow. Założyciel niezależnych mediów Toplum TV i dyrektor Instytutu Demokratycznych Inicjatyw (IDI) postanowił w ostatnich miesiącach skręcić w stronę polityki. W kraju, w którym działacze opozycji są notorycznie prześladowani, czterdziestotrzyletni Gurbanow podjął w grudniu odważną decyzję współtworzenia nowego demokratycznego ruchu liberalnego Trzecia Republika. U podstaw nowej platformy leży dążenie do utworzenia świeckiej parlamentarnej republiki, opartej na systemie proporcjonalnym i decentralizacji władzy w regionach.

eprasa.pl 15f0aae880

Już piętnaście dni po ogłoszeniu nowej inicjatywy władze zatrzymały jej działacza – Araza Alijewa. Sam Gurbanow trafił za kratki 6 marca i usłyszał te same zarzuty co dziennikarze, dotyczące szmuglowania pieniędzy (innymi słowy otrzymywania grantów zagranicznych). Mimo że miał możliwość wyjazdu z Azerbejdżanu i kontynuowania działalności za granicą, nie zdecydował się na to. Na krótko przed aresztowaniem, którego zresztą się spodziewał, tłumaczył, że sumienie nie pozwala mu opuścić ojczyzny.

– W obliczu rosnących w kraju represji uczciwy obywatel ma tylko trzy opcje. Pierwsza to zaszyć się głęboko na prowincji, rzucić politykę i zająć się rolnictwem. Druga to wyjazd za granicę. A trzecia to stawienie czoła aktualnej sytuacji – mówił mi Gurbanow w prywatnej rozmowie, za kulisami jednej z międzynarodowych konferencji. – A ja przecież nie jestem rolnikiem – rzucił z uśmiechem.

Zdaniem Elmana Fattaha, eksperta ds. międzynarodowych, autora książki *Autorytaryzm i Azerbejdżan* oraz jednego z siedmiu współtwórców Trzeciej Republiki, ewoluująca działalność Gurbanowa, przed dekadą członka azerskiej Centralnej Komisji Wyborczej, z biegiem lat stawała się solą w oku autorytarnego rządu.

– Począwszy od 2013 roku, Akif zrobił naprawdę wiele dla rozwoju społeczeństwa obywatelskiego w Azerbejdżanie. Założył kilka organizacji, edukował młodych ludzi na temat praw człowieka, pracował z dziennikarzami i walczył z dezinformacją. Myślę, że jego działalność była doskonale znana władzom. Zaangażowanie się w Trzecią Republikę obnażyło jego polityczne ambicje i to było już dla rządzących za dużo, więc postanowili go aresztować – mówi Fattah.

Dodaje, że obecnie aż siedem osób powiązanych z IDI i Toplum znajduje się w areszcie. Rząd naciskał na każdego z zatrzymanych, aby złożyli zeznania przeciw Akifowi, ale nikt się nie ugiął.

Wraz z Gurbanowem został aresztowany drugi współtwórca Toplum TV, prawnik Alasgar Mammadli, oskarżony również o szmuglowanie pieniędzy ze źródeł zagranicznych grantów.

Jego zatrzymanie wywołało spore zdumienie wśród społeczeństwa obywatelskiego. Ceniony za dyplomatyczny ton, znany w trzecim sektorze adwokat specjalizujący się w prawie medialnym został aresztowany w drodze do szpitala, gdzie miał mieć przeprowadzoną biopsję tarczycy. Mammadli zmaga się z poważną chorobą (podejrzenie raka tarczycy). Mimo apelów miejscowych działaczy praw człowieka i organizacji międzynarodowych sąd nie zgodził się na przeniesienie adwokata do aresztu domowego.

– Rząd nie pozwala na jego skuteczne leczenie. Nie wypuszczają go, mimo że nie ma żadnych dowodów potwierdzających jego rzekomą winę. Bardzo martwimy się o jego zdrowie. Alasgar ma dzieci w wieku szkolnym i na studiach. Nielegalne aresz-

eprasa.pl 15f0aae880

towanie ojca miało na nich druzgocący wpływ, już nie wspominając, że Alasgar był jedynym żywicielem rodziny. Niestety widzimy, że krajowy proces prawny dotyczący uwolnienia Alasgara nie działa. Mamy nadzieję, że międzynarodowe organizacje praw człowieka będą w stanie wpłynąć na rząd – komentuje Nasimi Mammadli, brat zatrzymanego prawnika.

Tymczasem 29 kwietnia nadeszły kolejne złe wieści. Do zatrzymanych w związku z otrzymywaniem grantów z zagranicy dołączył Anar Mammadli, dyrektor Centrum Monitoringu Wyborów i Demokracji oraz kluczowa postać azerskiego społeczeństwa obywatelskiego. Ten czterdziestopięcioletni ceniony ekspert ds. wyborów i obrońca praw człowieka został niespodziewanie zgarnięty przez policję z ulicy, gdy odbierał syna z przedszkola. Mammadli ma już za sobą dłuższy epizod za kratkami. W 2014 roku został aresztowany na podstawie sfingowanych zarzutów i dostał ponad pięcioletni wyrok więzienia. W międzyczasie, krótko po pierwszym aresztowaniu, od Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy otrzymał prestiżową Nagrodę Praw Człowieka im. Václava Havla za wybitny wkład w rozwój społeczeństwa obywatelskiego i obronę praw człowieka w Azerbejdżanie.

Mammadli został ułaskawiony przez prezydenta i wyszedł z więzienia po blisko dwóch latach – w 2016 roku. W ostatnich miesiącach działacz był prześladowany przez służby bezpieczeństwa i oczerniany w prorządowych mediach. Na wiosnę bieżącego roku przypominał już cień samego siebie – nieustanna presja i stres doprowadziły go do problemów zdrowotnych.

Jedyną po części pozytywną historią, która pokazuje, że i władze Azerbejdżanu niekoniecznie pozostają nieugięte w kwestii więźniów politycznych, jest niedawne zwolnienie znanego ekonomisty Gubada Ibadoghlu do aresztu domowego. Ten profesor wielu zachodnich uczelni i polityk opozycji trafił za kraty w lipcu 2023 roku na podstawie sfingowanych zarzutów. Problemy z cukrzycą i sercem przyczyniły się do znaczącego pogorszenia stanu zdrowia w więzieniu. Dzięki kampanii międzynarodowej prowadzonej przez trójkę dzieci ekonomisty w Europie i USA udało się doprowadzić do jego częściowego uwolnienia na podstawie kwestii humanitarnych. Kolejnym etapem będzie jego wyjazd za granicę na operację, ale na razie władze nie chcą na to przystać.

Przyczyny kryzysu

W obliczu postępującej machiny aresztowań wielu zadaje sobie pytanie, co uruchomiło ponowną falę represji przeciwko mediom i niezależnemu społeczeństwu obywatelskiemu w Azerbejdżanie. Przed dekadą miało miejsce podobne nękanie organizacji pozarządowych i dziennikarzy na podobną skalę. Władze zdziesiątko-

eprasa.pl 15f0aae880

wały wtedy sektor obywatelski, wtrącając do więzienia liderów organizacji i zmieniając prawo, które praktycznie uniemożliwiło normalną działalność społeczeństwa obywatelskiego.

O ile jednak tamtejsze działania były motywowane paranoją rządzących po prozachodniej rewolucji w Ukrainie, o tyle tym razem Ilham Alijew – mimo piątej kadencji na stanowisku głowy państwa – nie może narzekać na brak popularności i spadające notowania. Po odzyskaniu Górskiego Karabachu, którego strata w wyniku wojny z Armenią na początku lat dziewięćdziesiątych była wielką traumą dla narodu, prezydent Azerbejdżanu wciąż cieszy się w narodzie sporą popularnością.

Ilham Alijew postanowił zmienić wektor polityczny z lekko zorientowanego na Zachód w stronę globalnej koalicji autorytarnej wraz z Turcją, Rosją, Iranem, Chinami, Azją Centralną oraz krajami bałkańskimi.

– Pierwsza fala represji w 2014 roku była dla władz elementem samoobrony. Druga fala, rozpoczęta w listopadzie 2023 roku, jest atakiem, bo w tym momencie ze strony społeczeństwa obywatelskiego nie istnieje żadne zagrożenie dla rządów Ilhama Alijewa – uważa Elman Fattah.

Zdaniem Zohraba Ismajłowa, ekonomisty i przewodniczącego Stowarzyszenia Wsparcia Wolnej Gospodarki (PAFE), wszystko zaczęło się od ubiegłorocznych protestów we wiosce Söyüdlü w rejonie Gadabay w zachodnim Azerbejdżanie. Manifestacje wymierzone były w działalność miejscowej kopalni złota, która produkowała toksyczne odpady.

Jej eksploatacja przez brytyjską firmę powodowała dramatyczne pogorszenie jakości powietrza, plonów i w konsekwencji zdrowia lokalnych mieszkańców. Nie mogąc doprowadzić do nakazu zawieszenia działalności kopalni przez lokalne władze, zdesperowani ludzie postanowili wyjść na ulicę.

Pod rządami żelaznej ręki prezydenta Ilhama Alijewa tego typu protesty nie są jednak częstym widokiem i traktowane są jako potencjalne zagrożenie systemowe.

Podobne demonstracje miały miejsce przed dziesięcioma laty w Gubie i Ismaylli na północy Azerbejdżanu i zostały spacyfikowane siłą. Mieszkańcy Söyüdlü również doczekali się interwencji policji i blokady wioski, ale władze nieoczekiwanie ugięły się pod presją społeczną i postanowiły tymczasowo zawiesić działalność kopalni.

Choć rządzący robili wszystko, aby zamieść sprawę pod dywan, wydarzenia z Söyüdlü odbiły się w kraju głośnym echem dzięki niezależnym dziennikarzom.

– W oczach władz, które przecież znacząco ograniczyły przed dekadą wolności obywatelskie, te protesty nie miały prawa się wydarzyć. Co więcej, aktywiści społeczeństwa obywatelskiego wspierali mieszkańców Söyüdlü, a niezależne redakcje Toplum TV i Abzasu szeroko relacjonowały to, co się tam działo. Dlatego w konse-

eprasa.pl 15f0aae880

kwencji rząd postanowił ich ukarać i jeszcze bardziej przykręcić śrubę krytykom – uważa Zohrab Ismajłow.

Ekonomista dodaje, że perspektywy gospodarcze w Azerbejdżanie także nie wyglądają różowo. Innymi słowy władze mogą spodziewać się w przyszłości społecznego niezadowolenia na szerszą skalę.

– Jeśli nie liczyć sektora energetycznego, na którym opiera się gospodarka Azerbejdżanu, znajdujemy się w głębokim kryzysie. Ropa i gaz stanowią 90 procent eksportu kraju. Krajowe statystyki wykazują pewne pozytywne tendencje, w tym wzrost sektora rolniczego. Ale głównym problemem jest to, że rząd usiłuje wszystko kontrolować. Na razie dochody z ropy naftowej przykrywają ten kryzys. Ale po pewnym czasie, gdy produkcja nadal będzie spadać, a ceny będą już znacznie niższe niż 90 dolarów za baryłkę, kryzys będzie widoczny. Może się to wydarzyć już za kilka lat – prognozuje Ismajłow.

Trudne czasy dla demokratów

Tradycyjnie władze Azerbejdżanu zacieśniają kontrolę nad społeczeństwem przed ważnymi wydarzeniami politycznymi. W bieżącym roku miały już miejsce przyspieszone wybory prezydenckie (odbyły się w styczniu i otworzyły prezydentowi Ilhamowi Alijewowi drogę do kolejnej siedmioletniej kadencji), ogłoszone zostały również przedterminowe wybory parlamentarne, które zaplanowano na wrzesień. I wreszcie w listopadzie Baku będzie gospodarzem globalnego szczytu klimatycznego COP29.

Próżno jednak pokładać nadzieje w tym, że głosowanie cokolwiek zmieni. W Azerbejdżanie od lat dziewięćdziesiątych XX wieku nie było wolnych i uczciwych wyborów, a z każdym rokiem maleją szanse na jakiekolwiek luzowanie systemu.

– Wybory parlamentarne będą niczym więcej, jak przedstawieniem komediowym, w którym posłowie zostaną nominowani przez prezydenta. Jeśli chodzi o gospodarkę, to rośnie frustracja związana z wysokimi kosztami życia. System nie pozwala na ujście gniewu, bo w kraju nie istnieje prawdziwa reprezentacja polityczna narodu. Zostały jedynie media społecznościowe, ale i one są coraz bardziej kontrolowane. Już za jednego lajka można pójść do więzienia – komentuje Kenan Alijew.

Część przedstawicieli azerskiego społeczeństwa obywatelskiego wierzy jednak, że zjazd oficjeli z całego świata na szczyt klimatyczny do Baku pozwoli im nagłośnić problemy, z jakimi się zmagają. Mimo że władze planują wystawić fasadową reprezentację trzeciego sektora, niezależni aktywiści liczą, że przebiją się z prawdą o tym, jak dziesiątkuje się w Azerbejdżanie społeczeństwo obywatelskie i media.

– Niewiele zmieni się po wyborach, dużo zależy od tego, jak nasi międzynarodowi partnerzy podejdą do COP29. Wydarzenie takiej rangi jest dobrą okazją do

eprasa.pl 15f0aae880

wezwania rządu do uwolnienia więźniów politycznych i przywrócenia przestrzeni obywatelskiej – mówi Zohrab Ismajłow.

Nieco bardziej sceptyczny jest Kenan Alijew, który uważa, że listopadowa konferencja klimatyczna niewiele zmieni, jeśli chodzi o kierunek, w jakim podąża Azerbejdżan:

– Władze będą gospodarzem COP29, ale na własnych warunkach. Trwają i będą trwały pokazowe procesy, bo rząd będzie chciał pokazać Zachodowi, jak traktowani są tutaj ich sojusznicy. Tym samym wysyłają też sygnał do Rosji, że ruchy prodemokratyczne w Azerbejdżanie nie będą tolerowane.

Opinia Alijewa zbiega się z analizą Elmana Fattaha, który argumentuje, że nie należy rozpatrywać ostatnich wydarzeń w polityce wewnętrznej Azerbejdżanu w oderwaniu od geopolityki i zmian w polityce zagranicznej. Choć Azerbejdżan tradycyjnie balansował między Rosją a Zachodem, to po zwycięskiej wojnie o Górski Karabach z udziałem Turcji wyraźnie zmienił nastawienie do Europy i USA. Władze w Baku zawiesiły negocjacje nowej umowy z Unią Europejską w ramach Partnerstwa Wschodniego i przestały mówić o zamiarach reform demokratycznych i realizowaniu wartości Zachodu (choćby we własnym – wolnym tempie). Skupiono się wyłącznie na budowaniu interesów gospodarczych i zacieśnianiu współpracy energetycznej. W tej ostatniej nieoczekiwanie pomogła Baku pełnoskalowa inwazja Rosji na Ukrainę, po której Azerbejdżan stał się w oczach wielu krajów unijnych doskonałą alternatywą dla Rosji jako dostawca gazu dla Europy. Od 2021 do 2022 roku Unia Europejska zwiększyła eksport azerskiego gazu o niemal 40 procent (do 3,4 procent udziału w rynku unijnym). Choć w skali całego kontynentu nie wydaje się to wiele, dla niektórych krajów jest to już konkretny poziom dostaw (m.in. 40 procent zapotrzebowania na gaz Bułgarii pochodzi z Azerbejdżanu). W 2022 roku Baku podpisało również specjalną umowę na podwojenie dostaw gazu ziemnego do 20 miliardów metrów sześciennych w ciągu pięciu lat. Baku zabiega również o możliwości transportowania w przyszłości gazu przez swoje terytorium z Turkmenistanu.

Władze Azerbejdżanu zacieśniają kontrolę nad społeczeństwem przed ważnymi wydarzeniami politycznymi. W bieżącym roku odbyły się przyspieszone wybory prezydenckie, ogłoszono też przedterminowe wybory parlamentarne (zaplanowane na wrzesień).

– Jeśli Unia Europejska może współpracować z łamiącym prawa człowieka Uzbekistanem, to dlaczego nie z Baku? W ten sposób rozumują nasze władze. Chcecie gaz, to wam go sprzedamy, ale domagamy się rozdzielenia kwestii politycznych od gospodarczych – komentuje Fattah. – W ostatnich aresztowaniach tak naprawdę

eprasa.pl 15f0aae880

nie chodzi o to, że ktoś przekroczył jakąś czerwoną linię czy przeprowadził o jedno śledztwo za dużo. Owszem, może i miało to znaczenie, ale główny powód prześladowań prozachodnich aktywistów i dziennikarzy jest inny. Ilham Alijew postanowił zmienić wektor polityczny naszego kraju: z lekko zorientowanego na Zachód w stronę globalnej koalicji autorytarnej wraz z Turcją, Rosją, Iranem, Chinami i potencjalnie Azją Centralną oraz krajami bałkańskimi – dodaje.

W jego opinii obecny kryzys społeczeństwa obywatelskiego jest inny niż poprzedni. Uważa, że dawniej fala represji przychodziła i odchodziła. Ale teraz będzie inaczej. Presja na prozachodnich działaczy i dziennikarzy będzie rosła z dnia na dzień.

Co na to azerskie społeczeństwo? W kraju nie zanosi się na protesty. Po zwycięstwie w wojnie o Górski Karabach (z pomocą Turcji) wielu Azerów z rosnącym podziwem spogląda w stronę Ankary, nie w stronę Zachodu. Do tego naród wciąż ceni prezydenta Alijewa za rozwiązanie problemu terytorialnego, który spędzał im sen z powiek przez blisko trzy dekady i doprowadził na początku lat dziewięćdziesiątych do przesiedlenia prawie ośmiuset tysięcy Azerów.

– Ilham Alijew jest upojony władzą. Czuje się niezwyciężony, szczególnie na własnym podwórku. Większość Azerów albo się boi zaangażować, albo straciła zainteresowanie polityką, bo to bardzo ryzykowna działalność. To zresztą smutny objaw autorytaryzmu: przekonuje się ludzi, że tak naprawdę nic nie mogą. Że są kompletnie bezsilni – konkluduje Alijew.

Anna Żamejć jest dziennikarką, specjalizuje się w problematyce wschodniej. Współpracowała z azerbejdżańską sekcją radia Swoboda i organizacją People in Need.

eprasa.pl 15f0aae880

Gruzja
Walka o wszystko

Wojciech Wojtasiewicz

W Gruzji kurz bitewny po dwumiesięcznym politycznym boju i protestach ulicznych przeciwko ustawie o zagranicznych agentach opadł. To jedynie cisza przed burzą, czyli jesiennymi wyborami parlamentarnymi, które na długi czas zadecydują o kierunku cywilizacyjnego rozwoju.

Proces legislacyjny ustawy o przejrzystości zagranicznych wpływów – bo taką oficjalnie ma nazwę prawo o zagranicznych agentach – został sfinalizowany pod koniec maja bieżącego roku wraz z odrzuceniem przez rządzące Gruzińskie Marzenie weta prezydentki Salome Zurabiszwili. Na nic zdały się wielotygodniowe protesty, głosy sprzeciwu i oburzenia płynące z Waszyngtonu, Brukseli oraz wielu europejskich stolic. Partia rządząca do samego końca szła jak taran, nie biorąc pod uwagę jakichkolwiek kosztów politycznych przyjęcia kontrowersyjnego prawa. Jednak, żeby Marzyciele mogli mieć z niego polityczny użytek, musi upłynąć jeszcze kilka tygodni, w czasie których Ministerstwo Sprawiedliwości przygotuje odpowiednie rozporządzenia stanowiące oprzyrządowanie prawne do stworzenia rejestru podmiotów propagujących w Gruzji zagraniczne wpływy (powinno to nastąpić na przełomie sierpnia i września). Przedstawiciele organizacji pozarządowych i niezależnych mediów będą musieli dostosować się do restrykcyjnych przepisów, żeby móc kontynuować działalność, jak również uniknąć bardzo wysokich kar. Tylko ich niewielki odsetek (przeważnie małe NGO) planuje zaprzestanie działalności. Gruzińskie Marzenie z pewnością przed wyborami będzie kontynuowało dotychczasową kampanię nienawiści wobec nich (zastraszanie pracowników i aktywistów, pobicia, negatywna narracja polityczna i medialna), która zostanie wzmocniona możliwościami wynikającymi z ustawy o charakterze reperkusji prawno-finansowych. Celem tych działań będzie zdyskredytowanie w oczach Gruzinów trzeciego sektora, który dotychczas patrzył rządzącym na ręce, ujawniając liczne nieprawidłowości i zaniechania, korupcję, brak realizacji rekomendacji przedłożonych gruzińskiemu rządowi przez Komisję Europejską. Ich wdrożenie będzie niezbędne, aby Gruzja rozpoczęła negocjacje akcesyjne z Unią Europejską.

Wspomniana ustawa nie była jedynym aktem prawnym świadczącym o autorytarnym dryfie i zejściu ze ścieżki integracyjnej Gruzji z Zachodem procedowanym

eprasa.pl 15f0aae880

w ostatnich miesiącach przez gruziński rząd. W bieżącym roku gruziński parlament przyjął ustawy osłabiające niezależność Centralnej Komisji Wyborczej, Narodowego Banku Gruzji, znoszące „suwak na listach wyborczych" (co czwarte miejsce było dotychczas zarezerwowane dla kobiet) i o „offshore'ach" (mogącą uczynić z Gruzji międzynarodową pralnię brudnych pieniędzy). Obecnie trwają prace nad pakietem zmian do wielu ustaw i konstytucji dotyczące zakazu „propagandy homoseksualnej" (trzeci sektor i opozycja ponownie zwracają uwagę, że jest to kopia rozwiązań prawnych rodem z putinowskiej Rosji). Zakładają one między innymi zakaz uzgodnienia płci, związków i małżeństw osób tej samej płci, adopcji dzieci przez pary jednopłciowe czy publicznego demonstrowania swoich racji przez osoby LGBT). Ustawodawstwo ma zapewnić partii rządzącej głosy najbardziej konserwatywnej części elektoratu.

Ku uciesze Moskwy

Najwyżsi urzędnicy unijni i przywódcy poszczególnych państw członkowskich Unii Europejskiej dawali gruzińskim władzom jasno do zrozumienia, że przyjęcie ustawy o zagranicznych agentach będzie oznaczało zastopowanie procesu integracji Gruzji ze Wspólnotą. Na jesieni Komisja Europejska ma przedstawić raport na temat postępów Gruzji we wdrażaniu przez nią pakietu reform i rekomendować Radzie Europejskiej rozpoczęcie negocjacji akcesyjnych. Należy spodziewać się, że raport będzie krytyczny (Gruzja nie realizuje zadanych reform) i nie będzie mowy o rozpoczęciu rozmów akcesyjnych. Tendencja jest zgoła odmienna. W Unii Europejskiej rozpoczęła się debata na temat sankcji, jakimi mogłaby zostać objęta Gruzja, jeśli jej władze nie wycofają się z obranego kursu. Na czerwcowym szczycie ministrów spraw zagranicznych Unii Europejskiej szef unijnej dyplomacji Josep Borrell miał przedstawić trzy grupy sankcji, które będzie można zastosować wobec Tbilisi. Pierwsze mają charakter krótkoterminowy i można je wprowadzić natychmiast: ograniczenie kontaktów na najwyższym szczeblu, przekierowanie środków pomocowych przekazywanych dotychczas rządowi na organizacje pozarządowe i media, całkowite wstrzymanie pozostałych środków pomocowych. Drugie noszą charakter średnioterminowy i zostały opracowane na wypadek pogorszenia sytuacji (fałszerstwa wyborcze, rozbijanie demonstracji powyborczych). Polegają na wprowadzeniu wiz dla Gruzinów posiadających paszporty dyplomatyczne, zakazów wizowych i zamrożenia aktywów poszczególnych członków gruzińskiej elity rządzącej średniego szczebla. Trzeci pakiet ma charakter długookresowy. Przewidziano go na wypadek poważnego pogorszenia sytuacji i polega na zawieszeniu reżimu bezwizowego dla Gruzinów na okres dziewięciu miesięcy. Problemem ewentualnego wprowadzenia poszczególnych sankcji może być konieczność osiągnięcia jednomyślności wśród

eprasa.pl 15f0aae880

państw członkowskich Unii Europejskiej (gruziński rząd mógłby liczyć na Węgry i Słowację).

Z większym zdecydowaniem do kwestii sankcji podeszły Stany Zjednoczone. Już w czerwcu wprowadziły zakazy wizowe dla przedstawicieli elity rządzącej (nie podano jednak do publicznej wiadomości listy osób nimi objętych). Kolejnym krokiem – jeśli gruzińskie władze będą kontynuowały dotychczasową politykę – będzie rewizja wsparcia dla Tbilisi w zakresie polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Jednak USA przygotowały również marchewkę. Jeśli gruziński rząd wróci na ścieżkę demokracji i integracji europejskiej, może oczekiwać rozpoczęcia negocjacji na temat korzystnego reżimu handlowego pomiędzy krajami, wzmocnienia kontaktów międzyludzkich i wymian akademickich, pakietu modernizacyjnego i gospodarczego, poprawy funkcjonowania liberalizacji wizowej, a także pakietu o charakterze militarnym.

Jeśli gruziński rząd wróci na ścieżkę demokracji i integracji europejskiej, może oczekiwać rozpoczęcia negocjacji na temat korzystnego reżimu handlowego pomiędzy Tbilisi i Waszyngtonem.

Zapowiedź sankcji ze strony UE i USA została przyjęta przez gruzińskie władze z obojętnością. Są one przekonane, że Wspólnota nie będzie w stanie osiągnąć jedności odnośnie do zdecydowanych działań wobec Gruzji, a w Stanach Zjednoczonych już za kilka miesięcy wybory prezydenckie może wygrać Donald Trump, dla którego wartości demokratyczne w małym i odległym państwie nie będą miały znaczenia. Głosy wsparcia wobec gruzińskiego rządu płyną za to z Rosji. Przedstawiciele jej władz z uznaniem wypowiadali się o działaniach legislacyjnych gruzińskich polityków, podkreślając, że mają one na celu wzmocnienie suwerenności i niezależności kaukaskiej republiki. W przestrzeni publicznej zaczęły pojawiać się również plotki mówiące o tym, że trwają nieoficjalne rozmowy pomiędzy Gruzją a Rosją o wznowieniu stosunków dyplomatycznych (zostały zerwane przez Gruzję po wojnie sierpniowej w 2008 roku), co jeszcze rok temu wydawałoby się *political fiction*, jednak obecnie należy traktować te pogłoski z pełną powagą, pomimo że wydają się mało prawdopodobne. Ocieplenie na linii Tbilisi–Moskwa trwa przynajmniej od pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę. Gruzińskie władze w sposób bardzo wstrzemięźliwy odnoszą się do tej kwestii. Rok temu Rosjanie częściowo znieśli wizy dla Gruzinów oraz zdecydowali się na wznowienie połączeń lotniczych pomiędzy krajami.

Gruzińskie władze patrzą również coraz bardziej przychylnym okiem na Chiny. W ubiegłym roku podpisały z Pekinem deklarację o strategicznym partnerstwie, kilka tygodni temu ostatecznie zdecydowały się na powierzenie chińskiemu inwestorowi budowy głębinowego portu morskiego Anaklia, który ma stać się największą inwe-

eprasa.pl 15f0aae880

stycją infrastrukturalną w historii współczesnej Gruzji. Koncepcja, która powstała jeszcze w okresie rządów prezydenta Micheila Saakaszwilego, miała wzmocnić gospodarczo Gruzję, zintegrować ją z Zachodem i ograniczyć wpływy rosyjskie. Jednak tak się nie stanie. Gruziński rząd wysłał jasny sygnał do Zachodu: zachodnie inwestycje i pomoc (mogą zostać wstrzymane, jeśli sankcje zostaną wprowadzone), Tbilisi z łatwością może zastąpić inwestycjami z Chin i wzmocnieniem współpracy gospodarczo-handlowej z Rosją.

Gościnnie na liście

Pomimo że wiosenne protesty wygasły, a Gruzini szykują się do wakacyjnej przerwy, lato będzie okresem niezwykle pracowitym dla polityków gruzińskiej opozycji. Jeśli chcą myśleć o wygraniu jesiennych wyborów parlamentarnych, muszą porozumieć się w sprawie wystawienia maksymalnie trzech list wyborczych (skupiających siły prozachodnie i prodemokratyczne). Poszczególne partie nie mają szans na samodzielne przekroczenie 5-procentowego progu wyborczego (w tym roku po raz pierwszy wybory będą w pełni proporcjonalne, dotychczas obowiązywał system mieszany z komponentem większościowym w postaci jednomandatowych okręgów wyborczych). Większość z partii opozycyjnych cieszy się zaledwie kilkuprocentowym poparciem, balansując na granicy progu wyborczego. Jedynie najsilniejsza z nich, Zjednoczony Ruch Narodowy (partia władzy w latach 2004–2012), nie musi się obawiać jego przekroczenia. Jednak ordynacja wyborcza uchwalona przez Gruzińskie Marzenie zakazuje tworzenia koalicji wyborczych. W związku z tym istnieje jedynie możliwość startu kilku partii wyborczych z listy jednej z nich. Oznacza to konieczność „schowania" nazw poszczególnych ugrupowań i skorzystania z „gościnności" innego, najpewniej najsilniejszego.

Wystawienie jednej listy przez całą prozachodnią opozycję wydaje się niemożliwe i mogłoby nie być dla niej korzystne (przypadek Węgier). Spory odsetek opozycyjnego elektoratu nie chciałby głosować na listę, na której znaleźliby się politycy partii byłego prezydenta Micheila Saakaszwilego. Wielu z nich mogłoby zostać w domach bądź oddać głosy nieważne. W związku z tym należałoby się spodziewać wystawienia trzech list. Pierwsza skupiałaby wspomniany Zjednoczony Ruch Narodowy wraz z dotychczasowymi sojusznikami, jak na przykład ugrupowaniem Strategia Agmaszenebeli. Na drugiej mogliby się znaleźć kandydaci takich ugrupowań, jak: Lelo, Droa, Girczi – Więcej Wolności, Achali, Partia Republikańska, Europejska Gruzja, Obywatele. Natomiast trzecią listę sformowaliby politycy partii Dla Gruzji (byłego premiera z ramienia Gruzińskiego Marzenia, Giorgiego Gacharii, który wyklucza sojusze wyborcze). Osobny komponent gruzińskiej sceny politycz-

eprasa.pl 15f0aae880

nej stanowią ugrupowania konserwatywne i eurosceptyczne, takie jak: Siła Ludu, Sojusz Patriotów Gruzji czy Gruziński Marsz, które mogą wystartować oddzielnie, zjednoczyć się bądź zostać wciągnięte na listę Gruzińskiego Marzenia. Część polityków opozycji zapowiedziała, że najpóźniej do 8 lipca bieżącego roku ogłosi, w jakiej konfiguracji weźmie udział w elekcji do gruzińskiej legislatywy.

Opozycja ma szansę na przejęcie sterów w państwie, tylko jednocząc się przed wyborami, a po ich ewentualnej wygranej – powołując rząd koalicyjny. Swoją rolę do odegrania w tym procesie będzie miała prezydentka Salome Zurabiszwili (jej kadencja kończy się z upływem bieżącego roku, kolejną głowę państwa wybierze parlament wraz z samorządowcami). To za jej sprawą większość polityków prozachodniej opozycji podpisało Kartę Gruzińską, czyli dokument, w którym zobowiązali się do powołania koalicyjnego rządu, który w kolejnej kadencji przywróci Gruzję na ścieżkę proeuropejską i zrealizuje reformy zadane Gruzji przez Komisję Europejską. Salome Zurabiszwili wyklucza powołanie własnej partii bądź stanięcie na czele listy wyborczej zjednoczonej opozycji. Natomiast nie wyklucza – na wypadek zwycięstwa opozycji – wysunięcia swojej kandydatury na urząd prezydenta. Niedawno zaapelowała do opozycji o stworzenie po wyborach rządu technicznego, którego celem byłoby zrealizowanie agendy proeuropejskiej, a następnie rozpisanie nowych wyborów jesienią 2025 roku. To wywołało falę spekulacji mówiących, że to ona mogłaby stanąć na czele przejściowego gabinetu.

Głosy wsparcia wobec gruzińskiego rządu płyną za to z Rosji. Przedstawiciele jej władz z uznaniem wypowiadali się o działaniach legislacyjnych tamtejszych polityków, podkreślając, że mają one na celu wzmocnienie suwerenności i niezależności Gruzji.

Należy spodziewać się, że kampania wyborcza będzie niezwykle ostra. Gruzińskie Marzenie, dysponujące aparatem państwowym i posiadające ogromne zasoby własne (prywatny majątek jego lidera Bidziny Iwaniszwilego), już na starcie kampanii ma ogromną przewagę nad opozycją. Jest niemal pewne, że rządzący wykorzystają zasoby administracyjne, będą też ostro atakować opozycję, straszyć powrotem do władzy Micheila Saakaszwilego, niszczyć trzeci sektor, a w ostateczności – możliwe, że częściowo sfałszują wybory, żeby zachować władzę. Co ciekawe, od kilku miesięcy, również po społecznym wzmożeniu wywołanym przyjęciem ustawy o zagranicznych agentach, w przestrzeni publicznej nie pojawiły się sondaże poparcia dla partii politycznych, zatem trudno stwierdzić, w jakim stopniu wspomniany proces wpłynął na zmniejszenie sympatii dla rządzących, a na ile przyniósł ewentualne zyski opozycji. Jednak Gruzińskie Marzenie ma swój twardy elektorat: częściej osoby zamieszkujące prowincję niż Tbilisi i inne duże

eprasa.pl 15f0aae880

miasta oraz osoby powiązane z systemem władzy (szeroko pojęta budżetówka) oraz ich rodziny. Zwyczajowo również na partię rządzącą głosują mniejszości narodowe (przede wszystkim Ormianie i Azerbejdżanie).

Wybór cywilizacyjny

Zbliżające się wybory będą jednymi z najważniejszych w ponad trzydziestoletniej historii najnowszej Gruzji. Jeśli zostaną wygrane przez opozycję, która stworzy koalicyjny rząd, a Gruzińskie Marzenie w pokojowy sposób przekaże władzę, staną się kolejnym etapem rozwoju demokratycznego południowokaukaskiej republiki. Dwóch pierwszych prezydentów – Zwiad Gamsachurdia i Eduard Szewardnadze – zostało odsuniętych od władzy w wyniku odpowiednio wojny domowej i protestów społecznych. Trzeci prezydent Micheil Saakaszwili zaakceptował przegraną swojej partii w 2012 roku i oddał władzę. Jeśli podobnie stałoby się jesienią 2024 roku (z wyjątkiem, gdyby Gruzińskie Marzenie rzeczywiście wygrało prawdziwie demokratyczne wybory), Gruzja mogłaby mówić o sukcesie. W przypadku słabnącego ponad dekadę temu Saakaszwilego niebagatelną rolę odegrały nieformalne naciski USA i Unii Europejskiej w sprawie uznania wyników elekcji. Trudno spodziewać się, aby Bidzina Iwaniszwili posłuchał ewentualnych apeli Waszyngtonu i Brukseli i zdecydował się na uznanie porażki, jeśli takowa miałaby miejsce.

Opozycja i prezydentka przedstawiają nadchodzące wybory jako swoiste referendum, w którym Gruzini zdecydują, czy chcą, aby ich kraj w przyszłości stał się członkiem Unii Europejskiej i NATO, czy umacniał relacje z Rosją i Chinami, rezygnując z dołączenia do zachodniej rodziny demokratycznych państw. I pomimo że bezpośrednim celem obecnie rządzących nie jest włączenie Gruzji w orbitę wpływów Rosji, a zachowanie władzy, jednak skutkiem ich polityki staje się i pozostanie umacnianie rosyjskich i chińskich wpływów oraz systemu autokratycznego w Gruzji. Trudno spodziewać się, aby z obecnymi władzami Tbilisi zrealizowało prounijne reformy oraz rozpoczęło negocjacje akcesyjne ze Wspólnotą.

Kwestia zwycięzcy jesiennych wyborów pozostaje otwarta. Wydaje się, że to Gruzińskie Marzenie ma większe szanse na zachowanie władzy, jednak opozycja wciąż dysponuje wszelkimi narzędziami umożliwiającymi jej zwycięstwo. Marzyciele mogą wygrać, nawet przeprowadzając demokratyczne wybory. W takim wypadku dotychczasowym zachodnim partnerom Gruzji nie pozostanie nic innego niż uszanować wolę większości obywateli, a tym niezadowolonym spośród nich kontynuację działań w sprzeciwie wobec władzy bądź udanie się na emigrację: wewnętrzną bądź rzeczywistą (wielu przedstawicieli mediów i organizacji rządowych mówi otwarcie o planach opuszczenia kraju w razie zwycięstwa Marzycieli). Sce-

eprasa.pl 15f0aae880

nariusz ten oznaczać będzie najpewniej konsolidację systemu władzy przez Bidzinę Iwaniszwilego, wzrastający autorytaryzm i zamrożenie relacji z Zachodem lub znalezienie nowego *modus vivendi*.

Jeśli natomiast Gruzińskie Marzenie „wygra" wybory w oparciu o fałszerstwa, należy spodziewać się protestów na ulicach gruzińskich miast. W takim przypadku trudno sobie wyobrazić dobrowolne ustąpienie aktualnie rządzących. W najgorszym razie może dojść do starć, Marzyciele mogą zdecydować się na siłowe rozpędzenie mityngów i powtórki czegoś na kształt ukraińskiego Majdanu. Wtedy należy spodziewać się mediacji pomiędzy rządzącymi a opozycją z udziałem zainteresowanych aktorów zewnętrznych, takich jak Unia Europejska, USA i Rosja. Nie można też wykluczyć rosyjskiej interwencji militarnej pod pretekstem ochrony rosyjskojęzycznych obywateli (w Gruzji na stałe mieszka około 40–50 tysięcy Rosjan przybyłych do niej po ogłoszeniu przez Władimira Putina częściowej mobilizacji jesienią 2022 roku). Przypomnieć należy, że rosyjskie wojska na stałe stacjonują na terytorium Gruzji, w separatystycznych republikach Abchazji i Osetii Południowej. Scenariusz ten niekoniecznie musiałby zakończyć się zwycięstwem sił opozycyjnych, tak jak to miało miejsce w Ukrainie w 2005 i 2014 roku, lecz wasalizacją Gruzji względem Rosji.

Najkorzystniejszym z punktu widzenia wzmacniania demokracji i integracji Gruzji z Unią Europejską scenariuszem byłoby zwycięstwo prozachodniej opozycji, dzięki któremu mogłaby powołać koalicyjny rząd i rozpocząć realizację unijnych reform. Byłoby to nowe doświadczenie w najnowszej historii południowokaukaskiej republiki wzmacniające jej kulturę polityczną i umiejętność klasy politycznej do nawiązania dialogu i wypracowania kompromisu. Rzecz jasna stworzenie nowego, koalicyjnego rządu nie byłoby prostym zadaniem. Uwzględnić należałoby interesy i ambicje wszystkich środowisk politycznych ewentualnie go tworzących, jak również rozwiązać problem dotyczący Micheila Saakaszwilego.

Nadchodzące tygodnie i miesiące będą kluczowe dla przyszłości Gruzji, jej systemu politycznego oraz kierunku polityki zagranicznej. Pomimo ewentualnego wsparcia Zachodu w postaci wzmacniania finansowego niezależnych gruzińskich mediów i organizacji pozarządowych czy nakładanych na rządzących sankcji, to do samych Gruzinów należeć będzie decyzja, komu zechcą powierzyć stery władzy we własnym państwie, a jeśli zajdzie taka potrzeba, czy zechcą bronić wyniku głosowania na ulicach.

Wojciech Wojtasiewicz jest analitykiem Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Specjalizuje się w problematyce Kaukazu Południowego.

eprasa.pl 15f0aae880

Ukraińskie oczekiwania zbudowała Europa

Z Bartłomiejem Gajosem, koordynatorem ds. analiz Centrum Mieroszewskiego, rozmawia Urszula Pieczek

URSZULA PIECZEK: Czego dotyczył raport „Stabilność vs. Niepewność", który ostatnio przygotowało Centrum Mieroszewskiego?

BARTŁOMIEJ GAJOS: W dużym skrócie wspomniany raport ukazuje, jak młodzi ludzie w Polsce i w Ukrainie postrzegają siebie, jakie mają aspiracje, obawy oraz jakie wartości są dla nich najważniejsze. Badanie dotyczyło młodzieży polskiej i ukraińskiej w wieku szesnaście–dwadzieścia sześć lat w Polsce i w Ukrainie. Raport nie uwzględniał ukraińskich emigrantów, ponieważ interesowało nas, jak młodzi Ukraińcy postrzegają sytuację w samej Ukrainie – i odpowiednio w Polsce. Badanie składało się z dwóch części: ilościowej – sondaż online na próbie pięciuset osób, oraz jakościowej – cztery zogniskowane wywiady grupowe.

Po pierwsze, w tym konkretnym badaniu chcieliśmy zrozumieć perspektywę osób, które dopiero wkraczają w wiek dorosły, zaczną głosować i będą miały aktywny wpływ na sytuację polityczną w obu krajach. Po drugie, sprawdzamy osoby, które od niedawna mają prawo głosu, a to dziś szczególnie ważne.

Dlaczego?

Jednym z największych wyzwań nie tylko dla ukraińskiej polityki, ale także dla polskiej polityki zagranicznej, jest akcesja Ukrainy do Unii Europejskiej i do NATO. A Unia Europejska jest takim organizmem, który wymusza, żeby wszystkie kraje członkowskie zgodziły się na poszerzenie. Te decyzje będą podejmowane nie tylko przez polskich polityków, ale też maltańskich, węgierskich, luksemburskich… Ci politycy zaś siłą rzeczy będą orientować się na rodzimą opinię publiczną i patrzeć, co na przykład Polacy, w tym przypadku młodzi Polacy, stanowiący część elektoratu, na ten temat myślą.

Jaki jest główny wniosek wynikający z przeprowadzonego badania?

Wniosek, który rzuca się w oczy, dotyczy tego, że młodzi Polacy i młodzi Ukraińcy żyją w absolutnie dwóch odrębnych uniwersach, odmiennych światach. To sprawia, że młodym Polakom bardzo trudno zrozumieć ukraińskie doświadczenie wojenne, a z kolei młodym Ukraińcom ciężko pojąć, powiedzmy, protest rolników i to, dlaczego Polska ma

eprasa.pl 15f0aae880

prawo domagać się respektowania własnych interesów gospodarczych, co nie jest równoznaczne ze zdradą Ukrainy (a takie sformułowania mogliśmy przeczytać w ukraińskich serwisach).

Z Państwa raportu wynika, że 16 procent młodych Polaków uważa Ukraińców za nieprzyjaciół.

Ten odsetek jest niepokojący. Warto się zastanowić, skąd się bierze, czego nie widzą eksperci, jak konsumujemy na przykład media społecznościowe, które mają olbrzymi wpływ na kształtowanie postaw. Ocenia się, że około 40 procent młodych Ukraińców przebywających w Polsce nie uczęszcza do polskich szkół, więc element integracji w dużym stopniu nie istnieje. To ulegnie zmianie ze względu na obecnie procedowaną nowelizację ustawy uzależniającą wypłatę świadczenia 800 plus od uczęszczania przez dane dziecko do szkoły, natomiast na poziomie integracji napotykamy wiele nieporozumień. Wciąż zagadką pozostaje dla mnie sytuacja w szkołach, w których Polacy i Ukraińcy się spotykają. Kiedy wybuchła wojna na pełną skalę, byłem nauczycielem historii w żydowskim Zespole Szkół Lauder-Morasha w Warszawie. To raczej wyjątek i specyficzne liceum – po pierwsze, prywatne, po drugie, żydowskie – więc trudno generalizować, jednak jedno doświadczenie można przerzucić na wszystkie polskie szkoły: znajomość, a raczej nieznajomość języka. Ze względu na barierę językową i pewne różnice kulturowe – a przecież jesteśmy do siebie bardzo podobni – integracja przychodzi z trudem. Dodatkowo z tyłu głowy trzeba mieć świadomość, że społeczeństwo ukraińskie jest zmilitaryzowane i straumatyzowane przez wojnę.

Zgodnie z Państwa raportem młodzi Polacy nie postrzegają Ukraińców pozytywnie, Ukraina jako sąsiad zajmuje trzecie miejsce od końca przed Białorusią i Rosją. Młodzi Ukraińcy z kolei uznają Polaków za największych przyjaciół. Z czego wynika ten dysonans? Czy nastrój wrogości wpisuje się w ogólnoeuropejskie zachowania ksenofobiczne?

32 procent młodych Polaków uważa, że nastawienie Ukrainy do Polski jest wrogie, a 34 procent, że przyjazne. Badanie przeprowadzaliśmy w grudniu 2023 roku, kiedy trwały protesty rolników i występowały napięcia we wzajemnych relacjach. Uważam, że to może być jedna – choć nie jedyna – z okoliczności, która mogła dać taki odsetek. Drugi istotny element, który bym wskazał, to postrzeganie Ukrainy przez kontekst Stepana Bandery i rzezi wołyńskiej.

Jednocześnie chciałbym zwrócić uwagę na to, że optymizm młodego pokolenia Ukraińców jest zdecydowanie większy niż polski. To ogromny paradoks, że Ukraińcy na przyszłość swojego kraju patrzą zdecydowanie bardziej optymistycznie niż Polacy. Na pewno składa się na to kilka elementów.

Jakich?

eprasa.pl 15f0aae880

Pierwszy to naturalna kompensacja psychologiczna, czyli kiedy znajdujemy się w sytuacji, oględnie mówiąc, nieprzyjemnej, to staramy się wybiegać myślami w przyszłość i kreować lepszą rzeczywistość.

Drugi jest bardziej skomplikowany. Unia Europejska, przede wszystkim Polska jako średniej wielkości kraj europejski, popiera akcesję Ukrainy do Unii Europejskiej bez żadnych warunków poza tymi, których wymaga się od każdego kraju aspirującego do Wspólnoty. Francja i Niemcy suflują reformę traktatową jako element, który miałby stać się podstawą do członkostwa Ukrainy w Unii Europejskiej. Polska takiego warunku nie stawia, więc wydaje mi się, że z tej perspektywy Ukraina powinna doceniać i dbać o nasze wsparcie.

Czuję, że kryje się tu jakieś „ale"...

Jako Zachód kreujemy pewne ukraińskie oczekiwanie – „zobaczcie, tu jest fajnie…" „Wasza akcesja zajmie jakiś czas, ale poziom życia się poprawi". Proszę spojrzeć, ile odbyło się konferencji po 2022 roku na temat rekonstrukcji Ukrainy. Wojna się jeszcze nie skończyła, bomby lecą na Kijów, Rosjanie popełniają zbrodnie wojenne, niszcząc dziecięce szpitale onkologiczne, a my w Niemczech, w Polsce, w całej Europie dyskutujemy o tym, że będziemy rekonstruować Ukrainę i że to będzie kompletnie nowy kraj. To buduje oczekiwania Ukraińców, a właściwie my je budujemy. Co się jednak wydarzy, kiedy to się nie stanie, kiedy te oczekiwania nie zostaną spełnione…? Czyha na nas ogromna polityczna pułapka. Jestem w stanie sobie wyobrazić sytuację, w której mamy do czynienia z ogromną frustracją Ukraińców i poczuciem zdrady całego Zachodu – w tym Polski – oraz poszukiwaniem przez Ukrainę trzeciej politycznej drogi. Nie będę spekulował, ale możemy być prawie pewni, że nie będzie to ani kierunek rosyjski, ani europejski…

Pytanie, czy Zachód ma strategię na zwycięstwo Ukrainy?

Nie, przez ostatnie dwa i pół roku politycy – przede wszystkim zachodni – pokazali, że nawet jeśli eksperci i wojskowi są w stanie przedstawić strategię zwycięstwa dla Ukrainy, to oni nie są gotowi jej wprowadzić w życie. Dlatego należałoby sobie zadać pytanie, czy ta wojna zostanie zakończona pomyślnie sprawiedliwym pokojem – sprawiedliwym w takim rozumieniu, że Ukraińcy będą go akceptować. Mamy wiele niewiadomych i wielkie wyzwanie polityczne, które będzie rzutować nie tylko na sytuację w samej Ukrainie, ale i stosunki polsko-ukraińskie i ogólnoeuropejskie. Napisałem dla „Kultury Liberalnej" tekst o naszym badaniu i użyłem sformułowania, że Ukraina współczesna to „rozmarzone pokolenie" – w nawiązaniu do książki Jurija Ławrijenki *Rozstrzelane odrodzenie* o ukraińskim pokoleniu inteligencji lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku, które zostało zgładzone przez Stalina. Obecne pokolenie marzy o Unii Europejskiej i NATO, o bezpieczeństwie, o normalności. To są

eprasa.pl 15f0aae880

oczekiwania, które zbudował w Ukrainie Zachód. A co, jeśli ich nie wypełnimy? Od roku śledzę w Brukseli dyskusję polityczną dotyczącą Ukrainy i jej aspiracji europejskich. Moje odczucie jest takie, że Ukraińcy myślą, że będą w Unii za moment, za dwa lub trzy lata, a rzeczywistość jest zgoła inna…

Mamy już kolejkę państw, które czekają na członkostwo...

Państwa bałkańskie wejdą do Unii Europejskiej tylko na barkach Ukrainy, to się wcześniej nie wydarzy. Być może wyjątkiem od tej reguły będzie Czarnogóra – ze względu na swój rozmiar. Jeśli przyjrzymy się budżetowi Unii Europejskiej, różnym *policy papers*, które są od czasu do czasu publikowane, to dość często napotkamy datę 2035 rok. W tej chwili mamy przyjęty długofalowy budżet UE do 2027 roku. Zatem – to moja spekulacja – gdy rozpoczną się rozmowy na temat kolejnego długofalowego budżetu na lata 2028–2035, to powinniśmy w jego konstrukcji szukać odpowiedzi na pytanie, na ile prawdopodobne jest rozszerzenie i kiedy mogłoby się wydarzyć. To perspektywa dziesięcio-, jedenastoletnia! Czy Ukraińcy będą na tyle cierpliwi?

A czy Polacy chcą nadal pomagać?

Opracowujemy badanie opinii publicznej, w którym Polakom i Ukraińcom zadaliśmy dość podobne pytania, na które odpowiadali młodzi. Jasno z niego wynika, że mamy bardzo dużą różnicę pokoleniową, to znaczy im Polacy są starsi, tym są bardziej skłonni pomagać. I przeciwnie: im Polacy są młodsi, tym mniej są skłonni pomagać Ukrainie. Skąd się to bierze? Czy to wynika z faktu, że młodzi Polacy mniej orientują się w myśleniu strategicznym, że brakuje im politycznego namysłu? Nie umiem jednoznacznie odpowiedzieć.

Oczywiście założenie z początku wojny na pełną skalę, że blisko 90 procent osób darzy Ukraińców sympatią i że to się nie zmieni, było błędne. Dziś przyszedł już czas urealnienia. Polacy zastanawiają się, co nam daje popieranie Ukrainy.

A co nam daje popieranie Ukrainy? W jakie argumenty niepopulistyczne możemy się uzbroić?

Po pierwsze, w powszechnej świadomości Polaków nie istnieje, co widać w mediach społecznościowych, kwestia stosunków handlowych z Ukrainą. Polska zwiększyła eksport w 2023 roku o 113 procent w ujęciu rocznym. Nasz bilans handlowy jest dodatni – osiągnęliśmy rekordowe 31,4 miliarda złotych. Jeśli ktoś myśli w kategoriach biznesowych i gospodarczych, to na pewno powinien wziąć to pod uwagę.

Po drugie, to jest nasza wojna. Trzy miesiące przed pełnoskalową agresją na Ukrainę Kreml przedstawił szkice porozumień o gwarancjach bezpieczeństwa. Ich istota sprowadzała się do tego, że kraje, które wstąpiły do NATO po 1997 roku, czyli między innymi Polska, powinny stać się strefą buforową. Ta rosyjska propozycja została odrzucona, ale proszę

eprasa.pl 15f0aae880

sobie wyobrazić, w o ile gorszej sytuacji znaleźlibyśmy się, gdyby Kijów upadł w lutym 2022 roku, a wojska rosyjskie stanęłyby na granicy w Medyce. Warto zwracać uwagę, że sam fakt, że Ukraińcy walczą na froncie, sprawia, że Polska jest bezpieczniejsza. Wysyłanie do Ukrainy pomocy finansowej, socjalnej, militarnej leży w interesie Polski. Nie giną polscy żołnierze, a o kwestię bezpieczeństwa, przede wszystkim Ukrainy, ale również Polski, walczą Ukraińcy.

W porozumieniu, które podpisali Wołodymyr Zełenski i Donald Tusk przed lipcowym szczytem NATO, bardzo wyraźnie zaznaczone jest, że polscy żołnierze nie pojadą na ukraiński front.

Tak, Tusk mówi jasno, że będziemy wspierać Ukrainę wszystkimi siłami, ale dla Polski czerwoną linią jest to, że polscy żołnierze nie będą służyć w Ukrainie. Wydaje mi się, że ta decyzja w dużej mierze podyktowana jest opinią polskiego społeczeństwa oraz myśleniem strategicznym. Jesteśmy w NATO i to wraz z sojusznikami chcemy uzgadniać naszą politykę bezpieczeństwa, czego przykładem jest trwająca w tym momencie dyskusja o tym, czy Polska mogłaby zestrzeliwać rosyjskie rakiety lecące w pobliżu jej granicy, ale znajdujące się w ukraińskiej przestrzeni powietrznej.

Ucieknę w *political fiction*: gdybyśmy wyobrazili sobie taki scenariusz, że wsparcie państw Zachodu i Waszyngtonu topnieje, sytuacja w Ukrainie jest dramatyczna pod względem militarnym i gdyby powstał pomysł na przykład koalicji chętnych pomocy Ukrainie w postaci wysłania wojsk krajów flanki wschodniej od Finlandii do Rumunii, to dla mnie pozostaje zagadką, czy polska opinia publiczna by to zaakceptowała.

Co jeszcze wynika z Państwa badań?

Z badania ogólnopolskiego, o którym wspominałem, wynika, że absolutnie konieczne jest rozwiązanie kwestii historycznych, czyli rzezi wołyńskiej…

Czyli wracamy do punktu wyjścia – nasze relacje rozbijają się zawsze o kwestie historyczne i upamiętnienie. Czy te zaszłości nadal powinny być kością niezgody? Czy mają się nimi zajmować politycy, czy to kwestia, którą należy pozostawić w rękach historyków? Ośrodek KARTA latami opracowywał historię w wielotomowych publikacjach „Polska–Ukraina: trudne pytania", słyszeliśmy wielokrotnie o próbach „pojednania przez trudną pamięć". Co można zrobić, żebyśmy w końcu zaczęli myśleć o wspólnej przyszłości?

Historia nie jest tylko dla historyków. Uważam, że niestety klucz do rozwiązania tej sprawy leży w Kijowie. To nie jest już w tym momencie polski problem – naprawdę nie wiem, co Polska mogłaby zrobić, żeby przekonać partnerów w Kijowie do przeprowadzenia ekshumacji.

eprasa.pl 15f0aae880

Warszawa przez ostatnie trzydzieści lat dała wiele dowodów, że nie dąży do zdominowania Ukrainy. Wręcz przeciwnie: życzymy jej jak najlepiej i pokazaliśmy to niejednokrotnie, szczególnie wysyłając uzbrojenie i przyjmując uchodźców. Dlatego polskiej opinii publicznej jest bardzo trudno zrozumieć, dlaczego Kijów nie chce się zgodzić na ekshumacje i pochówek ofiar rzezi wołyńskiej. Jestem przekonany, że dopuszczenie do tego procesu przyniosłoby pozytywne skutki.

Chcę jednak zwrócić uwagę na rzecz, którą w Polsce nie do końca rozumiemy. Mianowicie oczekujemy, że Ukraina będzie prowadzić swoją politykę tożsamościową tak, jak chcieliby tego Polacy. Takie oczekiwanie uważam za błędne – żadne państwo tego nie robi.

Co nie zmienia faktu, że sposób, w jaki Ukraina poprowadzi swoją politykę tożsamości, to jej sprawa i ona będzie ponosić koszty polityczne. Kwestia upamiętnienia postaci takich jak Roman Szuchewycz czy innych członków UPA będzie politycznym problemem dla Ukrainy nie tylko w stosunkach dwustronnych z Polską. Fundamentem europejskiej pamięci jest Holokaust, a wiele z tych osób ma również na rękach zbrodnie przeciwko Żydom w okresie II wojny światowej. Można łatwo sobie wyobrazić zachodniego polityka, który niekoniecznie musi być inspirowany przez Rosję i który powie, że dopóki w Ukrainie upamiętnia się osoby pomagające w zabijaniu Żydów, to w Unii Europejskiej nie będzie dla tego kraju miejsca.

A jeśli przejść do konkretnych rozwiązań, to moim prywatnym pomysłem jest zaproszenie do polsko-ukraińskiego dialogu historycznego trzeciej strony. Ważne, by była to strona odpowiadająca i Polakom, i Ukraińcom…

Czyli chciałby Pan terapii dla par?

To trochę wygląda w ten sposób. Przez ostatnie trzydzieści lat wiele pozytywnych rzeczy wydarzyło się w relacjach polsko-ukraińskich – także w sferze historycznej. Natomiast przez wiele lat nie udało nam się rozwiązać sprawy rzezi wołyńskiej, więc być może warto poszukać innych instrumentów.

Czy kwestia rzezi wołyńskiej i trudnej polsko-ukraińskiej pamięci jest też podnoszona przez młodsze pokolenie?

W naszym badaniu pytaliśmy o to, z czego młodzi Polacy i Ukraińcy są dumni. Polacy na dwóch pierwszych miejscach wymienili odzyskanie niepodległości i postawę rodaków w II wojnie światowej, Ukraińcy zaś wymienili uchwalenie Deklaracji Niepodległości i przyszłe zwycięstwo z Rosją. Ukraińcy myślą o przyszłości, część z nich w trakcie badań jakościowych mówiła nawet, że Ukraina potrzebuje nacjonalizmu.

Ma on również służyć za narzędzie dekolonizacji obecności rosyjskiej.

To zastanawiające, ponieważ w myśleniu nacjonalistycznym najważniejszy jest naród i jego suwerenność. Z kolei chęć

eprasa.pl 15f0aae880

akcesji do Unii Europejskiej jest równoznaczna z pozbyciem się, siłą rzeczy, jakiejś części suwerenności.

Młodzi Polacy deklarowali, że są znacząco mniej patriotyczni niż Ukraińcy. Czy ten wskaźnik może przekładać się na chęć niesienia pomocy armii?

Gotowość niesienia pomocy armii zadeklarowało 90 procent młodych Ukraińców i 55 procent młodych Polaków. Moim zdaniem ludzie nie są w stanie sobie wyobrazić, jak zareagowaliby, gdyby zobaczyli zbombardowany Kraków, rozwaloną bombą Warszawę, kiedy usłyszeliby, że Rosjanie popełnili zbrodnie wojenne gdzieś na Podlasiu. Cytując Szymborską: „Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono". W tym momencie możemy bazować wyłącznie na wyobrażeniu.

Jedna z najciekawszych i najbardziej dających do myślenia części raportu dotyczy przyszłości pozostania w kraju – 46 procent młodych Polaków akceptuje możliwość mieszkania poza krajem, podczas gdy tylko 30 procent Ukraińców odpowiada pozytywnie. Czy w przypadku Polaków chodzi wyłącznie o czynniki ekonomiczne?

My po prostu mamy łatwą możliwość wyjazdu z Polski, Ukraińcy – nie. Zwłaszcza teraz – przecież mężczyźni nie mogą opuścić terytorium Ukrainy. No chyba że ktoś zapłaci łapówkę i wyjedzie nielegalnie. Odsetek wśród Ukraińców może być wyższy także ze względu na to, że ci, którzy mieli wyjechać – już wyjechali, a ci, którzy pozostali – adaptują się do wojennej rzeczywistości. A co by było, gdyby Ukraińcy mieli swobodną możliwość wyjazdu z kraju? Tego nie wiemy. I oczywiście część osób wyjechała, inne zostały, ale nie bagatelizowałbym odpowiedzialności, jaką czują Ukraińcy za swój kraj, ich świadomego wyboru politycznego – gdyby nie chcieli walczyć i bronić swojego państwa, wojska rosyjskie stałyby dziś pewnie w obwodzie lwowskim. A sytuacja komplikuje się jeszcze bardziej, bo w Ukrainie mimo wszystko brakuje ludzi do walki.

Raport „Stabilność vs. Niepewność" można bezpłatnie przeczytać na stronie Centrum Mieroszewskiego www.mieroszewski.pl

Dr Bartłomiej Gajos jest historykiem. Pracuje w Centrum Mieroszewskiego. Specjalizuje się w polityce historycznej na obszarze Europy Środkowej i Wschodniej, w szczególności Rosji. Obecnie pracuje nad projektem „Polityka historyczna Rosji wobec Polski i Ukrainy, 1999–2022", w ramach którego będzie wykorzystywał metodę *text-mining*. Wraz z dr. Ernestem Wyciszkiewiczem prowadzi na YouTubie program o Europie Środkowej i Wschodniej „Polihistor 2.0".

eprasa.pl 15f0aae880

W obronie ruskich pierogów

Henryk Jan Litwin

Starsi wiekiem Polacy pamiętają zapewne dowcip z czasów PRL o barze mlecznym, w którym „pani z okienka" wykrzykuje w stronę klientów pytanie: „Kto prosił ruskie?". W odpowiedzi któryś z konsumentów stwierdza: „Nikt, same przyszli".

Kiedyś wszyscy się bawiliśmy, łagodząc sobie w ten sposób bolesne odczuwanie sowieckiego zniewolenia. Dzisiaj jednak wspominając stary kawał, powinniśmy się zadumać nad historycznym gwałtem, którego dokonała potoczna mowa Polaków na ważnym niegdyś i dumnym przymiotniku „ruski". W staropolskim wieku złotym i srebrnym wiązał się on z pojęciem „Ruś", a zatem dotyczył tej części dawnej Rzeczypospolitej, w której zbiorowa pamięć łączyła się ze wspomnieniem o zamierzchłej już wtedy potędze Rusi Kijowskiej i późniejszej, krótkotrwałej co prawda chwale Rusi Halickiej. „Ruski" zatem był zapisywany cyrylicą język, który zachował status urzędowego w Wielkim Księstwie Litewskim (do 1698 roku) oraz na Wołyniu, Kijowszczyźnie i Bracławszczyźnie (do końca istnienia I Rzeczypospolitej, a nawet trochę dłużej), a używany był także na wielu innych terytoriach państwa. „Ruska" była również wiara, bo tak właśnie najczęściej nazywano w Rzeczypospolitej prawosławie.

„Ruska" była wreszcie szlachta, choć ta kombinacja mogła funkcjonować w kilku, nieco odmiennych znaczeniach – „ruska", czyli prawosławna, „ruska", czyli pochodząca z którejkolwiek z ziem niegdyś należących do Rusi Kijowskiej, które znalazły się potem w granicach Rzeczypospolitej, oraz „ruska" w węższym znaczeniu, tzn. mieszkająca w województwie ruskim, zwanym też czasem Rusią Czerwoną. Co istotne, użycie przymiotnika „ruska" w odniesieniu do szlachty danego terytorium nie wiązało się z poczuciem odrębności etnicznej, a z więzią regionalną, w której uczestniczyli także Polacy z pochodzenia. W dawnej Rzeczypospolitej w odniesieniu do owej szlachty ruskiej używano początkowo wymiennie rzeczowników „Rusacy" i „Rusini". Drugie z tych określeń stopniowo zdobyło sobie zdecydowaną przewagę. Dodajmy, że i przymiotnik „ruski", i rzeczownik „Rusin" służyły zarówno do samookreślenia, jak i do opisu przez nie-ruskich współmieszkańców państwa.

eprasa.pl 15f0aae880

Wszystka Ruś

W XVI wieku niektórzy pisarze (na przykład Maciej Stryjkowski) włączali do kręgu dziedzictwa wszystkiej Rusi także część moskiewską, ale było to ujęcie czysto historyczne. O współczesnych sobie prawosławnych sąsiadach ze wschodu w Rzeczypospolitej mówiono: „Moskwa", „Moskwicini". W XVI i XVII wieku Rusini w Rzeczypospolitej mieli poczucie całkowitej odrębności w stosunku do moskiewskich sąsiadów, a jednocześnie skrystalizowała się świadomość tej odrębności w postrzeganiu ich przez polskich czy litewskich współobywateli. „Chtoż nie wiedajet jako wjelikoje grubjanstwo, upor i zabobony sut w narode Moskowskom" – pisał Rusin unita Hipacy Pociej do Rusina prawosławnego, kniazia Konstantego Ostrogskiego. W państwie polsko-litewskim nie stosowano zatem określeń „Rusin" i „ruski" w odniesieniu do mieszkańców Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, nie zważając na uzurpacje sąsiada do panowania nad terytorium „wsieja Rusi", czyli całą spuścizną po Rusi Kijowskiej, które uwidoczniły się w tytulaturze władców moskiewskich już w 1492 roku.

Najwcześniejszym przykładem użycia terminu „ruski" dla określenia Rosjanina jest chyba *Pan Tadeusz*. Trzeba jednak zwrócić uwagę na fakt, że używa go w tekście Mickiewicza Rosjanin, kapitan Ryków – „wy Polaki, ja Ruski".

W tej terminologicznej mozaice nowy element pojawił się w drugiej połowie XVII wieku, kiedy w polszczyźnie zagościło określenie „Moskal". Nie miało ono wówczas charakteru jednoznacznie pejoratywnego, a raczej zwyczajnie opisowy i w tej roli pozostało w użyciu długo, zaś w XIX wieku zaczęło dominować. Wyrazistym dowodem na jego wciąż obojętną zawartość emocjonalną może być wiersz Adama Mickiewicza *Do przyjaciół Moskali*. Pozostawało w użyciu bardzo długo i jeszcze Maria Dąbrowska w swych pamiętnikach dotyczących okresu II wojny światowej pisała o „Moskalach", kiedy chodziło w istocie o „Sowietów". Zyskiwało stopniowo odcień z lekka pejoratywny wraz z rozpowszechnieniem się oficjalnego terminu „Rosjanin", ale nie stało się obraźliwe. Tę rolę przejęło pojęcie „kacap" zapożyczone – co charakterystyczne – z języka ukraińskiego, oznaczające mniej więcej „wielkiego capa", czyli kogoś z wielką brodą. W opublikowanych na początku XX wieku *Wspomnieniach niebieskiego mundurka* Witolda Gomulickiego – opowieści o uczniach gimnazjum w Pułtusku w czasach popowstaniowych – słowo „kacap" jako obraźliwe określenie Rosjanina pojawia się chyba po raz pierwszy w polskiej literaturze. Tuż obok figuruje „Moskal", ale pejoratywny odcień zawdzięcza dopiero wyposażeniu w przymiotnik „prokljatyj". Jako ciekawostkę dodajmy, że u Gomulickiego oba wyrazy pojawiają się w kombinacji z epitetem „dziegciarz", któ-

eprasa.pl 15f0aae880

ry jednak nie zadomowił się w polszczyźnie. Oznaczał handlarza dziegciem, czyli smolistą substancją produkowaną z kory brzozy, miał zatem zapewne być odpowiednikiem słowa „brudas".

Ruski, czyli jaki?

Najwcześniejszym przykładem użycia terminu „ruski" dla określenia Rosjanina jest chyba *Pan Tadeusz*. Trzeba jednak zwrócić uwagę na fakt, że używa go w tekście Mickiewicza Rosjanin, kapitan Ryków – „wy Polaki, ja Ruski". Narrator, pisząc od siebie, konsekwentnie nazywa Rykowa „Moskalem". Można więc przyjąć, że użycie wspomnianego terminu jest przykładem uzurpacji dokonanej przez Rykowa, a może nawet swoistego przypochlebiania się „dobrego Rosjanina", który prezentuje się Polakom jako swojski Rusin.

W dwudziestoleciu międzywojennym używano konsekwentnie terminu „Rusin" dla zdefiniowania odmienności części społeczności Małopolski Wschodniej, wcześniej nazywanej Galicją wschodnią. Stosowanie tego pojęcia w oficjalnej nomenklaturze było związane z dążeniem do pomniejszenia znaczenia identyfikowania się licznych obywateli ówczesnej Rzeczypospolitej z nominatywem „Ukrainiec", przy czym „Rusin", mówiąc w dużym uproszczeniu, oznaczać miał Ukraińca lojalnego wobec państwa polskiego. W spisie ludności z 1921 roku pozostawiono respondentom możliwość przypisania się do oznaczenia języka ojczystego jako „rusińskiego" lub „ukraińskiego". Wyniki były interesujące. Na przykład we Lwowie ponad 24 tysiące obywateli wskazało, że ich językiem jest ukraiński, a blisko 11 tysięcy, że rusiński. Przymiotnik „ruski" w dwudziestoleciu międzywojennym pozostawał w użyciu w odniesieniu do Rusinów, choć w wielu przypadkach zastępował go „rusiński".

Po II wojnie światowej i zmianie granic Rusini zniknęli z pejzażu społecznego Polski. Mniejszość wywodząca się z korzenia ruskiego stała się „ukraińską". W języku potocznym zaczął się wtedy umacniać obyczaj określania wszechobecnych w kraju żołnierzy sowieckich „Ruskimi", niezależnie od tego czy byli to Rosjanie, Buriaci czy Kałmucy. Ten fenomen nie został nigdy poddany badaniom naukowym i na razie nie jesteśmy w stanie opisać w sposób obiektywny jego rozprzestrzeniania się. Nie ma jednak wątpliwości, że takie użycie określenia „Ruscy" stało się powszechne, czego dowodem może być choćby dowcip cytowany na początku tekstu. Ruskie pierogi zaczęły być kojarzone z Rosją, co skutkowało tym, że już w czasach nam współczesnych w kartach menu co bardziej ambitnych lingwistycznie restauracji pojawiały się – o zgrozo – jako „*russian dumplings*".

Nadmieńmy, że ostatnio pojawiły się próby wyjścia z tego zaułka polegające na nazywaniu ruskich pierogów – ukraińskimi. To niestety nie ma żadnego sensu, bo

eprasa.pl 15f0aae880

kuchnia ukraińska, choć zna setki wariantów podobnej potrawy nazywanej warenykami, nie stosuje charakterystycznego dla ruskich pierogów farszu na bazie kartofli z twarogiem i omastą. Co więcej, polskie słowo „pieróg" jest zapożyczeniem z ukraińskiego (a raczej historycznie rzecz biorąc: ruskiego) „pyrih", ale trzeba zaznaczyć, że „pyrih" oznacza potrawę pieczoną, a nie gotowaną, jaką są pierogi ruskie.

***

Mamy więc do czynienia z zawikłaniem, którego nie można rozwiązać inaczej, jak tylko powracając do korzeni. Pozostawmy zatem w naszym języku „pierogi ruskie" i zaprzestańmy używać rzeczownika „Ruscy" i przymiotnika „ruski" w odniesieniu do Rosjan i rzeczy rosyjskich. W ten sposób nie tylko pozostaniemy wierni tradycji, ale i przeciwstawimy się rosyjskiej narracji imperialnej, która polega na nieuzasadnionym historycznie zawłaszczaniu tradycji Rusi Kijowskiej i tworzeniu mitu określanego jako „ruski mir", odmawiającego historycznej podmiotowości Ukraińcom i Białorusinom. Mit ten przez długi czas propagowany konsekwentnie w Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych jako narracja o podstawach „naukowych" jest źródłem intelektualnego przyzwolenia na prowadzenie przez Rosję polityki imperialnej, co nawet dzisiaj pomaga Moskwie usprawiedliwiać swoje zbrodnicze działania.

Dr hab. Henryk Jan Litwin jest polskim historykiem, dyplomatą, doktorem habilitowanym nauk humanistycznych. Były konsul generalny we Lwowie, ambasador RP w Białorusi, podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, ambasador RP w Ukrainie.

eprasa.pl 15f0aae880

Jestem prostym, zmęczonym życiem Białorusinem

Z Joanną Bernatowicz, tłumaczką literatury białoruskiej, autorką przekładu *Długa droga do domu* Wasila Bykaua, rozmawia Małgorzata Nocuń

MAŁGORZATA NOCUŃ: Bardzo chciałaś przełożyć tę książkę. Dlaczego?
JOANNA BERNATOWICZ: Po pierwsze, ponieważ jest to wartka opowieść o życiu najważniejszego białoruskiego pisarza XX wieku, Wasila Bykaua. Autor urodził się we wsi na Witebszczyźnie w 1924 roku. Jego wspomnienia z dzieciństwa krążą wokół biedy, głodu, braku szans na wymarzoną edukację. Kiedy ma siedemnaście lat, wybucha wojna i chłopak trafia na front. Wielokrotnie ociera się o śmierć. Z Armią Czerwoną przemierza długi szlak przez Ukrainę, Węgry, Austrię, Bułgarię. Po wojnie trafia na Wyspy Kurylskie, by strzec granic sowieckiego imperium w czasie konfliktu koreańskiego. Wraca na Białoruś, zaczyna pisać, staje się jednym z najwybitniejszych pisarzy języka białoruskiego.

Już z czysto fabularnego punktu widzenia wspomnienia Bykaua są świetną lekturą, zwłaszcza opisy frontowe czyta się momentami jak thriller, zmagania z sowiecką cenzurą zresztą też. Tę książkę jednak można odbierać także na drugim, ogólniejszym poziomie – jako opowieść o białoruskim XX wieku. Los Bykaua skupia jak w soczewce najważniejsze zjawiska i przemiany, pozwalające zrozumieć współczesną Białoruś. Gdy obserwuję to, co dzieje się w Białorusi dwadzieścia lat po śmierci autora, naprawdę doceniam jego przenikliwość.

***Długa droga do domu* rozpoczyna się dziecięcymi wspomnieniami ze wsi. Jest sielskość, spokój. Czy dla Bykaua ten wiejski pierwiastek był ważny? Czy go w pewnym sensie ukształtował?**

W moim odczuciu jedyne, do czego mogłoby pasować określenie „sielski" w odniesieniu do dzieciństwa Bykaua, jest pejzaż jego rodzinnej Witebszczyzny. Bykau z czułością opisuje krajobraz, w którym dorastał: dom, jezioro, wąwóz, drogę do szkoły. Nie ma tam jednak sielskości ani spokoju, jego dzieciństwo upływa w cieniu kolektywizacji i strachu. Bykau

eprasa.pl 15f0aae880

zapamiętuje z tamtego okresu niezwykłą ponurość ojca, który przychodził z kołchozu, siorbał w milczeniu z miski i palił. Chłopcu wydawało się wtedy, że ojciec jest na niego zły, i dopiero po latach zrozumiał, że po prostu „nie miał już życia". Stałym motywem w opowieści o dzieciństwie jest głód, bieda, brak ubrań, butów, opału, wieczne niedojadanie. Bez wątpienia to kołchozowe dzieciństwo ukształtowało Bykaua i wywarło głęboki wpływ na jego pisarstwo – weźmy choćby wstrząsające obrazy białoruskiej wsi z *Sotnikowa* (niektórzy mogą kojarzyć jej świetną filmową adaptację – *Wniebowstąpienie* Łarysy Szepitko), *Złego znaku*, *Obławy*.

Wspomnianą sielskość przerywa wybuch II wojny światowej. Bykau trafia na front. Jaki z niego wróci?

Niedługo przed wybuchem wojny Bykau musiał zrezygnować z nauki w szkole plastycznej (z powodów finansowych) i pójść do szkoły zawodowej, zapewniającej wyżywienie i stypendium. Uczniów witebskiej budowlanki wysłano do prac murarskich w ukraińskiej Szostce. Wtedy, w czerwcu 1941 roku, wkrótce po jego siedemnastych urodzinach, Niemcy napadły ZSRR. Młodych budowlańców zaangażowano do budowy rowów przeciwczołgowych, a potem wysłano na front. Przemierzał Ukrainę w jednej z wielotysięcznych kolumn młodziutkich chłopców i w trakcie tego marszu przypadkowo zgubił swój oddział. Został aresztowany – wtrącony do ciemnej piwnicy, oskarżony o szpiegostwo, następnego dnia wyprowadzono go na rozstrzelanie. Czerwonoarmista z karabinem ulitował się nad nim, strzelił w powietrze i pozwolił chłopakowi uciec. To było zaledwie pierwsze zetknięcie się z sowieckim mechanizmem absurdalnej przemocy i podejrzliwości. Bykau początkowo służył w piechocie, potem jako artylerzysta. Nieraz wspomina działalność „oficerów politycznych": żołnierze niekiedy bardziej obawiali się swoich niż Niemców. Bykau ostatecznie rozstaje się z Armią Czerwoną dopiero w 1955 roku. Jaki wraca z wojny? Wydaje mi się, że można w skrócie powiedzieć: głęboko przekonany o tym, że wojna to piekło i najgorsze nieszczęście, jakie może spotkać człowieka.

Zdecydował się – wbrew obowiązującej w radzieckiej kulturze doktrynie – na naturalistyczne opisy wojny. Jak został przyjęty przez czytelników?

Bykau wypracował swój styl pisania, skoncentrowany w pełni na tragedii bohatera. Jego celem jako prozaika stało się, mówiąc najprościej, pisanie prawdy o wojnie. O tym, jak przyjmowali go czytelnicy, chyba najlepiej opowiedziała Swiatłana Aleksijewicz (w 2014 roku w wywiadzie udzielonym „Rossijskiej Gazietie"): „W czasach studenckich czekaliśmy na każdą jego książkę. Spieraliśmy się o nie gwałtownie, ponieważ stawiał odwieczne pytania: Jak pozostać człowiekiem? Czym jest zdrada? Czy można poświęcić dziecko w imię szczytnego celu albo wielkiego zwycięstwa?". Jak widać,

eprasa.pl 15f0aae880



Bykau wypracował swój styl pisania, skoncentrowany w pełni na tragedii bohatera. Jego celem jako prozaika stało się, mówiąc najprościej, pisanie prawdy o wojnie.

gorące dyskusje toczone w sowieckich kuchniach wcale nie dotyczyły wojny jako takiej. Bykau uczynił II wojnę światową na zawsze współczesną, ponieważ pytania, które stawiał, nie tracą aktualności. Umieszczenie w centrum jednostki, samotnej w obliczu śmierci, sprawiło, że badacze literatury łączyli jego twórczość z egzystencjalizmem. A wracając do lat siedemdziesiątych, Aleksijewicz mówi o tym, że w płaskiej, jednowymiarowej, sowieckiej rzeczywistości pisarstwo Bykaua było jak łyk świeżego powietrza, wyjście poza schemat.

Jego pisarstwo jest wielkim antywojennym manifestem. Tymczasem w ZSRR wojna uległa niemal sakralizacji. Jak zareagowała na to krytyka?

Bykau debiutował w latach pięćdziesiątych i aż do lat osiemdziesiątych nieustannie zmagał się z atakami krytyków. Jak wspomina, „organy partyjne z zapałem reglamentowały prawdę rękami różnych dyrektorów od literatury, cenzorów, redaktorów". Najbardziej autobiograficzna z jego opowieści *Martwych już nic nie boli*, w której przedstawił czekistę

eprasa.pl 15f0aae880

w negatywnym świetle, stała się obiektem wściekłych ataków krytyki. Nagonka miała typowy przebieg – ton nadała centralna „Prawda", a potem posypały się obraźliwe artykuły we wszystkich czasopismach, włącznie z białoruskimi gazetami regionalnymi. Redakcje czasopism zmuszały go do głębokich ingerencji w teksty, wysyłały do niego redaktorów „korygujących" w najdrobniejszych szczegółach ideową linię utworów. Staraniem badacza Siarhieja Szaprana w 2014 roku w Białorusi ukazało się nieocenzurowane, tekstologiczne wydanie *Likwidacji* (oryginalny tytuł *Sotnikowa*), które pokazuje wstrząsającą wręcz skalę ingerencji cenzury. Tradycyjnie radziecka krytyka łączyła pisarza z nurtem „prozy lejtnanckiej", do której należeli między innymi Jurij Bondariew i Grigorij Bakłanow.

Dziś Bykau uznawany jest za dysydenta, jednak w pewien sposób wpisał się w radziecki system (uczestnictwo w oficjalnych gremiach, takich jak Związek Pisarzy). Wierzył w socjalizm? A może wiedział, że inaczej nie będzie mógł funkcjonować?

Bykau wpisywał się w radziecki system z prostego powodu – urodził się i wychował w ZSRR, kraju, który raczej nie zostawiał obywatelom wyboru. W tamtych czasach członkostwo w organizacjach zawodowych (a więc i w Związku Pisarzy) nie było kwestią ideową, lecz koniecznością związaną ze sprawami bytowymi. Jako niepokornego pisarza państwo starało się go gnębić na różne sposoby, on zaś obrał bardzo interesującą strategię, którą określiłabym jako „nie mieć zbyt wiele do stracenia". Pomimo licznych nacisków Bykau nigdy nie wstąpił do partii komunistycznej. Nie pełnił żadnych funkcji, nie robił kariery, starannie unikał wszelkich zaszczytów, pracował na podrzędnym stanowisku w redakcji „Grodzieńskiej Prawdy", zjazdy pisarzy spędzał, upijając się w kuluarach. Jego schronieniem był wizerunek pijaka i nieudacznika. Nękało go KGB, był zastraszany, podsłuchiwany, wielokrotnie prowokowany, jego zaufany kolega, z którym spędzał sporo czasu, okazał się donosicielem podstawionym przez służby. Marzy mi się polskie wydanie książki Tacciany Astrouskiej *Cultural Dissent in Soviet Belarus (1968–1988). Intelligentsia, Samizdat and Nonconformist Discourses* (Kultura i protest. Inteligencja, nonkonformizm i samizdat w sowieckiej Białorusi (1968–1988), która w fantastyczny sposób analizuje fenomen białoruskiego nonkonformizmu, zupełnie w Polsce nieznany.

Najtrudniej chyba było Bykauowi wraz z nastaniem Łukaszenki. Poradził sobie w czasach radzieckich, nie umiał odnaleźć się w satrapii stworzonej przez dyrektora sowchozu. Jak wspominał ten czas?

W czasach pierestrojki Bykau stał się głosem Białorusi w świecie, na ten czas przypadła też największa jego aktywność społeczna i polityczna. W latach osiemdziesiątych otrzymywał wysokie nagrody państwowe, był deputowanym, jeździł po

eprasa.pl 15f0aae880

świecie z licznymi radzieckimi delegacjami, między innymi z Gorbaczowem gościł w ONZ, brał udział w sesjach Zjazdu Ludowych Deputowanych na Kremlu. W 1988 roku był współzałożycielem Białoruskiego Frontu Ludowego i Martyrologu. Paradoksalnie w czasach sowieckich łatwiej mu było funkcjonować na prawach pisarza „jednego z narodów sowieckich". Reglamentowana białoruskość, tolerowana w ZSRR, w niepodległej Białorusi okazała się zbyt niebezpieczna dla władzy. Tym, co ostatecznie sprawiło, że Bykau nie mógł współistnieć z reżimem, który ukształtował się po 1994 roku w Białorusi, była jego konsekwentna białoruskość. Na krytykę zmanipulowanego referendum i postępującej rusyfikacji władza odpowiedziała zakazem publikacji jego utworów i prasową nagonką. Tak głębokie represje nie dotknęły go nawet po publikacji najbardziej kontrowersyjnego opowiadania *Umarłych już nic nie boli* za Breżniewa. Bykau opisał groteskowego białoruskiego dyktatora w zjadliwych, ironicznych przypowieściach z lat dziewięćdziesiątych. Po polsku ukazały się one w zbiorach *Gdy witają się dusze* i *Ściana*.

Jaki jest dziś społeczny odbiór Bykaua? Dla wielu białoruskich intelektualistów jest sumieniem narodu. Zdecydował się na emigrację, ale powrócił do ojczyzny. Jego pogrzeb był wielką patriotyczną manifestacją.

Bykau okazał się jednym z niewielu pisarzy sowieckich, których twórczość miała wymiar uniwersalny, zrozumiały na całym świecie, a jednocześnie pozostał pisarzem całkowicie zanurzonym w białoruskości. Jego uniwersalna opowieść o człowieku pozostaje umocowana w konkretnym, białoruskim kontekście. W tym sensie Bykau – jako pisarz popularny i wydawany na całym świecie, kandydat do literackiego Nobla – w pewnym momencie musiał zmierzyć się z własnym mitem. Pod koniec życia pisał: „Nie jestem liderem ani »sumieniem narodu«, jestem prostym, zmęczonym życiem Białorusinem i mam jeden cel – pozostać uczciwym człowiekiem. Chciałem dożyć wolności, lecz to marzenie najwyraźniej się nie spełni. Mojemu pokoleniu, podobnie jak wielu poprzednim, nie będzie dane posmakować wolności". Bykau jest dla mnie sumieniem narodu w tym sensie, że zachował niezwykle krytyczne spojrzenie na los swojego narodu, pozbawione złudzeń, zawieszone między nadzieją i rozpaczą.

W obecnej Białorusi mamy „dwóch" Bykauów. Jeden, ten oficjalny, sowiecki, jest w programie lektur szkolnych, jego pozycji w owym kanonie nic nie zagraża. Drugi Bykau, czyli cała jego działalność od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego, został wymazany.

Czym jest tytułowa „długa droga do domu"?

Wyrazem tęsknoty, w różnych sensach. Tęsknoty za ojcowizną, do której Bykau chciał, lecz nie mógł wrócić po wojnie. Ojciec dał mu do zrozumienia, że to nie ma sensu: „W wojsku przynajmniej dają

eprasa.pl 15f0aae880

jeść. A tutaj dojemy ziemniaki i znów będzie głód". Tęsknoty za światem białoruskiej wsi, który na jego oczach odchodził w niebyt – najpierw spłonął w pożodze wojny, potem dobiła go powojenna urbanizacja. O odwiedzinach w rodzinnej wsi pisał: „Znajdowałem tam bardzo mało radości, a smutku – ponad miarę. Na tym chyba polega gorzka słodycz życia, a może i jego naturalny sens". Bykau należał do pokolenia zanurzonego w żywiole języka białoruskiego, ten zaś na jego oczach, wskutek konsekwentnych decyzji politycznych, stopniowo, lecz nieubłaganie tracił status języka narodowego. W tym sensie „długa droga do domu" jest metaforą białoruskiej wędrówki – którą można interpretować zarówno w kontekście bezdomności, jak i wędrówki do celu, jakim dla Bykaua była na pewno wolność i niezależność Białorusi.

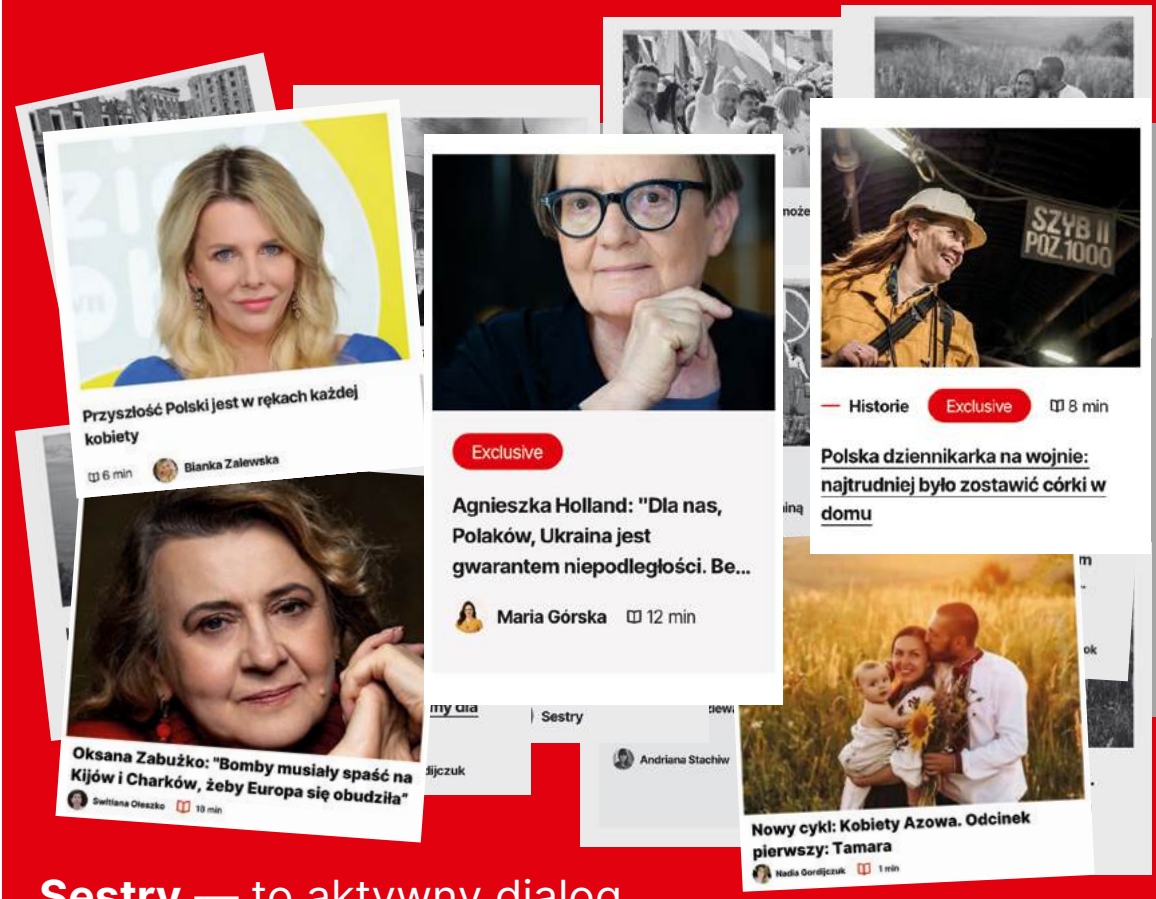
Joanna Bernatowicz jest tłumaczką literatury białoruskiej. Nakładem Kolegium Europy Wschodniej ukazała się w jej przekładzie autobiograficzna powieść Wasila Bykaua *Długa droga do domu.*

eprasa.pl 15f0aae880

REKLAMA

sestry.eu

Online magazyn, który łączy narody!



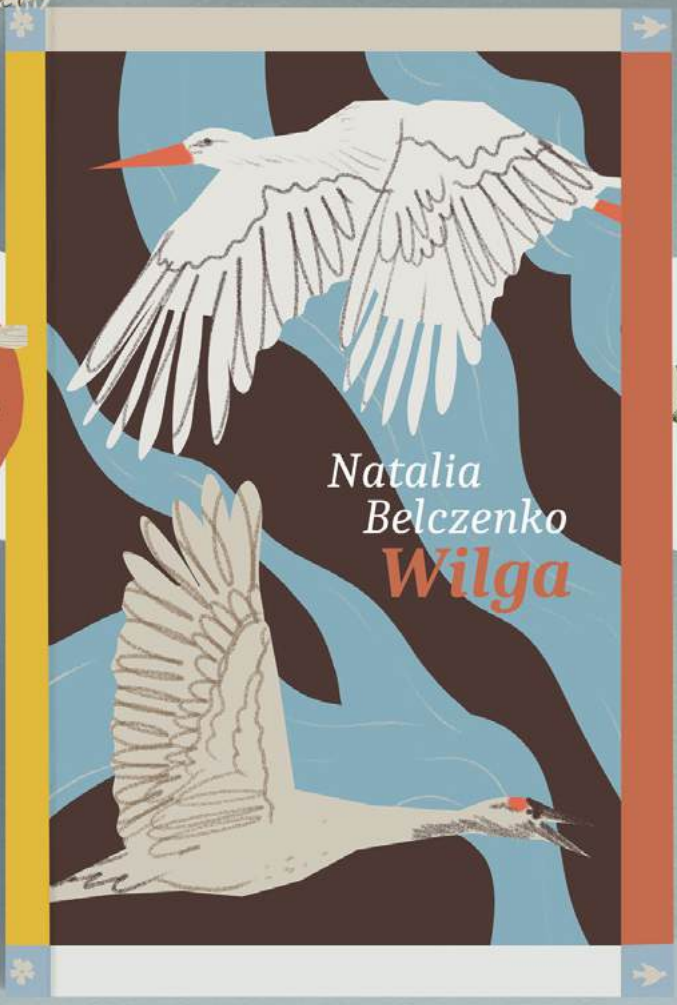
Sestry — to aktywny dialog o demokracji i tyranii, o wojnie w Ukrainie i o przyszłości świata. Rozmawiamy z wybitnymi współczesnymi postaciami świata, aby zmieniać świat na lepsze.

CZYTAJ NAS!

eprasa.pl 15f0aae880

REKLAMA

KEW
Kolegium
Europy
Wschodniej



Sprawdź tytuły, które pozwolą Ci spojrzeć szerzej.

www.kew.org.pl

eprasa.pl 15f0aae880

REKLAMA

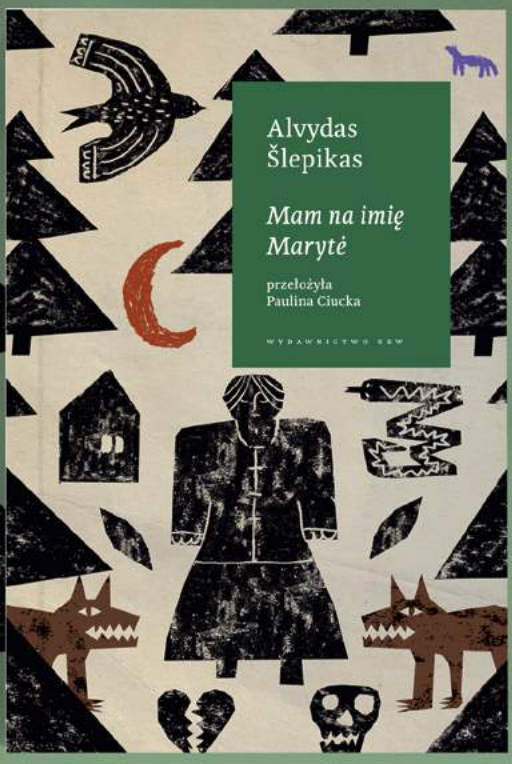


WDZIĘCZNI

© 2020–2024 NOWA EUROPA WSCHODNIA ONLINE ISSN: 2084-3992
eprasa.pl 15f0aae880

REKLAMA

KEW
Kolegium
Europy
Wschodniej



Opowieść o jednej z białych plam powojennej historii – „wilczych dzieciach" – jest oparta na faktach. Po II wojnie światowej niemieckie sieroty tułały się po Litwie w poszukiwaniu chleba i dachu nad głową. Mała Renata, uciekinierka z Prus Wschodnich, musi ukryć swoje niemieckie pochodzenie. Szuka schronienia w lasach, ale także wśród ludzi. Znajduje przybranych rodziców, otrzymuje nowe, litewskie imię – Marytė.

Sprawdź tytuły, które pozwolą Ci spojrzeć szerzej.

www.kew.org.pl

eprasa.pl 15f0aae880

REKLAMA

Leelo Tungal

Mała towarzyszka i listy

przełożyła Marta Perlikiewicz

WYDAWNICTWO KEW



Nowość Wydawnictwa KEW

eprasa.pl 15f0aae880

REKLAMA

Anglojęzyczne pismo o Europie Wschodniej



New Eastern Europe

Jeśli interesuje Cię polityka, kultura, historia czy społeczeństwa tego regionu – nasze artykuły na pewno są dla Ciebie!

Nie przegap również naszych wyjątkowych reportaży, które zabiorą Cię w podróż przez Europę Wschodnią, pozwalając na poznanie jej zróżnicowanych kultur i historii.

Pismo dostępne jest w księgarniach i prenumeracie:
https://neweasterneurope.eu/subscribe/

Zachęcamy do lektury!

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

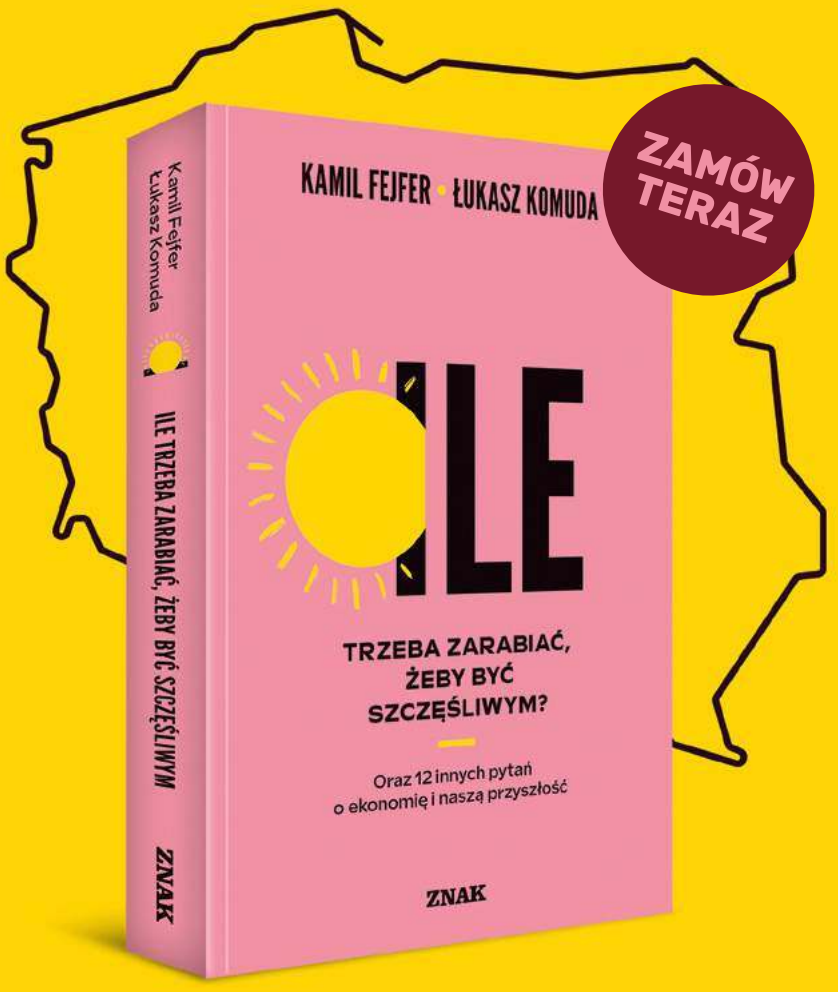
Współfinansowane przez Unię Europejską

Pismo finansowane ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego i Komisji Europejskiej.

eprasa.pl 15f0aae880

REKLAMA

OPTYMIZM OPARTY NA FAKTACH



PREMIERA

POŁOWA WRZEŚNIA 2024

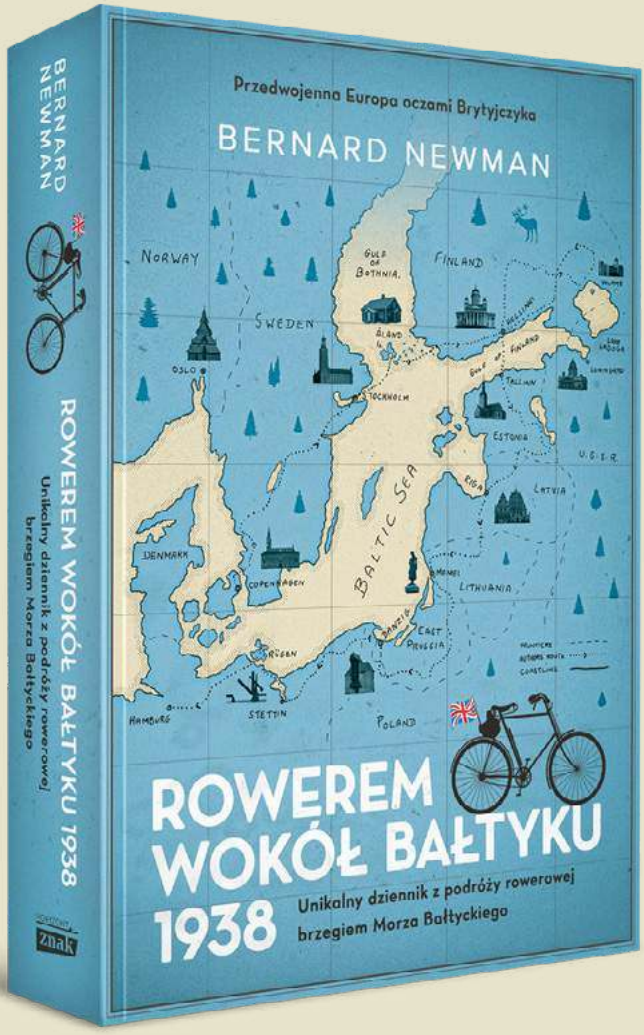
KSIĄŻKA DOSTĘPNA NA:

znak KSIĘGARNIA

eprasa.pl 15f0aae880

REKLAMA

REPORTAŻ Z EUROPY U PROGU WOJNY



eprasa.pl 15f0aae880

Długa droga do domu

Wasil Bykau

Prezentujemy fragment książki Wasila Bykaua *Długa droga do domu*, która w przekładzie Joanny Bernatowicz ukazała się nakładem Wydawnictwa Kolegium Europy Wschodniej.

W pogodny czerwcowy ranek przyjechaliśmy do Ukrainy.

Białe chatki, topole, na stacjach niesłyszany wcześniej język… Gogolowskie skojarzenia przenosiły mnie w inny świat, bajkowy, romantyczny. Przez myśl mi wtedy nie przeszło, że tak wiele dramatycznych i tragicznych zdarzeń połączy mnie z tą ziemią.

Nie zdążyłem rozejrzeć się po mieście ani odszukać wujka, gdy wybuchła wojna.

Mówiąc szczerze, młodzi na początku niespecjalnie się przejęli – było przecież świeżo po wojnie zimowej, a wcześniej dokonano triumfalnego wyzwoleńczego marszu na Białoruś Zachodnią, w pamięci utrwaliło się pasmo zwycięstw. Teraz też wygramy, tym bardziej że naszym przywódcą jest niezwyciężony towarzysz Stalin. Stopniowo jednak ogarniał mnie smutek, a po nim lęk. Chciałem do domu, bliżej rodzinnej ziemi, a nie było jak. Po zajęciu Mińska i Homla przez Wehrmacht (doszedł aż pod Kijów) zostaliśmy zmobilizowani. Najpierw Komitet Wojskowy skierował nas do robót obronnych. Przez miesiąc kopaliśmy długaśny, głęboki rów przeciwczołgowy gdzieś po Pirogowką. Potem musieliśmy porzucić nasze dzieło, bo Niemcy już zamykali okrążenie Kijowskiego Kotła.

Wielotysięczne kolumny młodych, siedemnasto-osiemnastoletnich chłopców wędrowały po zakurzonych drogach na wschód. Szliśmy w upale. We wsiach i w miasteczkach odprowadzały nas kobiety i dziewczęta, dawały jedzenie, jakieś owoce, machały chustkami. Niektóre płakały. Chłopakom humory dopisywały, sypały się żarty. Za nami, garstką Białorusinów, nikt nie płakał, nasze płaczki zostały daleko stąd, Ukrainki też jednak miały dla nas serce. Na skraju historycznego miasta Głuchowa podbiegła do mnie czarnobrewa panna i mnie pocałowała – to był pierwszy dziewczęcy pocałunek w moim życiu, pełen emocji. Nocowaliśmy zwykle na klepiskach, w oborach, opustoszałych szkołach. Ukraińscy chłopcy świetnie śpiewali. Nawet po najbardziej męczącym dniu, w ciemną letnią noc pod rozgwieżdżonym niebem, gdzieś na skraju wsi długo wybrzmiewała ulubiona, znajoma piosenka: „Wyprzęgajcie, chłopcy, konie i pokładźcie się już spać, a ja idę w sad zielony, studnię

eprasa.pl 15f0aae880

kopać, wiśnie rwać”[1]. O świcie pobudka i znów droga w upale, dopóki nie pojawią się na niebie niemieckie jastrzębie.

Żywiliśmy się gdzie popadnie, bardziej samopas. Tamtego roku obrodziły jabłka, warzywa. Zachodziliśmy do przydrożnych sklepów, lecz przeważnie świeciły pustkami. Wszystko zdążyło zniknąć z półek. W Biełgorodzie próbowałem kupić herbatę owocową, ten susz nadawał się też do jedzenia, i utknąłem w tłumie przy ladzie. Przez to odłączyłem się od kolumny i w końcu ją zgubiłem. Do nocy biegałem po ulicach pełnych wojska. Zmęczony zaszedłem do jakiejś chaty, na wpół rozwalonej przez bombę. Obudził mnie patrol, zaprowadził do komendantury. Tam w środku nocy przesłuchanie: kim jestem, dlaczego się odłączyłem, w jakim celu? Zrobili rewizję, zabrali dokumenty. W mojej walizce znaleźli mapę – na skrawku papieru wydartym z podręcznika ja, mądrala, zaznaczałem, jak przesuwa się front. Ten arkusik omal mnie nie zgubił. Lejtnant w niebieskiej czapce, który mnie przesłuchiwał, już po pierwszych słowach zamachnął się i uderzył mnie w jedno ucho, a zaraz potem drugą ręką w drugie: „Czemu się ukrywałeś?”. Próbowałem udowodnić, że zgubiłem oddział, że idę z obwodu sumskiego, a mój śledczy na to: „Wszyscy tak mówią! Ci wasi faszyści mogliby wymyślić coś nowego. Wydusimy z ciebie przyznanie się do winy, taka twoja mać!”. Pierwszy raz wtedy ktoś mnie zwymyślał w ten osobliwy sposób, zapamiętałem to na całe życie.

Więcej nie bili. Pokrzyczeli jeszcze, zaprowadzili do ciasnego pomieszczenia w suterenie. Było ciemno, czułem obecność ludzi i przycupnąłem obok wejścia. Wkrótce przyprowadzili następnego aresztanta, poświecili latarką i musiałem się przesunąć. Oparłem się plecami o ścianę i zdrzemnąłem na chwilę.

Obudziłem się o brzasku. W celi zrobiło się jaśniej. Upchnięto w niej osiem osób. Przyjrzałem się sąsiadom. Jeden leżał na boku, wyciągnął długie nogi w onucach zawiniętych aż pod kolana. Drugi siedział przy nim, na głowie miał wojskową czapkę z gwiazdą nad daszkiem. Obok mnie leżał taki w białej wyszywanej koszuli, ręce miał wykręcone do tyłu. Nie od razu się domyśliłem, że są związane, odruchowo chciałem go uwolnić. Poderwał się i jęknął: „Nie ruszaj, zastrzelą”. Odsunąłem się.

Co dziwne, do południa nikogo nie wyprowadzili z celi, a przyprowadzili jeszcze trzech. Wszyscy milczeli, tylko jeden z nowo przybyłych zaczął płakać. Krzyknęli na niego: „Ucisz się! Rozkleił się”. Wszyscy na coś czekali i nasłuchiwali odgłosów z zewnątrz. Tam faktycznie coś się działo: warczały silniki samochodów, dobiegały nas krzyki oddziałów – co to mogło być? W południe przeszło straszne bombardowanie miasta, cała piwnica drżała, sufit się obsypywał. W pobliżu strzelali z karabinów, ale zenitówek[2] nie było, jak przytomnie zauważył sąsiad w onucach.

[1] *Rozprahajte, chłopci, koni* – popularna ukraińska piosenka ludowa.
[2] Zenitówka – działo przeciwlotnicze.

eprasa.pl 15f0aae880

Pod wieczór strażnicy wyprowadzili parę osób, nikt nowy się nie pojawił. W celi zrobiło się luźniej, ale odgłosy z zewnątrz nie przycichły. Całkiem niedaleko waliła artyleria. Znów przysnąłem. Obudził mnie powiew świeżego powietrza, w drzwiach stali wojskowi w pelerynach. Butami trącili leżących najbliżej i kazali im wyjść. Po chwili na drugim końcu budynku usłyszeliśmy strzały. „Cztery" – ze strachem powiedział ktoś w celi. Twarz mojego sąsiada w wyszywance zbielała, jakby obsypana mąką. Drzwi raz po raz się otwierały, zaczęli wyprowadzać po kolei. Gdzieś w pobliżu wywiązała się strzelanina, wychwyciliśmy z niej kilka pojedynczych bliskich strzałów. Kolejny raz przyszło dwóch – młody w niebieskiej czapce i starszy wąsaty czerwonoarmista z karabinem. Wąsacz rzucił w moją stronę: „Wychodzić!", posłusznie się podniosłem. Nie pamiętam, jak wyszedłem z piwnicy ani jak przez brukowane podwórze zaprowadzili mnie za róg murowanego budynku na zadeptane ogrodowe grządki. Pod starym płotem z desek zobaczyłem w pokrzywach długie nogi w wysoko zawiniętych onucach. Nie wytrzymałem, łzy same popłynęły strumieniem. Czerwonoarmista znieruchomiał, jakby zdziwiony moim bezgłośnym płaczem, i znienacka rzucił: „Uciekaj, młody! Szybko!". Zerwałem się i ruszyłem przez ziemniaki do najbliższej dziury w płocie, pewny, że za chwilę padnie strzał. Żołnierz rzeczywiście strzelił, lecz w górę, co zrozumiałem już w biegu, choć się nie odwróciłem.

Biegłem. Za płotem przez jakieś ogródki, przeskoczyłem drewniane ogrodzenie, okrążyłem chylące się chlewiki, zatrzymałem się w zarośniętym ostem zaułku. Odetchnąłem, wojskowych tu nie było, jakaś kobieta z wiadrem wyszła zza rogu. Ominąłem ją w milczeniu i dotarłem do torów kolejowych. Tutaj trochę zgłupiałem, nie wiedząc, dokąd iść – w prawo czy w lewo? Wybrałem trasę w lewo, w stronę wieży ciśnień górującej na dachami. W jej pobliżu spotkałem starszego kolejarza z metalową walizeczką. Zapytałem go, w którą stronę do Charkowa, a on przyjrzał mi się uważnie i bez słowa machnął ręką – tam. Ruszyłem po torach na zachód. Dróg należało unikać, były pełne wycofujących się wojsk i uchodźców – pieszych i z furmankami. Prułem więc po torach, kierowałem się na Wołczańsk, miasteczko pod Charkowem. Wcześniej usłyszałem, że kompletowano tam oddziały rezerwowe. Oddział, od którego się odłączyłem, zmierzał właśnie tam. Tylko gdzie był ten Wołczańsk? Czy naprawdę pod Charkowem i czy kolejarz pokazał mi właściwy kierunek? Nie miałem kogo dopytać, zresztą się bałem.

Los wtedy do mnie się uśmiechnął. Obok drogi w lesie trafiłem na swój oddział, wtedy już w trakcie przegrupowania. Tak się ucieszyłem, że zapomniałem o wszelkich troskach. Nie miałem jednak przy sobie żadnego dokumentu, wszystko zostało w biełgorodzkiej komendanturze. Na szczęście dowódcy specjalnie się nie czepiali – nie było czasu, a chłopcy potwierdzili: to nasz. Chyba po raz pierwszy poczułem radosną jedność kolektywu, jego rozkoszną przewagę nad stłamszoną przez życie

eprasa.pl 15f0aae880

jednostką. O swoich dramatycznych przygodach w Biełgorodzie długo nikomu nie opowiadałem, a o dokumentach pisałem później, że zagubiły się podczas wojny. Bez zbędnych szczegółów.

Sformowali z nas nowy oddział, dali jakieś używane mundury, a zamiast broni – łopaty. Oznajmiono nam, że od tego dnia jesteśmy w składzie inżynieryjnego batalionu armii. Przyjechali jacyś dowódcy i znów skierowano nas do kopania rowów, tym razem na północ od Charkowa. Po paru dniach wydali karabiny – po jednym na dziesięć osób – i poczuliśmy się wojownikami niezwyciężonej Armii Czerwonej. Wkrótce zaczął się kocioł. Zbliżył się front, powtarzały się naloty bombowe. Były wyłomy na liniach niemieckich, desanty z powietrza, które mieliśmy odpierać, ale częściej uciekaliśmy przed nimi. Gdy dowództwo rzuciło nas do osłony naszego kontrataku kawaleryjskiego, po raz pierwszy poczułem grozę tej wojny.

Nocą okopaliśmy się na skraju pola kukurydzy. Przed nami rozciągało się pole buraków, a za nim przycupnęła spora ukraińska wieś. Szliśmy przez nią poprzedniego dnia. Za nami postępowała kawaleria, mnóstwo kawalerii. Do dziś mam ich przed oczami: zakurzeni, zmęczeni ludzie i konie, wokół kurz, kurz… W Ukrainie latem nad drogami zawsze unoszą się tumany kurzu. Kawalerzyści najwidoczniej szli z daleka, za dnia wisiało nad nimi niemieckie lotnictwo, ciągłe bombardowania. Wszystko wokół płonie… Uzbrojeni tak: karabin na plecach, szabla, maska przeciwgazowa, dwustronna sakwa przy siodle. Z jakiegoś powodu w pamięci utkwiły mi końskie maski przeciwgazowe. Od wielkiej torby na siodle szła gruba harmonijkowa rura, niczym kiszka, połączona z maską, którą zakłada się koniowi w razie ataku gazowego. Na tej wojnie taki się nie zdarzył. O świcie jeźdźcy ruszyli w stronę wsi do ataku na niemieckie czołgi. Niemcy pozwolili im podejść blisko i z karabinów maszynowych urządzili taką jatkę, że mój Boże! Po jakichś dziesięciu minutach nasi odbili z powrotem. Biegnie koń z pianą na pysku, bez jeźdźca, albo jeździec zwisa z siodła głową w dół. Koń pada, szamocze się, z brzucha wypływają wnętrzności i jeszcze ciągnie się ta przeciwgazowa kiszka. Wszystko wokół pokłute seriami z automatu. Szybko stamtąd drapnęliśmy – wszyscy, piechota i jazda – do lasu, atak zamarł i już go nie ponowiono. Czołgi ruszyły dalej.

Przeżyliśmy wiele takich momentów, bezładnych i idiotycznych. Budowaliśmy dla marszałka Budionnego komendanturę, Siemion Michajłowicz o mały włos nie trafił w niej do niewoli. Wycofywaliśmy się na Stary i Nowy Oskoł… Jakoś jesienią, chyba w październiku, armię w końcu wyprowadzili pod Woroneż. Była już wtedy niezdolna do walki, zostały resztki.

Dotarliśmy do stacji Griazi, tam zaczęło się przegrupowanie. Okazało się, że zgodnie z regulaminem jednostek tyłowych rocznik dwudziesty trzeci podlega mobilizacji, a dwudziesty czwarty jeszcze nie. Wszystkich z rocznika dwudziestego czwartego

eprasa.pl 15f0aae880

zebrali razem. Dodajmy, że zostało nas niewielu, bo Ukraińcy byli nie w ciemię bici, nie mieli daleko do domu i zwyczajnie dali nogę. A dokąd ja miałem się ewakuować? Białoruś została tysiąc kilometrów za mną, daleka droga. Musiałem więc ciągnąć się z niedobitkami. Z moich rówieśników sformowano kolumnę, wydano nam po trzy bochenki chleba i tak jak staliśmy – w zatłuszczonych watowanych kurtkach, w pilotkach pomimo zimy – wysłano nas na tyły, pod komendą podpułkowników, żebyśmy nie pouciekali. Ruszyliśmy do obwodu saratowskiego.

Znów żywiliśmy się czym popadnie, samopas. Chłopi czasem nas karmili, w końcu byliśmy na tyłach, mężczyźni z wielu domów poszli na front, ludzie współczuli żołnierzom, zwłaszcza takim żółtodziobom jak my. Chociaż zależy gdzie – stacje kolejowe świeciły pustkami i nic tam już dla nas się nie uchowało, a na wsiach zawsze coś skapnęło. Zanim dotarliśmy w okolice Saratowa, ubrania i obuwie zdarliśmy do szczętu. Onuce wyłaziły mi z butów, a zaczęły się chłody. Nie mieliśmy żadnych ciepłych ubrań. Pamiętam, że od jakiejś kobiety dostałem szalik, i tyle. Dowlekliśmy się do stacji Sałtykowka, pod koniec czterdziestego pierwszego roku. Tam zakwaterowano nas po kołchozach. Z Loszką Arłowem, chłopakiem z Uszacza, trafiliśmy do pobliskiego kołchozu imienia Kominternu.

Wieś była spora (aż dziw, że zapomniałem jej nazwę), położona na południe od Sałtykowki, w stepie. Mieszkaliśmy z Loszką niedaleko od siebie, ale spotykaliśmy się rzadko; zgodnie z miejscowym obyczajem lokatorzy nikogo nie zapraszali na stancję. Rankiem jeździliśmy po zamarznięty opał, a potem cały dzień siedziałem w domu. Nie miałem nic do roboty ani do czytania. Gospodynie prawie nie rozmawiały nie tylko ze mną, ale i ze sobą (synowa skłócona z teściową), gospodarz wychodził do pracy. W domu zostawała sześcioletnia dziewczynka – łagodna, delikatna. Nie odstępowała mnie na krok, ciągle prosiła, żeby jej coś opowiadać. Opowiedziałem jej wszystkie bajki, jakie znałem, opowiedziałem o Białorusi – o naszych lasach, zwierzętach, ptakach. Dziewczynka wciąż domagała się nowych opowieści. Wtedy pożyczyłem od sąsiadów Napoleona, gruby tom autorstwa Jewgienija Tarlego, członka Akademii Nauk ZSRR, i zacząłem czytać małej. O dziwo, uważnie słuchała!

Chyba po raz pierwszy poczułem radosną jedność kolektywu, jego rozkoszną przewagę nad stłamszoną przez życie jednostką.

Przesiedzieliśmy u kołchoźników prawie całą zimę czterdziestego drugiego roku. Kołchoz wydzielał porcje prosa, po kilogramie na tydzień. Ziarno trzeba było zetrzeć na tarce, by otrzymać jagły. W rodzinie, u której mieszkałem, gospodarz był kombajnistą, miał papiery uprawniające do pozostania w cywilu. Kaszę gotowała mi jego matka, świętej pamięci. Rodzina oczywiście jadła osobno, a ja żywiłem się

eprasa.pl 15f0aae880

kaszą jaglaną, a więc naprawdę nieźle jak na tamten czas. U nas przed wojną proso było rarytasem. W Witebsku talerzyk takiej kaszy z łyżeczką masła na wierzchu kosztował sześćdziesiąt kopiejek. Tutaj nie mieli masła. Wiecznie chciało mi się jeść, byłem przecież młody.

Trudna to była zima, mroźna, ale przede wszystkim doskwierała mi samotność, czułem się oderwany od rodzinnej ziemi, od ojczyzny, która została pod okupacją. Loszka mieszkał po drugiej stronie ulicy, mieliśmy obowiązek zapewniać gospodarzom opał. Służyły za niego badyle słoneczników leżące pod śniegiem w stepie. Dostaliśmy parę gospodarskich walonek na dwóch. Ze dwa, trzy razy w tygodniu jeździliśmy sankami w step, pokonywaliśmy głęboki jar, wyłamywaliśmy zmarznięte łodygi i taszczyliśmy do wsi. Z trudem wyciągaliśmy ciężki wózek pod stromą górę, wypruwaliśmy sobie flaki. Wyłaziłem mokry od potu i przypominał mi się mój jar koło domu. Patrzyłem na daleki, czerwony, mroźny zachód, gdzie zostały rodzinne strony, i łzy same płynęły. Nie musiałem ich się wstydzić – otaczał mnie skuty lodem step, nikt nie widział. Samotność, opuszczenie, poczucie całkowitego osierocenia – pierwszy raz w życiu tak cierpiałem. Pierwszy, ale nie ostatni.

Myślę: pewnie przebiło mi nogę. Jeśli tak, no to, Bykau, już po tobie. Po kilku sekundach zdołałem się poderwać, sprawdzam – noga połamana czy nie? Nie, nie ugina się. Tylko boli i w bucie chlupocze.

Nie mogę powiedzieć, że nas tam źle traktowali – po prostu tak jak wszystkich. Po pewnym czasie jednak nie wytrzymaliśmy i postanowiliśmy z Loszką ruszyć na zachód. Białoruś była pod okupacją, ale przecież partyzantka działała. Powoli zapominaliśmy o okropnościach frontu i chcieliśmy walczyć. W końcu wyruszyliśmy. Daleko nie doszliśmy – naiwnych uciekinierów zatrzymano na pierwszym moście kolejowym i dostarczono do rejonowego NKWD w Rciszczewie. Tam znów zaczęła się śpiewka, którą znałem z Biełgorodu. Kto nas wysłał na most i z jakim zadaniem? – dopytywali śledczy. Dowódcy nie dowierzali, że przebijaliśmy się na zachód, w stronę frontu, nawet się oburzali. Koniecznie chcieli przekonać nas i siebie, że szliśmy na tyły i mieliśmy jakiś cel. Tylko jaki?

Wybawił nas przypadek. W nocy przyprowadzili jakiegoś kryminalnego knura, drab wszczął bójkę w pokoju dyżurnego. Był to wielki chłop, poprzewracał wszystkie meble, zaczął dusić naczelnika. Rzucili się na niego wszyscy milicjanci, którzy tam byli, a my z Loszką po cichutku wyślizgnęliśmy się za drzwi. Wróciliśmy do kołchozu, do wcześniejszych gospodarzy, wcisnęliśmy im jakąś nieskładną bujdę. Nie wiem, czy nam uwierzyli.

[…]

eprasa.pl 15f0aae880

Jesienią czterdziestego trzeciego roku awansowałem na młodszego lejtnanta. Dostaliśmy złote pagony, a na nich każdy z absolwentów przeczepił po maleńkiej gwiazdce. Wyglądało to całkiem nieźle, poszliśmy zrobić sobie zdjęcia. Nie zdążyliśmy ich odebrać – zerwano nas w środku nocy i odmaszerowaliśmy na stację, gdzie na bocznicy stały puste wagony towarowe. Na szczęście były w nich żelazne piecyki.

Jechaliśmy długo. W wagonach urządzaliśmy się sami – na stacjach nosiliśmy deski na prycze. Dostaliśmy zapas mąki, po kilogramie na osobę, przez całą drogę piekliśmy z niej placki.

Piękne pagony w ogóle się nie przydały. W dywizji, do której wreszcie dotarliśmy, dowódca sztabu rozkazał po prostu: „Zdjąć! To nie parada". Zdjęliśmy. Pagonów polowych nie dostaliśmy, więc poszliśmy walczyć bez pagonów. Do zimy biegałem w szynelu bez pagonów, a złote leżały w torbie. Potem dowódca kompanii zdjął z poległego artylerzysty zielone i chyba przez pół roku nosiłem je na swoich młodych ramionach.

Front zaczynał się za Dnieprem, na przyczółkach wtedy już odbitych. Poszczęściło się nam, nie trzeba było forsować rzeki, ale i za Dnieprem dla wszystkich starczyło piekła. Na początku nieudane natarcie na Krzywy Róg, Niemcy nas zepchnęli. Nasza piechota i czołgi wycofywały się sześćdziesiąt kilometrów na północ. Po krótkim odpoczynku zaczęły się walki o Aleksandrię i Znamienkę. Zniszczone wsie, boje o każdy pagórek, każdy parów.

Trafiłem do zwykłego pułku strzeleckiego, zostałem dowódcą plutonu strzelców. Na własne oczy widziałem, jak straszne ofiary ponosiła piechota, ile krwi kosztowała każda piędź ziemi. Wróg wybijał piechotę do szczętu. Zwykle w dzień prowadziliśmy bitwę o wieś – a w Ukrainie

wsie są duże – a pod wieczór ją zdobywaliśmy; Niemcy odchodzili. Nie zatrzymywaliśmy się jednak na odbitym terenie, trzeba było napierać dalej, dopóki się wycofują. Co najwyżej zbiegałem na chwilę po kęs chleba, jeśli w ogóle był, albo ciepłego buraka z rąk gospodyni, i znowu w pole, znowu w bój i dym. Po obu stronach walą działa czołgów, wkoło wybuchają miny, słychać wrzaski dowódców, przekleństwa, szczególnie przez telefon. Dopiero gdy Niemcy zatrzymają się w sąsiedniej wsi, my także stajemy, w polu: nie mamy już sił, by ruszyć do ataku.

Karabinowy ogień kosił w stepie kompanię za kompanią w ciągu kilku godzin. Zostawiał za sobą setki zabitych, setki rannych. Nie mieliśmy szans nikogo ratować, tym zajmowali się instruktorzy sanitarni, transportowali ciężko rannych na tył. Lekko ranni sami wypełzali spod ognia. Nie wolno było porzucać szyku bojowego. Nawet gdy kula trafiła przyjaciela i miał szanse przeżyć, próbę jego ratowania uznawano za uchylenie się od walki. Ciężko ranni się wykrwawiali i umierali w kukurydzy. Jeśli ktoś dostał lżej, ale szedł zbyt wolno i nie wydostał się od razu spod ostrzału,

eprasa.pl 15f0aae880

dostawał drugi, trzeci raz, często któryś z tych strzałów okazywał się śmiertelny. Jeden z moich sierżantów, ranny w nogę, przed transportem na tył poprosił o skręta. Zanim żołnierz zdążył mu go zrobić, przełożony dostał strzał w brzuch. Nie wiem, czy dojechał żywy do oddziału sanitarnego.

Zabitych nie grzebaliśmy – zostawali tam, gdzie padli. Nie mieliśmy na to czasu, starsi dowódcy wrzeszczeli: „Naprzód!". Po bitwie ciałami zajmowały się specjalne „drużyny pogrzebowe". Ci ludzie zabierali trupom broń, ściągali umundurowanie i buty, kopali doły, wrzucali ciała i zasypywali… W sztabie oddziału prowadzono listę ofiar, lecz nie znaczy to, że w tej czy innej bratniej mogile leżą wyłącznie osoby, które figurują w spisie. Zdarzały się błędy: żołnierz żyje, a jego nazwisko jest na liście, albo odwrotnie: nie ma go w spisie poległych, a spoczywa w mogile.

Nie spaliśmy całymi dobami. Bezsenność i zmęczenie prowadziły do całkowitej obojętności. Nawet pod ostrzałem nie chciało się nam okopywać ani szukać schronienia: jak chcą, niech zabiją! Byle szybciej, żeby się nie męczyć, nie marznąć. Mróz dręczył nas mocniej od strachu,

szczególnie nocą, w stepie. Nie pozwalał zamknąć oczu, przenikał do kości. Człowiek cały drżał; leżąc w śniegu, tupał i młócił nogami jak w agonii. Do świadomości docierały tylko rozkazy dowódców przemieszane z przekleństwami albo ostrzał z małej odległości. Gdy miny wybuchały jedna po drugiej, na chwilę oblatywał nas strach, a potem znów wracało przemożne zmęczenie i obojętnieliśmy na wszystko.

Zima w Ukrainie może nie jest aż tak surowa jak w Rosji, ale mroźna – śnieg i wiatr dają się we znaki, szczególnie na stepie, na równinach. Ubrany byłem w to, co wydali nam w szkole: szynel, buty saperki ze sztucznej skóry, czapkę. W pułku całego przyodziewku dostałem trójpalczaste rękawice i kamizelkę z owczej wełny; ratowała mnie, zwłaszcza że tygodniami nocowaliśmy w polu. Hełmu nie nakładałem. Kiedyś wcisnąłem go na czapkę, ale kiepsko się trzymał i mój pomocnik dowódcy plutonu, niemłody sierżant, parsknął: „Żadnego pożytku z niego, rzuć to w cholerę". Wcześniej na skraju pola kukurydzy zginął najmłodszy w plutonie żołnierz – kula trafiła go w hełm, gdy leżał w tyralierze, i przebiła na wylot. W jednej ze wsi pod wierzbami leżało kilku zabitych Niemców w hełmach. Ten sam pomocnik dowódcy plutonu po kolei strzelił każdemu w głowę – przebił wszystkie hełmy. Rzuciłem więc swój w śnieg. Od razu mi ulżyło, ani przez chwilę nie żałowałem. Mało który z żołnierzy nosił hełm, może tylko najostrożniejsi, i nie słyszałem, aby kogoś to uratowało, szczególnie w ataku.

Tam w pierwszej bitwie zginął mój przyjaciel Kola Pierażny. W jednym plutonie uczyliśmy się w Saratowie. Gdy nas przydzielili do jednostek w Onufryjówce, nie mógł odżałować, że nie dostaliśmy pistoletów należnych dowódcom plutonów. Powiedzieli nam, że dostaniemy je tutaj. Kola nie doczekał się swojego TT, wcześniej

eprasa.pl 15f0aae880

kula trafiła go w serce. Drugi kolega, Wałodzia Leuczuk, miał więcej szczęścia – doszedł do Bugu, przy wyłomie niemieckich linii obrony został ciężko ranny. Na front już nie wrócił, dożył lat jako kulawy inwalida wojenny.

Mnie na razie omijały kule i pociski, ale pewnej mroźnej nocy w stepie zgubiłem rękawice i nieźle odmroziłem sobie ręce, przez własne gapiostwo. Z odmrożeniami lepiej było nie zgłaszać się do lekarza, bo często uchodziło to za celowe działanie i groziło trybunałem.

Niezbyt dobrze zapamiętałem swoją pierwszą bitwę w roli dowódcy. Kojarzę, jak dowódca kompanii, krępy, wyglądający na cywila człowiek w półkożuszku, gnał mnie z żołnierzami przez szerokie pole kukurydzy, dopóki nie trafiliśmy pod kule. Padliśmy. Potem znów ruszyliśmy do ataku krótkimi podbiegami.

Nocą maszerowaliśmy w batalionowej kolumnie. Od rana przez cały dzień niemiłosiernie bombardowały nas niemieckie samoloty – to rozbiegaliśmy się po stepie, to zbieraliśmy się na drodze. Zatrzymaliśmy się wreszcie na skraju wsi w pustej oborze. Dowódca powiedział, że trochę odpoczniemy i zaatakujemy owczarnię po drugiej stronie drogi. Ledwie przymknąłem oczy w kącie na słomie, a zaczęło się bombardowanie i trzeba było gnać w step – pod ogień z drugiej strony drogi. Dowódca został w oborze i tam zginął przy drugim nalocie junkersów. Z dowódców w kompanii przeżyłem tylko ja, dlatego do mnie przybiegł zastępca dowódcy pułku: do ataku, taka twoja mać! Ruszyliśmy do ataku – tyralierą przez pole, do owczarni. Tym razem mieliśmy szczęście, ostrzał ustał, dobrnęliśmy do rozwalonej owczarni, na miejscu ani żywego ducha, Niemcy już się wynieśli. Na wszelki wypadek wysłałem na tył sierżanta z meldunkiem, że owczarnia zdobyta. Jak się później okazało, nie był to najlepszy pomysł. Sierżant wrócił z informacją, że dowódca pułku mi dziękuje. No dobrze. Utknęliśmy za tą budą w śniegu, głodni i zmarznięci. Mój pomocnik mówi: chodźmy do środka, ogrzejemy się trochę. Żołnierze wytrzasnęli skądś termos sznapsa, na rozgrzewkę w sam raz.

Dobrze, jeśli pisarz zdążył zanotować nazwiska, bo ludzie szli w bój bezimienni i bezimienni ginęli. Stąd tylu „nieznanych żołnierzy", „zaginionych bez wieści". Tak wyglądała ewidencja.

Nie zdążyliśmy się ogrzać, bo z pobliskiej kukurydzy wysunęły się trzy transportery opancerzone i rozpoczęły huraganowy ostrzał. Moi żołnierze powyskakiwali na zewnątrz i bez rozkazu rzucili się z powrotem, w stronę drogi. Za nimi, na zmianę czołgając się i podbiegając, ruszył ich niewydarzony dowódca. Pod ostrzałem przesiedzieliśmy do nocy, a gdy się ściemniło, na drogę przybiegł zastępca dowódcy pułku. Zagroził, że mnie rozstrzela, jeśli do rana nie odbiję straconej owczarni.

eprasa.pl 15f0aae880

Zameldował już o niej w dywizji, a tymczasem budynek znów wpadł w ręce Niemców. Byłem w fatalnej sytuacji. Owczarni strzegły trzy wozy opancerzone, a mnie zostało piętnastu żołnierzy. Jak ją zdobyć?

Nie było wyjścia. Wyruszyliśmy nocą, przy blasku księżyca, ale szybko się cofnęliśmy: Niemcy nie pozwolili nam dojść nawet do połowy pola. Oczekiwałem poranka i wyroku na mnie. W tym czasie jednak coś wydarzyło się na flance – usłyszeliśmy strzelaninę, krzyki. Zaraz przybiegł stamtąd fizylier: na sztab napadł niemiecki zwiad, na rozkaz zastępcy dowódcy pułku mamy wszyscy natychmiast ruszyć na pomoc. Pobiegliśmy, ale się spóźniliśmy: Niemcy zdążyli się wynieść, a zastępca dowódcy pułku zginął. Rankiem obok szkoły dwóch moich żołnierzy wykopało mu grób. Do naszej kampanii przyszedł nowy dowódca, lejtnant Mirgorod, walczyłem z nim do świąt. Echo tych wydarzeń wybrzmiało w moim opowiadaniu *Ranak-switanak* (O świcie), napisanym dwadzieścia lat później.

Stepowa równina to trudny teren do walki, żołnierze nie mają gdzie się schować przed ostrzałem z karabinów maszynowych i moździerzy. Za jedyną kryjówkę służyły nieskoszone latem pola kukurydzy i samotne sterty w stepie. Te ostatnie najczęściej zmieniały się w zdradliwą pułapkę, bo Niemcy z daleka widzieli, a może raczej wiedzieli, że tam się czaimy, i starannie je ostrzeliwali. Chronili się w nich przed kulami i wiatrem ci, którzy zostawali trochę w tyle: sanitariusze z rannymi, żołnierze z kwatermistrzostwa, dowódcy. Tam najczęściej ginęli – na tyłach tyraliery piechoty. Paradoksalnie w tyralierze czasem łatwiej było się schować.

W walkach zajmowaliśmy małe i większe wsie, szliśmy dalej. Na tyłach, w odbitych wsiach, zaczynały działać służby tyłowe, sztaby i polowe komendy wojskowe. Wyłapywały wszystkich mężczyzn siedzących tam od czterdziestego pierwszego. Było ich aż nadto, nie działała partyzantka, ludzie tkwili po domach. Najpierw w stepie zbierano karabiny rannych i zabitych. Polegli jeszcze nie spoczęli w ziemi, a rekruci już chodzili uzbrojeni w te karabiny. Umundurowania nie starczało, więc jak stali, w domowym ubraniu, z „walizką" na plecach, szli w tyralierze, do szturmu na sąsiednią wieś. Niewielu udawało się do niej dotrzeć i wszystko zaczynało się od początku.

Z dowódcami też mieliśmy kłopot, brakowało kadrowych. W naszej kompanii było tylko dwóch oficerów – ja i dowódca. Wtedy już nie dzielili ludzi na plutony, nie było sensu. Dobrze, jeśli pisarz zdążył zanotować nazwiska, bo ludzie szli w bój bezimienni i bezimienni ginęli. Stąd tylu „nieznanych żołnierzy", „zaginionych bez wieści". Tak wyglądała ewidencja. W piechocie nie prowadzono żadnych statystyk. Spisywano karabiny, armaty, czołgi, dowódcy nawet liczyli pociski, bo ponosili za nie odpowiedzialność, a za ludzi odpowiadał Pan Bóg.

Rok czterdziesty czwarty witałem pod stertą w zaśnieżonym polu. Po zmroku walki ucichły – Niemcy też chcieli mieć sylwestrowy wieczór. Starszyna przyniósł

eprasa.pl 15f0aae880

mi na kolację krupnik. W termosie wprawdzie bulgotało, lecz płyn dawno wystygł. Chleb stale jedliśmy zamarznięty, kroiliśmy go niemieckim bagnetem. Z okazji Nowego Roku oficerom wydano dodatkową rację – po garści suchych ciastek i puszkę szprotek na trzech. Przeżuwając ciastko z kieszeni, zdrzemnąłem się pod stogiem, zanim wybiła uświęcona godzina zmiany roku.

Jakoś o brzasku – pobudka. Batalion ruszył do ataku. Z pobliskiej wsi Niemcy cięli pociskami smugowymi, należało ich odeprzeć. Tym razem się nie udało, utknęliśmy w pustym polu.

Zwykle Niemcy nie dopuszczali do walki z małej odległości, otwierali ogień z daleka. Byli mistrzami ognia, bez dwóch zdań. Naszych żołnierzy szkolono na przestarzałych karabinach Mosin, zwanych dragonkami. Mieliśmy być z nich dumni i strzelać sześć–osiem razy na sekundę. Nierealne. Niemcy łomotali z automatów ile wlezie, a ich karabin maszynowy MG 42 dawał tysiąc strzałów na minutę. Ich moździerze potrafiły miotać w powietrze dwanaście min naraz – pierwsza jeszcze nie wybuchła, a już zdążyła wylecieć dwunasta. To oczywiste, że w tym huraganie ognia na dłuższą metę nie dało się przeżyć. Dzień, dwa – i albo do oddziału ziemnego, albo do sanitarnego, jak smutno żartowali żołnierze. U nas z ogniem było o wiele gorzej, zawsze brakowało amunicji, nawet szeregowemu żołnierzowi podczas walki. Zapas w ładownicach czy magazynku wystarczał na kilka minut. Gdzie umieścić więcej nabojów – za pazuchą, w kieszeni? Niemcy nosili buty z szerokimi cholewami, wpychali tam magazynki. Naszych dyskowych magazynków nie dało się wsadzić do butów, zresztą i buty były inne, z wąską cholewką, a w nich szczelnie zawinięte onuce. Dlatego w polu, w tyralierze, piechota nie strzelała, oszczędzała na walkę we wsi. Panowało przekonanie, że wśród chat można się posługiwać zuchem bagnetem, bo „kula jest głupia", jak mawiał wielki Suworow. Cóż, skoro przeciwnik nie dopuszczał nas wystarczająco blisko, kosił w polu gradem kul i odłamków. Walce na bagnety poświęcono dużo uwagi w trakcie szkolenia żołnierzy i oficerów, a na wojnie praktycznie się nie przydała. (Także zestawy przeciwgazowe niepotrzebnie dźwigaliśmy aż do zwycięstwa). Słynne katiusze rzadko miały okazję się wykazać, transport amunicji do nich wymagał dziesiątek samochodów, a w bakach zawsze chlupotały smętne resztki paliwa. Dlatego piechotę wspierała tylko małokalibrowa artyleria – czterdziestkipiątki i armaty 76 mm do konnej trakcji. Niestety, żywot konia na polu był jeszcze krótszy niż żołnierza.

Na początku zimy podjąłem pierwszą próbę zapoznania się z artylerią. Na placu boju, obok stogu, natknąłem się na porzuconą czterdziestkępiątkę. Przedtem strzelały tu czołgi; artylerzyści albo uciekli, albo zginęli – za stertą leżało kilka trupów. Zostały naboje, kilka skrzynek. W szkole trochę nam pokazywali, jak strzelać z takich armat. Spróbowałem, nie do czołgów, lecz do piechoty w pobliskiej wsi. Wy-

eprasa.pl 15f0aae880

strzelałem wszystkie naboje, pomagał mi mój żołnierz. Szkoda, że nie mogliśmy wziąć ze sobą tej armaty. Zostawiliśmy ją przy stogu.

Po krótkim odpoczynku zaczęła się operacja kirowogradzka. Marszałek Koniew otrzymał za nią Order Lenina i polemizował na jej temat z autorem *Umarłych nic już nie boli*[3]. Zarówno Koniew, jak i Stalin uważali operację za udaną. Może z punktu widzenia Kremla na taką wyglądała, ale czy ktoś spytał o zdanie żołnierza na zaśnieżonym polu, zalanego krwią i zmasakrowanego gąsienicami czołgów? Nasz pułk został prawie całkowicie rozgromiony, zginęli dowódca mojej kompanii lejtnant Mirgorod, dowódca batalionu kapitan Smirnow, dowódca pułku major Kazarian, dziesiątki żołnierzy i innych oficerów.

Wszystko się zaczęło, gdy naszą dywizję wyprowadzili w wyłom na linii frontu. Atakowaliśmy przeważnie w nocy. W dzień zwykle prowadziliśmy ostrzał, a nocą kolumna szła w step, jak najgłębiej, dokąd puścili Niemcy. Nie mieliśmy szans się przespać, choćby godzinę. To też fenomen, wynalazek radzieckiej sztuki wojennej – zmusić żołnierza, aby obchodził się bez snu. Chyba w żadnej innej armii tego nie potrafią. Bywało, że szliśmy po stepie albo po zaśnieżonej drodze, wielu zasypiało w trakcie marszu, ktoś się potknął, upadał. Inni go wyzywali. Raz o mały włos nie zaszedłem przez to do Niemców. Drogę pokrył śnieg, ale niezbyt głęboki. Nagle nastało lato, znalazłem się pod drzewami, tworzyły aleję. Przede mną mur, jak gdyby zamku, i czarna brama. Słyszę: „Dokąd leziesz? Kładź się!". Natychmiast się obudziłem. W rowie przy drodze leżeli nasi zwiadowcy. Przed nami bezlistne drzewa pobliskiego lasku, w którym, jak się okazało, byli Niemcy. W naszą stronę poleciały pociski smugowe. Gdyby nie ci zwiadowcy, wlazłbym prosto w łapy wroga. Uznano by: przeszedł do Niemców. Na tej wojnie zdarzało się to często – ktoś przychodził albo przyjeżdżał do Niemców. Nawet generałowie w taki sposób trafiali w niewolę.

Zwykle Niemcy nie dopuszczali do walki z małej odległości, otwierali ogień z daleka. Byli mistrzami ognia, bez dwóch zdań.

Potem znów szliśmy nocą, szarówka, mróz. Znów przygody. Dowódca sztabu pułku zaprowadził nas nie tam, gdzie trzeba, zatrzymaliśmy się. Wyciągnęliśmy mapę, próbowaliśmy się zorientować w swoim położeniu, ale spróbuj to zrobić w stepie w środku nocy. Wokół mrok, żadnego punktu orientacyjnego, po horyzont niesko-

[3] *Umarłych nic już nie boli* – powieść Wasila Bykaua, opublikowana na łamach pisma „Maładość" w 1965 roku. Utwór spotkał się z ogromną krytyką, autorowi zarzucano brak patriotyzmu i zniesławienie heroicznej Armii Czerwonej. Marszałek Koniew ostro krytykował go w prasie: argumentował, że za operację kirowogradzką, na której tle rozgrywa się akcja powieści, został uhonorowany Orderem Lenina. Fragmenty powieści ukazały się po polsku w: Wasil Bykau, *Umarłych nic już nie boli*, przeł. Ziemowit Fedecki, „Miesięcznik Literacki" 1967, nr 1; tenże, *Umarli nie cierpią*, przeł. Maria i Włodzimierz Pietkiewiczowie, „Literatura na Świecie" 1985, nr 11.

eprasa.pl 15f0aae880

szona kukurydza i słoneczniki szeleszczą na wietrze. Stoimy, stoimy, aż tu willysem pędzi generał. Nie wiem który, może dowódca dywizji? Zerwał z kapitana pagony, rzucił się na niego z pięściami, ale zanim to się stało, zdążyliśmy się zdrzemnąć w śniegu. Znowu ruszyliśmy, nad ranem dotarliśmy do wsi pod wzniesieniem, okazało się, że to Wielka Siewierynka. Brutalnie naznaczyła mój los. Przy domach na końcu wsi ziały jamy, z których pewnie latem wybrano piasek; mój pluton od razu w nich się zaszył. Kiedy się rozwidniło, na horyzoncie zobaczyliśmy budynki i kominy wielkiego Kirowogradu. Nas z kolei dostrzegli Niemcy. Byli za daleko, żeby do nich strzelać, za to oni z ciężkich moździerzy zaczęli sadzić po wsi, nikomu nie pozwolili wysunąć się w pole. Wyszliśmy z tego bez strat, ale z tyłu zginęło kilka osób, w tym oficerowie naszego pułku.

Po zmroku ogień z moździerzy ucichł i dowódca batalionu, kapitan Smirnow, wydał rozkaz do wymarszu. Sformowaliśmy kolumnę, poprowadził nas w step. Napięcie zelżało, oddychałem głębiej, serce nie łomotało jak wcześniej. W stepie było dość jasno, choć księżyc się schował. W polu majaczyła ścieżka, trochę już rozjeżdżona. Szedłem obok naszego drugiego plutonowego, niedawno dołączył do kompanii – starszy lejtnant, artylerzysta, ale z okrążeńców[4], dlatego posłali do go piechoty, w celu reedukacji. Pochód otwierał dowódca batalionu, za nim postępował zwiad, my w środku kolumny. Można się było rozluźnić. Walki huczały, ale gdzieś w oddali i z boku, a tutaj jakby cisza. Nagle patrzę – obok w zaroślach kukurydzy jacyś ludzie. Nie zdążyłem choćby pomyśleć, gdy gęsto świsnęły stamtąd serie – pociski smugowe po całej kolumnie. Rozpętało się piekło, huraganowy ogień sztyletowy. Zgodnie z rozkazem dowódcy batalionu w razie ataku nasza kompania miała ruszyć na lewo od drogi, a druga – na prawo. Oczywiście zeskoczyłem z drogi, upadłem na śnieg. Miałem automat, ale przy nim jeden jedyny magazynek. Dlaczego nie więcej?

Przed ofensywą rzucili nam niewielkie zapasy z oddziałów tyłowych. Nasza kompania dostała ręczny karabin maszynowy, przysłali też batalionowego pisarza. Pisarz miał automat, ale bez nabojów. Najpierw jednak o karabinie. Zaczynamy formować kolumnę, a żaden z moich podkomendnych nie chce wziąć karabinu. Sporo ludzi z Azji Środkowej – ani be, ani me. Pozostali też się wykręcają: nie służyłem, nie umiem z tego strzelać. Żeby nie zostawiać tego karabinu, oddałem go jakiemuś dużemu chłopu, niechby chociaż go niósł. Nie wolno przecież zgubić karabinu… Patrzę, stoi ten pisarz bez nabojów, mamrocze: „Co ze mną, mam się plątać pod nogami?". Spryciarz, chciał pewnie, żeby go odprawić z kompanii. Jej dowódca mówi: „Bykau, oddaj mu magazynek, żeby nie jęczał". Oddałem, bo więcej automatów w plutonie

[4] Okrążeńcy – czerwonoarmiści, którzy zostali odcięci od swoich oddziałów i znaleźli się na tyłach wroga, udało im się wyrwać z okrążenia. Instrukcje zalecały szczególną ostrożność wobec takich osób.

eprasa.pl 15f0aae880

nie było, reszta miała karabiny. Pozostał mi przy nim ostatni dysk. Oczywiście popełniłem błąd. A może właśnie to mnie uratowało.

Padłem, rozglądam się – źle z nami. Po pierwsze, z kukurydzy wyjeżdżają czołgi. Trudno je policzyć, cztery, pięć, a może więcej. Zawyły silniki, zachrzęściły gąsienice, zadudniły działa. Między czołgami fizylierzy krzyczą: „Rus, poddaj się!". Zwyczajowy okrzyk, gdy udało się im zapędzić nas w pułapkę. Zacząłem walić z automatu, wydawało się, że zadałem im ognia, ale cóż, mój automat zamilkł, a zatem już po nabojach. Obejrzałem się, nasi biegli daleko w polu. Przy mnie zostali ci, którzy już się nie ruszają. Gorączkowo myślę: leżeć czy się poderwać? Jeśli poleżę jeszcze chwilę, wezmą mnie żywcem. Jeśli ruszę, rozszarpie mnie seria z automatu. Co lepsze?

Niemcy w tym czasie skierowali ogień na tych, którzy odbiegli dalej, jakby nie widzieli bliższych celów. Miałem wrażenie, że ostrzał zelżał. Poderwałem się i rzuciłem krótkimi podbiegnięciami. Nawet nie podbiegnięciami, lecz zrywami. Poderwę się, a po trzech–czterech krokach padam. Znów się podrywam i znowu padam. Tym sposobem trochę oddaliłem się od Niemców. Nauczyłem się przy tym rozpoznawać, kiedy strzelają do mnie. Gdy serie zaczynają śmigać mi nad uszami, padam. Gdy przenoszą się gdzie indziej, podrywam się. W takim właśnie momencie, w biegu, poczułem silne uderzenie w łydkę, jakby pałką. Upadłem. W bucie od razu poczułem gorąco, polała się krew. Myślę: pewnie przebiło mi nogę. Jeśli tak, no to, Bykau, już po tobie. Po kilku sekundach zdołałem się poderwać, sprawdzam – noga połamana czy nie? Nie, nie ugina się. Tylko boli i w bucie chlupocze. Automat bez nabojów, ale i bez niego mam co dźwigać: torbę polową, dwa granaty, jeden przeciwpancerny, skumulowany – nieporęczne ustrojstwo. Po pierwsze, ciężki, nie rzucisz go daleko; po drugie, musi uderzyć dnem o pancerz, wtedy dopiero uruchamia się detonacja, wystarczająco silna, by ten pancerz rozwalić. Żeby granat uderzył taki sposób, na uchwycie znajduje się stabilizator – wstążki z tkaniny. Rzuca się nim niewygodnie, sam siebie hamuje, i ten lot… Rzuciłem, bez powodzenia. Najwyraźniej nie dorzuciłem i nie wybuchł. Albo nie trafiłem i teraz nie wiem, co się stało.

Dojrzeli mnie z czołgu, energicznie skręcili w moją stronę… Długo się o tym opowiada, a przecież wszystko trwało sekundy. Zwinąłem się na śniegu jak wąż, ledwo zdążyłem zabrać nogi z trasy czołgu, gąsienicą przejechał po połach mojego szynela i potoczył się dalej. Zdawało się, że przyszedł mój koniec. Patrzę jednak: tam, gdzie czołg, ktoś się podrywa i bierze szeroki zamach granatem, aż mu polowa torba odleciała w bok. Taką torbę miał u nas jeszcze tylko dowódca kompanii, lejtnant Mirgorod. Wybuchło, czołg się zapalił i wkrótce cały płonął na śniegu. Wywiązała się strzelanina, ale to już nasi zaterkotali, chyba w tych czołgistów. Pod dymem brnąłem dalej, to na boku, to na kolanach, i trafiłem akurat na instruktora sanitarnego naszej kompanii. Widział, jak dostałem. Powiedział: „Nie idź tędy, za wszystki-

eprasa.pl 15f0aae880

mi, Niemcy tu właśnie celują. Dawaj w stronę kukurydzy, tam jest takie jakby zagłębienie". Skręciliśmy w bok, gdzie sterczały badyle, uderzenie sunęło w stronę sterty, a my spod niego wyszliśmy. Natknęliśmy się na ścieżkę. Tam ściągnąłem but, przewiązałem nogę. Kula przebiła łydkę na wylot, a jak się później okazało, odłamała też kawałek kości. Noga się od tego nie złamała, ale bolało straszliwie. Przeleżałem w szpitalu styczeń, luty, marzec – prawie trzy miesiące. Rana nie chciała się zagoić.

Zapomniałem wcześniej powiedzieć. Kiedy biegłem, ostrzeliwali nas i z czołgów. Jeden pocisk wybuchł akurat z przodu, mocno mnie wycięło w brzuch. W całej tej szarpaninie zdawało mi się, że dostałem też odłamkiem. Odłamek w brzuch to fatalnie. Na początku niezbyt boli, ale tacy ranni szybko umierają, już to widziałem: ciało całe mokre, nie wiadomo, od potu czy krwi. Instruktor sanitarny opatrzył nogę i zostawił mnie na drodze, musiał wracać do kompanii. W naszej armii walczącym zakazywano porzucać pole walki, aby towarzyszyć rannym. Przy stertach huczała walka, tam poszły czołgi i mój inspektor tam był potrzebny. Tam też zginął. Zginęli także dowódca kompanii Mirgorod i wielu innych. Sterty płonęły w nocy jasnym płomieniem, a z przeciwnej strony nadciągnął wóz z rannymi z sąsiedniej jednostki. W furmance siedziała młodziutka instruktorka sanitarna. Zabrali i mnie. Zjechaliśmy z pagórka, naszym oczom ukazała się wielka wieś z cerkwią. Tam dziewczyna zapytała kogoś, gdzie jest oddział sanitarny, dokąd zawieźć rannych. Dalsze zdarzenia opisałem w powieści *Umarłych nic już nie boli*.

Wasil Bykau (1924–2003) jest uznawany za najważniejszego białoruskiego pisarza XX wieku. Walczył na frontach II wojny światowej, był kilkukrotnie ranny. Z jego żołnierskich doświadczeń zrodziła się przenikliwa, bezkompromisowa proza, rozprawiająca się z propagandowymi mitami. Przeszedł niezwykłą życiową drogę: od kołchozowego dzieciństwa, przez wojenne piekło i zmagania z radziecką cenzurą, do sławy i autorytetu, bycia głosem Białorusi w świecie.

eprasa.pl 15f0aae880

Dzieci czytają wojnę

Z Olgą Rusiną, pisarką i dziennikarką, rozmawia Marcin Gaczkowski

Pot lał się strumieniami, ale kolejka nie miała końca. Mimo wojny i skwaru między 30 maja a 2 czerwca 2024 roku trzydzieści pięć tysięcy ludzi odwiedziło XV Knyżkowyj Arsenał (Książkowy Arsenał) w Kijowie. Ta cykliczna impreza odbyła się po raz drugi po 24 lutego 2022 roku, tym razem pod hasłem „Na krawędzi".

Święto literatury to przestrzeń oddechu i światła w nękanej ostrzałami, blackoutami i upałem stolicy. Kubatura gmachu arsenału i rozległość jego otoczenia pozwala na swobodne rozlokowanie kilku scen literackich, sceny muzycznej, sali kinowej, kilkunastu wystaw, schronu przeciwlotniczego oraz stoisk wydawców i księgarzy. Choć statystyki wskazują, że ukraiński rynek książki się skurczył, w latach inwazji na pełną skalę wykiełkowało sporo nowych wydawnictw. Tydzień przed inauguracją festiwalu, po rosyjskim ataku na zakłady Faktor Druk w Charkowie, ukraińska branża wydawnicza pogrążyła się jednak w żałobie. Przygnębiające wrażenie wywiera ekspozycja „Książki zniszczone przez Rosję", na której zaprezentowano spalone egzemplarze z charkowskiej drukarni. Są tu wydania dla dzieci: *Ciało człowieka*, *Świat zwierząt*, *Wielka księga kosmosu*, *Koci patrioci*…

Ukraińscy twórcy literatury dziecięcej wciąż szukają odpowiedzi na pytanie, jak pisać, żeby nie straszyć, nie traumatyzować, lecz edukować, łagodzić ból i… przygotować najmłodszych na kolejne lata wojny. Znaczną część przestrzeni oddano dzieciom. Poświęcona im część festiwalu odbyła się pod szyldem „Z szeroko otwartymi oczami". Kuratorką była Olga Rusina, dziennikarka i pisarka, autorka znanej w Polsce dziecięcej powieści wojennej *Morele rozkwitają nocą* (przeł. Joanna Majewska-Grabowska, Wydawnictwo Dwie Siostry). „Ich pierwsze doświadczenia życiowe przypadają na dwa lata wojny na pełną skalę, dziesięć lat wojny na Wschodzie, okupację Krymu przez Rosję, wielomiesięczną pandemię. Innego dorastania nasze dzieci mieć nie będą" – czytamy w tekście kuratorskim.

Ze zmęczoną, ale zadowoloną Olgą Rusiną rozmawiam 2 czerwca, tuż po ostatnim wydarzeniu, które zaplanowała. Upał ustąpił, Kijowem wstrząsnęła gwałtowna burza z piorunami. Zanim dokończymy rozmowę, chmury się rozwieją, a nad dzwonnicą sąsiedniej ławry wzejdzie tęcza.

eprasa.pl 15f0aae880

MARCIN GACZKOWSKI: Arteterapia, zajęcia plastyczne, teatralne, seanse filmowe, czytanie na żywo, performanse, gry interaktywne, popularyzacja historii druku i piśmiennictwa, kurs tworzenia komiksów, warsztaty translatorskie dla bardzo początkujących, ale także rozmowy... o literaturze queerowej. A przede wszystkim wojna – jej codzienne aspekty. Dyskusje o przeciwdziałaniu fake newsom i dezinformacji, sposobach radzenia sobie ze strachem. To przejdzie do historii. Chciałbym wyrazić coś więcej, niż dyktują mi kurtuazja i schemat językowy. Spróbuję jeszcze raz. Program kuratorski Twojego autorstwa jest historyczny. Czy długo powstawał?

OLGA RUSINA: Dosyć długo, propozycję jego przygotowania otrzymałam w styczniu. Najbardziej intensywne były marzec i kwiecień. Nie wszystkie pomysły udało się zrealizować, bo na Arsenale jest kilka równoległych programów, staramy się nie dublować tematów. Najgorsze, że kiedy domknęłam plan ramowy, zgłosili się ludzie z ciekawymi propozycjami, które musiałam odłożyć do następnego razu. I tak odbyło się więcej wydarzeń, niż wstępnie planowaliśmy. Miało być dwadzieścia, wyszło ponad trzydzieści.

Na sto sześćdziesiąt wydarzeń ogółem.

Zgadza się. Niektóre spotkania udało się skrócić, naginając ramy czasu i przestrzeni. Dla mnie ten projekt był nowym doświadczeniem. Na co dzień param się literaturą i dziennikarstwem, to zajęcia dla indywidualistki. Przygotowujesz reportaż? Siadasz i piszesz w samotności. Owszem, kontaktujesz się z bohaterami, ale efekt jest twoim dziełem i twoją odpowiedzialnością. A kuratorstwo na festiwalu to praca w zespole. Musisz uzgodnić swoje koncepcje z rzeszą ludzi, przekonać ich. Czasem też uświadomić potencjalnym uczestnikom, że są interesujący, że mają coś ważnego do przekazania. W dodatku program powinien być spójny.

Jest różnorodny i zadziwiająco spójny, czyta się go jak książkę z Twoją przedmową. To lektura bardzo na czasie. Jakie przyświecały Ci priorytety?

Wiadomo, ogniskujemy uwagę na wojnie. Ale co dziś znaczy to słowo? Wojna przeszła niemal w rutynę, tło dla pozostałych dziedzin życia w naszym kraju. To nasza teraźniejszość, przeszłość, a także przyszłość, niestety. Coraz trudniej wyjaśnić to ludziom z zewnątrz, cudzoziemcom.

Od poprzedniego Arsenału upłynął rok, kolejny długi wojenny rok. W zeszłym pytałem Cię naiwnie, czy należy z dziećmi rozmawiać o wszystkim otwarcie.

A ja mówiłam, że jeśli dorosły nie objaśnia dziecku rzeczywistości, dziecko albo ląduje w pustce poznawczej, albo kreuje własną narrację. Najmłodsi rozumieją, że z rzeczywistością coś jest nie tak. Tak,

eprasa.pl 15f0aae880

warto mówić bez ogródek: „Mamy wojnę, napadła na nas Rosja, zabija ludzi". W ten sposób wspieramy podmiotowość dziecka, czuje się ważne, potrzebne. Wszyscy, dzieci i dorośli, musimy odnajdować się w tej sytuacji, odzyskać kontrolę nad naszym życiem.

Rok temu zastanawialiśmy się, jak pokazać wojnę dzieciom, jak je wesprzeć. Teraz starałam się nakreślić szerszy plan. Dziesięć lat wojny, trzeci rok inwazji na pełną skalę. Dzieci i nastolatki funkcjonują w tym kontekście, rodzą się w nim i dorastają – te etapy w ich życiu dzieją się po raz pierwszy i ostatni. W programie skoncentrowałam się na tym, jak mimo wszechogarniającej wojny możemy umożliwić dzieciom nabywanie własnych, pełnowartościowych doświadczeń. Takich, jakie mieliśmy my, dziś dorośli. Okej, moja nastoletniość nie zdarzyła się w złotym wieku, tylko w czasach Janukowycza. Miałam osiemnaście lat, kiedy zaczęła się rewolucja godności. W każdym razie doświadczenie dorastania jest nadzwyczaj istotne w życiu człowieka – w sensie fizycznym i emocjonalnym. Dlatego udzieliliśmy dzieciom prawa głosu. Odbyły się dyskusje z pisarzami prowadzone przez nastolatki. Wyświetlaliśmy nie tylko filmy o dzieciach, lecz także krótkometrażowe produkcje nakręcone przez małych filmowców. Udało nam się rozszerzyć klasyczny format: przychodzi pisarz i prawi. U nas wydarzyło się coś jeszcze: dzieci odpowiadały na pytania publiczności. Taki dialog jest niezbędny dla obu stron – dorosłej i dziecięcej. Bo dzieci też piszą o wojnie, ma to wymiar terapeutyczny, pomaga im uświadomić sobie własne miejsce w tej sytuacji. Powiem więcej: dzieciaki nie tylko są gotowe nas wysłuchać, potrafią nam też sporo wyjaśnić, na przykład, jak to jest dorastać w czasie wojny. One nie mają wyboru, dorastają. Ważne, żebyśmy je naprawdę usłyszeli. Możemy im pomóc, jeśli zrozumiemy, co sprawia im największy ból, czego oczekują od nas w pierwszej kolejności.

„Wojna a dorastanie dzieci z niepełnosprawnościami", „Dzieci po powrocie z deportacji", „Dlaczego rodzice nie zawsze mogą być przy tobie". To tematy niektórych dyskusji – odważne, delikatne, bolesne. Niełatwo o tym rozmawiać z najmłodszymi, prawda?

Takie są realia. Często rodzice nie mogą być przy dziecku, bo przynajmniej jedno z nich jest na froncie. To codzienność tysięcy ukraińskich dzieci. Niedawno przeczytałam post psycholożki Switłany Rojs. Jej mąż walczy. A córka marzyła, że tata przyjedzie na zakończenie roku szkolnego w czwartej klasie. Nie przyjechał. Odkąd służy w wojsku, nie jest panem swojego czasu. Żołnierz może sobie planować jeden dzień urlopu, ale co z tego, jeśli Rosjanie rozpoczną akurat jakąś ofensywę? Dla córki Switłany to była tragedia. Z dorosłej perspektywy w sumie nic się nie stało. Co tam czwarta klasa! Jeszcze wiele będzie miała zakończeń roku, całe studia przed nią. A dla niej to była najważniejsza rzecz na świecie. Małe tra-

eprasa.pl 15f0aae880

gedie zdarzają się codziennie. Często ich nie dostrzegamy, nie z braku empatii. Po prostu jest ich zbyt wiele, toną w morzu cierpienia. Sporo ludzi robi dziś sobie wyrzuty: „Co ze mną nie tak? Dlaczego nieszczęścia nie wywierają na mnie takiego wrażenia jak wcześniej, zaraz po 24 lutego? Czy moja psychika już się dostosowała?". To kolejny problem. Jak nie zagubić wrażliwości na drugiego człowieka, kiedy gotujemy się w natłoku złych, najgorszych wiadomości, a temperatura wzrasta. Mówisz, że to trudne tematy? Rzeczywiście, trudno mi je sobie wyobrazić na jakimś europejskim festiwalu…

W Polsce temat wojny pojawia się w książkach dla najmłodszych, również dzięki przekładom z ukraińskiego. Na zachód od Ukrainy kontrowersyjne są chyba inne tematy, związane z ciałem i seksualnością. Ukraińska literatura dziecięca też ich nie omijała. Ale wy teraz musicie rozmawiać z dziećmi o rzeczach najprostszych i najtrudniejszych: dlaczego Rosja napadła, dlaczego zabija, dlaczego uprowadza dzieci...

Mamy inne priorytety, to prawda. I musimy poruszać kwestie szczegółowe. Ważna była dla mnie także wspomniana debata o tym, jak w czasie wojny dorastają dzieci z niepełnosprawnościami fizycznymi i mentalnymi, o tym, jak dzieci mogą wspierać inne dzieci. Temat pojawił się po mojej rozmowie ze Switłaną Osipczuk, dyrektorką Muzeum Wojennego Dzieciństwa. Ta organizacja zajmuje się dokumentowaniem dziecięcych przejść wojennych. Jasne, że podstawą działania jest tu wywiad, rozmowa. Ale dzieci ze spektrum autyzmu nie komunikują się werbalnie, więc rodzice często próbują mówić w ich imieniu. Switłana przyznaje, że perspektywa rodzica jest ważna, ale przestrzega sztywnej reguły: relację należy zbierać od dziecka, nie od rodzica, nie wolno notować czyjegoś doświadczenia na podstawie słów innej osoby. Przed muzeum stanęło więc zadanie wypracowania alternatywnych form komunikacji. Pamiętajmy: te dzieciaki przeżywają to, co my, ale w ich życiu występują dodatkowe komplikacje, choćby związane z brakiem odpowiedniej infrastruktury. Zaprosiliśmy na festiwal dzieci ze szkoły uspołecznienia przy fundacji Baczyty Sercem (Widzieć Sercem). Ale jeden chłopczyk poruszający się na wózku inwalidzkim nie wziął udziału, bo jego mama obawiała się nieprzyjaznej przestrzeni i licznego zgromadzenia ludzi. Powinniśmy nagłaśniać problemy takich dzieci. I przypominać, że wojenne traumy bywają różnorodne. Dziś, w trzecim roku inwazji na pełną skalę, widzimy, że nawet drobne różnice mogą zmienić się w przeszkody nie do przejścia, źródła nieporozumień i społecznego wykluczenia. Wiąże się to z motywem przewodnim „dorosłego" programu Arsenału, który przygotowała Ołena Husejnowa – „Pokonać rozdźwięk". Musimy przekreślić narastające dysproporcje doświadczeń, żeby przetrwać jako zdrowe społeczeństwo. Zdrowe, czyli takie, w którym słu-

eprasa.pl 15f0aae880



Dzięki uprzejmości Olgi Rusiny

Rok temu zastanawialiśmy się, jak pokazać wojnę dzieciom, jak je wesprzeć. Teraz starałam się nakreślić szerszy plan. Dziesięć lat wojny, trzeci rok inwazji na pełną skalę. Dzieci i nastolatki funkcjonują w tym kontekście, rodzą się w nim i dorastają – te etapy w ich życiu dzieją się po raz pierwszy i ostatni.

chamy się wzajemnie i wspieramy. Takie, w którym nikt nie zostanie sam ze swoim unikalnym doświadczeniem. Jednym z priorytetów była inkluzja. Uczestnicy wyjaśniali, jak autorzy książek dla dzieci mogą przeciwdziałać dyskryminacji.

Jednym z zaproszonych gości był Serhij Żukowski, ukraiński żołnierz, który w wyniku obrażeń doznanych na froncie utracił obie górne kończyny. Wziął udział w dyskusji „Superbohaterowie wśród nas: żołnierze i siła książek".

Wojna pozostawia wiele fizycznych śladów na ludzkich ciałach. Nie zawsze widać je w życiu codziennym, nie zawsze wiemy, jak zareagować, jak pomóc. Ale amputowana kończyna nie umknie niczyjej uwagi, to częste zjawisko wśród żołnierzy. A dziecko dojrzy to od razu. Zobaczy też, że ktoś ma protezy rąk i nóg.

Serhij jest fantastyczny! Uczestniczył w dwóch wydarzeniach, jedno było skie-

eprasa.pl 15f0aae880

rowane raczej do pełnoletniej publiczności. Dotyczyło właśnie tego, jak książki poruszają temat inkluzji społecznej osób z niepełnosprawnościami, jak wprowadzać takich bohaterów do świata literatury dziecięcej, jak poprowadzić fabułę tak, aby dzieci zrozumiały, że mamy do czynienia ze skutkiem wojny. Fakt, że ktoś utracił ręce, nie oznacza, że utracił moc sprawczą, może dokonać wielu rzeczy, ale w inny sposób. Trzeba umieć o tym pisać. Umiejętnie wprowadzony, ten temat staje się mniej groźnym elementem rzeczywistości dziecka. Wydarzenie, o którym mówisz, miało bardziej wymiar praktyczny. To część szerszego projektu. Superbohaterowie, czyli żołnierze po rehabilitacji, opowiadają o swoich doświadczeniach.

Żukowski ciągle żartuje. Nieprzygotowany słuchacz musi wziąć głęboki oddech, zanim się upewni – tak, można się śmiać. Podczas spotkania z dziećmi powiedział między innymi: „Czasem zdejmuję protezy, muszę je naładować. I wtedy, wiecie, mam takie dziwne wrażenie – czuję się, jakbym nie miał rąk".

Serhij nie jest w tym osamotniony. Ludzie po rehabilitacji często tryskają czarnym humorem. Likwidują dystans. Dzięki temu mogą przystępniej wyjaśnić podstawowe rzeczy, na przykład, jak działa taka proteza. Nurtują nas, mnie też, miliony pytań, które wstydzimy się zadać. Dlaczego jedna proteza odzwierciedla wygląd utraconej kończyny, a druga nie? Serhij wyjaśnia, że ta druga jest praktyczniejsza. On jest praworęczny, prawą ręką, czyli protezą funkcjonalną, wygodniej mu chwytać drobne przedmioty.

Tłumaczył też dzieciakom, jak myje zęby.

Najlepsze są najprostsze odpowiedzi na najprostsze pytania. Jak mamy się zachować, kiedy widzimy człowieka bez kończyn lub z protezami na ulicy? Patrzeć na niego czy uciec spojrzeniem? Kiedyś sądziłam, że lepiej się nie narzucać, nie gapić. Uświadomiono mi, że odwrócenie wzroku to błąd. Taka osoba czuje, że unikamy z nią kontaktu. Ostatnio, kiedy widzę na ulicy żołnierzy, po prostu się uśmiecham. Jeśli zechcą, odwzajemnią ten gest. A jeśli nie, trudno, najważniejszy jest ich komfort. Uśmiech bywa dobrym rozwiązaniem. Serhij sporo opowiada o swoich koleżankach i kolegach. Niektórzy są gotowi do rozmowy, inni nie. Rodzi się coś na kształt nowej umowy społecznej, nasze społeczeństwo wygląda dziś inaczej, ale nie jest gorsze. Ludzie z protezami nie są gorsi, nie są też mniej sprawni.

Jako przybysz powracający co kilka miesięcy na ulice ukraińskich miast muszę potwierdzić. Wygląda inaczej. Ludzi, o których mówisz, jest coraz więcej.

Staramy się korzystać z ich cennych doświadczeń, popularyzować je. Serhij Żukowski pokazał – dorosłym i dzieciom – na własnym przykładzie, że życie toczy się dalej.

eprasa.pl 15f0aae880

Każdy dzień pisze kolejną historię. Jak sądzisz, jakie wydarzenie z festiwalu na zawsze zostanie w Twojej pamięci?

Zapamiętam dreszczyk, kiedy wszystko było dopięte na ostatni guzik, goście dogadani, program zamknięty. A później… Trzy i pół dnia biegasz między równoległymi wydarzeniami i widzisz, że słowo stało się ciałem. Idee zanotowane na papierze są namacalne, jest feedback. Zjawiła się publiczność, mnóstwo dzieciaków. Zapamiętam ich twarze i oczy. To coś wielkiego, jestem przekonana. Pewność bierze górę nad zmęczeniem i natłokiem wydarzeń.

Olga Rusina jest ukraińską dziennikarką radiową i pisarką.

eprasa.pl 15f0aae880

Miło niemiło

Milo Janáč

Prezentujemy fragment książki Milo Janáča *Miło niemiło*, która w przekładzie Katarzyny Dudzic-Grabińskiej ukaże się nakładem Wydawnictwa Książkowe Klimaty.

V

Wszechmogący siedzi w kasynie, przed nim na czterech wałkach kręcą się owoce. Z każdym obrotem zabierają mu piątkę. Przyznam szczerze, że obecne automaty do mnie nie przemawiają.

W czasie, gdy pasja do gier hazardowych nie była mi obca, lubiłem przede wszystkim Szwejka, Las Vegas i Piłkę Nożną w Ponorce. American Poker II gdziekolwiek.

Automaty krzyczały: „Jedziemy do Las Vegas" i „Jedziemy na Belgrad", i „Brawo, wspaniała precyzyjna gra", i „Gracz jest kontuzjowany", i „Gol".

Dziś już nie robią takich rzeczy, a szkoda.

Zahacza o mnie jednym okiem, wykorzystuję to i się odpalam:

– Ku tobie, o, Wszechmogący, unoszę swoją duszę, ku tobie, co równego odnajdzie jedynie w zwierciadle, a ktokolwiek się do cię przyssie, nie będzie niczym, lecz cieniem wiecznie skazanym na próbę doścignięcia – zagaduję.

Wszechmogący mówi, żebym nie pajacował, że mężczyzna w czwartej dekadzie życia powinien zachowywać się przyzwoicie.

Nie zgadzam się z nim, twierdząc, że w mojej wypowiedzi nie widzę nic nieprzyzwoitego.

Wszechmogący mówi, że jakbym poszedł do doktora, dostałbym papiery.

– Na głowę – podkreśla.

Tym razem się nie bronię, absolutnie by mi odpowiadało kręcenie się po świecie jako wariat z certyfikatem państwowym. Będąc wykluczonym z jakiejkolwiek pracy, mógłbym swobodnie szaleć od rana.

Wszechmogący krzyczy w półmroku:

– Pić mi się chce.

eprasa.pl 15f0aae880

Potem zasięga informacji, czy znów potrzebuję drobnych na tytoń. Mówię, że nie, że tym razem mam zamiar inwestować.

– W co taki żul jak ty chce inwestować moje pieniądze?

– W sport – odpowiada za mnie szef.

– Na remis w Lichtensteinie jest kurs jedenaście do jednego.

Wszechmogący się zaśmiał.

– Zwariowałeś.

– Nie zwariował – znów uprzedza moje słowa przełożony. – Ma znajomego w Neapolu.

Wszechmogący uderza w automat i mówi: „jebać winogron".

Jeden właśnie popsuł mu rząd gruszek. W automacie znika kolejna piątka.

Powiatowy bóg ogłasza, że „będzie na kawę", i zaprasza nas do baru. Przyznajemy się zwycięzcy bez bicia, że zamiast kofeiny wolimy inny życiodajny płyn. Przed nami ląduje podwójny Jameson.

– Pewnie jakiś menel, co? – zwraca się do mnie hazardzista.

– No nie jest prezydentem miasta – przyznaję. – Ale w Neapolu ptaszki ćwierkają o remisie – kłamię.

– To mają dziwne zajęcie – krytykuje Wszechmogący neapolitańskie ptaszyny.

Nastaje chwila ciszy. Dziewczę, którego wcześniej nie widziałem w lokalu, przyniosło napoje. Kredyt Wszechmogącego opadł na minus dwadzieścia. Kiedy się zdawało, że już po nim, wypadły cztery dynie. Wszechmogący zaczyna naparzać, wygrzebuje się do dwóch stów, po czym podnosi stawkę. Nagle automat błyska jak szalony, wkrótce na wyświetlaczu widnieje czterocyfrowa suma.

Powiatowy bóg ogłasza, że „będzie na kawę", i zaprasza nas do baru.

Przyznajemy się zwycięzcy bez bicia, że zamiast kofeiny wolimy inny życiodajny płyn. Przed nami ląduje podwójny Jameson.

Stukamy się szkłem, Wszechmogący patrzy na mnie spojrzeniem prowadzącego teleturniej.

– Wiesz, dlaczego mówią tu na mnie Wszechmogący. Czy to możliwe, że mnie tak nazywają, bo nic nie mogę?

– Naturalnie nie jest to możliwe – odpowiadam natychmiast.

– Czyli nazywają mnie tak, bo mogę wszystko?

eprasa.pl 15f0aae880

– Doskonale to ująłeś.

Wszechmogący robi zadowoloną minę.

– Zatem mogę nawet pożyczyć forsę takiej fujarze jak ty – odlicza z wygranej pięć banknotów.

– W ciągu miesiąca widzę je tu z powrotem. Nie naliczę ci odsetek, bo pisałeś za mnie wypracowania.

VI

Przy pierwszym golu Martina Büchela komentator TV Dajto widzi rękę, ale powtórka tego nie potwierdza. Amatorzy z maleńkiego księstwa na stadionie Rheinpark robią sobie jaja z chodzących powierzchni reklamowych studiów tatuażu, na które ktoś założył stroje piłkarskie z podwójnym krzyżem. Siedzimy w dużym pokoju u szefa, opróżniamy butelkę ginu.

Drugi komentator, Marián Zeman, słusznie krytykuje grę naszych, mówi, że popełniają błąd za błędem. Podczas przerwy szef pyta, czy my też nie zbłądziliśmy. Uspokajam go, że jednego gola jakoś strzelimy.

Proroctwo spełnia się w siedemdziesiątej trzeciej minucie. Stoch z rogu podaje do Sapary, który wysyła piłkę na pole karne, a Ďurica wyrównuje wynik główką. Dopytuję, czy bąbelki już się chłodzą. Dwie minuty przed końcem wystraszył nas jeszcze Čišovský, ale na szczęście nie trafił spod bramki.

Po ostatnim gwizdku część Słowaków klnie, część się śmieje, my z szefem jesteśmy wniebowzięci. Większości populacji jest to obojętne.

Od bukmachera wychodzimy z wypchanymi kieszeniami. Czeka nas wesołe zadanie: wymienić papiery emitowane przez Europejski Bank Centralny na chlanie. Siedzimy na ławce przed muzeum i zastanawiamy się, czego będziemy potrzebować do baru.

Nagle przed nami zatrzymuje się Wszechmogący w nowej beemce.

– No i co, żebraki, jak tam biznes?

– Rozkręcamy się – odpowiadamy zgodnie.

Wszechmogący mówi, że to mu się podoba. Że mali przedsiębiorcy napędzają gospodarkę.

eprasa.pl 15f0aae880

– A tych drobnych mi nie oddawaj – zwraca się do mnie. – Dzięki za cynk.

Potem wsuwa mi coś do kieszeni.
– Na koszt firmy. Pozdrów ptaszki w Neapolu.

Koła zapiszczały.
Czeka mnie długa noc.

Sto razy sobie mówiłem, że tego białego świństwa nie wezmę już do nosa, sto razy się myliłem. Sto razy sobie powtarzałem, że człowiek tylko całą noc pieprzy głupoty i po głowie chodzą mu same zboczone rzeczy. Chwilę później proszek przeżerał mi błonę śluzową.

Towar od Wszechmogącego jest trochę żółtawy, wygląda, jakby go zrobili w Krompachach.
Usypuję kreskę. Najpierw wydaje mi się, że coś tu nie gra i przeklinam Wszechmogącego, że jest tynkarzem.

O tym, co było potem, kiedy wciągnąłem dokładnie grama, powiem tylko tyle, że posłuchałem zaleceń lekarzy i poszedłem do getta po Cyganeczkę. Za dychę otrzymała prawo rozłożenia przede mną nóg pod Kamiennym Mostem. Kamienny Most to narodowy zabytek kultury.

Nad ranem w domu słucham wróżki.
– Czasem mamy więcej energii niż bomba atomowa. Dlaczego nie jesteśmy w stanie zasnąć? – zagaduje do mnie.
Myślę sobie, że to dobre pytanie. I dopowiadam w głowie, że odpowiedź jest całkiem prosta.

Wróżka przez chwilę milczy.

– Każdy, kto czuje wibracje – w końcu język jej się rozwiązuje – wie, że coś się zmienia. Mamy przed sobą drogę. Czasem robimy na niej mnóstwo głupstw. Nie powinniśmy się za to wstydzić, wystarczy mieć ich świadomość. Możemy sami decydować o swoim życiu. Wystarczy do mnie zadzwonić.

Potem wróżka dwa razy powtarza numer telefonu. Nie musiała specjalnie dla mnie tego robić.

eprasa.pl 15f0aae880

Nie czuję się najlepiej, nigdy nie lubiłem zjazdów. Gapię się w sufit, w głowie ktoś zaczyna perorować. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie wziąć pigułek na sen, ale uświadamiam sobie, że jest szósta.

U Jana Chrzciciela już nalewają. Kilka kielichów powinno mnie postawić na nogi.

VII

My, gelniczanie, kochamy knajpy. Kochamy to mało powiedziane. My wszystko zmienimy w knajpę, zatem zawsze mamy knajp pod dostatkiem.

Z czasem udało nam się przerobić na lokale ratusz, warzywniak, żłobek, skup surowców wtórnych, a nawet kible na dworcu. Prawdą jest jednak, że era toaletowej knajpy nie trwała długo.

Otwierano o trzeciej nad ranem. W ciągu kilku miesięcy barmankom udało się wysłać na tamten świat praktycznie całą klientelę.

To jest prawdziwa historia, a nie część fikcji.

Dziś również obowiązuje zasada, że kto chce poznać elitę, musi wyruszyć na ulice o świcie lub jeszcze przed brzaskiem. Otóż pijak profesjonalista nie jest żadnym domatorem. Jak tylko ocknie się ze śpiączki, wyrusza na pielgrzymkę za płynem, dzięki któremu zapadnie w kolejną.

Chrzciciel marszczy czoło i mówi, że nie uważa chodzenia do kościoła dwa razy do roku za fanatyzm religijny. Kioskarz twierdzi, że nie zamawia pornosów, bo nikt ich nie kupuje. Dziś większość społeczeństwa masturbuje się z netem.

Pierwszą knajpę w mieście otwierają o szóstej, w tym samym czasie zaczyna polewać też Jan Chrzciciel.

Do jego kiosku mam parę kroków. Przez chwilę się zastanawiam, czy nie zadbać o higienę, ale ostatecznie stwierdzam, że w tej sytuacji prysznic, mycie zębów i czesanie to strata czasu.

Przed budką niecierpliwi się już Rudy i Miki, mężczyzna z najdłuższą brodą w mieście. Kioskarz się spóźnia, a do tradycyjnego zestawu brakuje jeszcze Wielkiego Blondyna. Siadam na schodku, wyciągam papierosy. Przyciągam uwagę czekających.

eprasa.pl 15f0aae880

Kłusem mijają nas aktywni ekonomicznie obywatele, starają się zdążyć na połączenie do Koszyc. W Koszycach będą do wieczora harować za śmieszne pensje, z których połowę i tak zabierze im państwo. Ci ludzie niechętnie patrzą na to, jak potem państwo, opiekun słabych, utrzymuje z ich pieniędzy nam podobne indywidua. Na szczęście nic z tym nie mogą zrobić, dlatego przynajmniej krzywo sobie patrzą.

My, element aspołeczny, którego celem jest nieustanne dokazywanie i bycie ciężarem dla ludzkości, rozkoszujemy się tymi spojrzeniami. Dobrze wiemy, że zawsze tu już będą obowiązywać proste zasady.

Kiedy oni wstają, my odsypiamy kaca. Ewentualnie pracujemy na następnego. Podczas gdy oni przez cały rok ciężko pracują, by w lecie móc przez kilka dni smażyć się nad morzem, my wciąż spokojnie kołyszemy się w ratunkowej sieci socjalu, ponieważ taplanie się w słonej wodzie uważamy za bzdurę.

– W dwudziestym pierwszym wieku większość ludzkich prac powinny przejąć maszyny – podrzucam temat do rozmowy. Rudy zapala zaoferowanego mu papierosa, Miki łamie go na pół i jedną połowę chowa do kieszeni na później. Miki jest na ulicy piąty sezon, ma doskonale opanowane strategie przeżycia.

– Skąd wiesz? – pyta.

– Ze szkoły – odpowiadam.

Miki mówi, że takich rzeczy ich w szkole nie uczyli. Rudy podaje w wątpliwość to, że Miki w ogóle uczęszczał do jakiejś szkoły.

Informuję Mikiego, że według wyobrażeń futurologów my, ludzie, mieliśmy w obecnych czasach już tylko spokojnie leżeć na kanapie, a roboty miały o nas zadbać.

Miki mówi, że obawia się raczej tego, że to robot będzie leżeć na kanapie, a my będziemy na niego harować.

Rudy potwierdza, że rzeczywiście może tak być.

Uspokajam kolegów, mówię, że ludzkość nie powinna czuć się w swych pryncypiach zagrożona, dopóki nie znajdzie się taki komputer, co potrafi wypić więcej od człowieka.

Miki dopytuje, skąd to wiem.

– Od Jerzego z Polski – przyznaję.

– Nie znam go – mówi Miki.

– Pisarz – informuję.

– Nie wierzę ludziom, którzy piszą książki. Z zasady. To ich wina, że świat tak źle wygląda – zaskakuje mnie swoim tokiem myślenia brodaty pijus.

eprasa.pl 15f0aae880

Rudego interesuje bardziej, gdzie jest Chrzciciel. Mnie zresztą też. Od żółtego białego proszku Wszechmogącego już zgrzytam zębami i łapią mnie skurcze w nogach.

W końcu, tuż przed wpół do siódmej, zza rogu wychodzi zataczająca się postać. W plecaczku dzwoni jej kilka butelek tanich destylatów, które w domu jeszcze rozrzedził wodą. Nie bez powodu wszyscy nazywają go Chrzcicielem.

– Plemię żmijowe, kto wam pokazał, jak uciec przed nadchodzącym gniewem? – mówi, zamiast się przywitać. Od kiedy zaczęli go nazywać Janem Chrzcicielem, zdążył nauczyć się kilku fragmentów z Nowego Testamentu.

Wchodzimy z nim do środka, pomagamy mu rozłożyć pakunki z prasą codzienną. Chrzciciel wyciąga wódkę i rozlewa ją do kieliszków. Gdy jakiś czas temu zorientował się, że gazety i czasopisma nie zdołają go utrzymać, postanowił poszerzyć portfolio o nielicencjonowaną sprzedaż alkoholu. W zeszłym roku już mógł sobie pozwolić na *last minute* w Bułgarii.

Dziś również obowiązuje zasada, że kto chce poznać elitę, musi wyruszyć na ulice o świcie lub jeszcze przed brzaskiem. Otóż pijak profesjonalista nie jest żadnym domatorem. Jak tylko ocknie się ze śpiączki, wyrusza na pielgrzymkę za płynem, dzięki któremu zapadnie w kolejną.

Po czterech kieliszkach około dwudziestoprocentowej wódki jestem w stanie skupić się na szerokim wachlarzu informacji, którymi dziś uszczęśliwili naród ludzie z *open space*'ów. Nagłówek w „Novym Časie" ogłasza: „Siedem rad, jak zapanować nad swoim zachowaniem i utrzymać emocje na wodzy". To może się barmanowi przydać – myślę sobie. Zapoznaję się zatem z podpowiedziami brukowca.

Profesjonalny certyfikowany trener biznesu i rozwoju osobistego w jednym, Petra Drozdová-de la Fére, mówi, że trzeba zadbać o zaspokojenie własnych potrzeb, starać się poznać samego siebie, uświadomić sobie swoje zalety, być empatycznym w stosunku do innych, pracować z negatywnymi emocjami, przetrzymać te przesadzone, zbędnym pozwolić, by się rozpłynęły jak dym, nie stać się scenarzystą filmu katastroficznego, myśleć o wyjściu awaryjnym i nie brać do siebie porażki.

Ostatecznie porad było więcej niż siedem, gazeta w nagłówku była niepotrzebnie skromna. Ale możliwe, że redakcja składa się z jednostek niepanujących nawet nad podstawowymi obliczeniami. Rzucam „Nový Čas" z powrotem na ladę. Wolę nawet nie zaczynać studiów nad prasą opiniotwórczą.

eprasa.pl 15f0aae880

Rudy pyta, co przeczytałem, więc mówię mu, że nie chce wiedzieć. Rudy konstatuje, że dzisiaj gazety nie nadają się nawet na rozpałkę. Miki komentuje, że tak było zawsze. Rudy mówi, że jedyne, co dało się kiedyś czytać, to były gazetki porno, ale że zniknęły z kiosków, Bóg wie czemu.

Wyjaśniam, że gazetki porno wciąż istnieją, tyle że Chrzciciel nie chce ich zamawiać, bo jest fanatykiem religijnym.

Chrzciciel marszczy czoło i mówi, że nie uważa chodzenia do kościoła dwa razy do roku za fanatyzm religijny. Kioskarz twierdzi, że nie zamawia pornosów, bo nikt ich nie kupuje. Dziś większość społeczeństwa masturbuje się z netem.

Miki pyta, co to jest net.

Ucinając przyjacielską pogawędkę, obalamy dwie flaszki. Czuję się lepiej, skurcze minęły, tik w prawym oku już mnie nie drażni. Rudy i Miki zaczynają marudzić Chrzcicielowi, że jak na to, ile wypili, są żenująco trzeźwi. Domagają się próbki destylatu, chcą ją zanieść do analizy, tylko nie mogą się dogadać, gdzie się taką analizę robi.

Chrzciciel się śmieje.

– Ja was chrzczę wodą, lecz idzie mocniejszy ode mnie, i on chrzcić was będzie ogniem – mówi, wskazując na spożywczak, skąd właśnie wyszedł Wielki Blondyn z pół litra spirytusu w ręce.

– Życie to ośrodek wychowawczy, do którego trafiamy za grzechy popełnione przed narodzinami – po chwili wznosi tradycyjny toast.

O dziewiątej Miki jest martwy, przenosimy go na tył do śmietników, kładziemy na kartony, które stanowią jego ośrodek dziennego pobytu. Na tym kończy się nasze zainteresowanie brodatym. Opiekę nad nim przejmują drobne owady.

Milo Janáč studiował na Wydziale Artystycznym Uniwersytetu w Preszowie. Pracował w różnych mediach, w dziale marketingu firmy telekomunikacyjnej, a także próbował swoich sił w angielskiej piekarni i pubie w Gelnicy. Obecnie pełni funkcję kierownika Wydziału Kultury, Sportu i Rekreacji w Urzędzie Miejskim w Gelnicy. W 2018 roku zadebiutował książką *Miło niemiło*.

eprasa.pl 15f0aae880

Poślubię kazachską dziewczynę

Joanna Bagadzińska

Zła jest dziewczyna, która wróciła – to kazachskie powiedzenie odzwierciedla głęboko zakorzenione społecznie przekonanie, że kobiety, które opuszczają mężów i wracają do domu rodzinnego, należy z definicji potępić. Jak w soczewce skupia w sobie presję społeczną i reakcje środowiska, w którym przemoc domowa nierzadko pozostaje bardziej akceptowalna niż kobieta decydująca się na zakończenie małżeństwa.

W 2016 roku mieszkaniec Astany Talgat Szoltajew zakrył szalem stojącą w stolicy rzeźbę dziewczyny i powiedział: „będzie wstyd" (kz. ұят болады). Rzeźba przedstawiała parę, przy czym sylwetka kobiety miała wyraźnie zarysowany kształt piersi. Zdaniem Szoltajewa godziło to w honor i godność narodu, a gest zasłonięcia rzeźby zapewnił przyzwoitość nie tylko posągowi, ale także wszystkim kazachskim kobietom. Zainspirowany zdarzeniem rysownik Murat Dilmanow z połączenia słów „wstyd" i „osoba" stworzył postać Uyatmena. Szybko stał się popkulturowym symbolem rosnącej w społeczeństwie tendencji do moralizowania i stygmatyzowania kobiet.

Będzie wstyd

„Jej usta dotykały tylko filiżanki, innych miejsc nie tknęły" – śpiewa Toregali Toreali w jednej z popularnych kazachskich piosenek weselnych *Poślubię kazachską dziewczynę* (Қазақ қызға үйленем), w której autor podkreśla wyjątkową czystość kazachskich kobiet. Piosenka ta doskonale odzwierciedla powszechne przekonanie, że czystość i moralność kobiety są jej największymi wartościami. Takie przeświadczenie często staje się podstawą do kontrolowania i silnej presji społecznej wobec kobiet. *Uyat*, czyli po kazachsku wstyd, może być zarówno konstruktywny, jak i destruktywny. Jak tłumaczy Kamila Smagulowa, badaczka z Paperlab, dyskusja nie dotyczy jedynie wstydu, ale także moralności i szacunku dla ludzi. Chociaż obecnie najczęściej widzimy jego destruktywną stronę, to historycznie zjawisko ma szersze znaczenie, którego ludzie nie rozumieją, dlatego też staje się instrumentalizowane

eprasa.pl 15f0aae880

i orientalizowane. Przykładowo: przychodzisz do mojego domu i nic ci nie oferuję, to jest *uyat*. Robisz coś nie z presji, ale z gościnności, która jest częścią naszej kultury.

Współcześnie *uyat* dzieli przestrzeń na publiczną i prywatną – obejmującą całą rodzinę, która jako symbol wartości duchowych musi być za wszelką cenę broniona. W tym celu przyjęto określony wzór zachowań u kobiet, które wpasowują się w kanon służący podtrzymaniu modelu wartości uważanego za słuszny. Trudno jednak stwierdzić, które z przyjętych (lub zewnętrznie narzuconych) norm wynikają z tradycji, które są celowo wymazywane, a które wprowadzane pod pretekstem powrotu do korzeni. A używanie sformułowania „będzie wstyd" przychodzi z łatwością, bo jest bezosobowe.

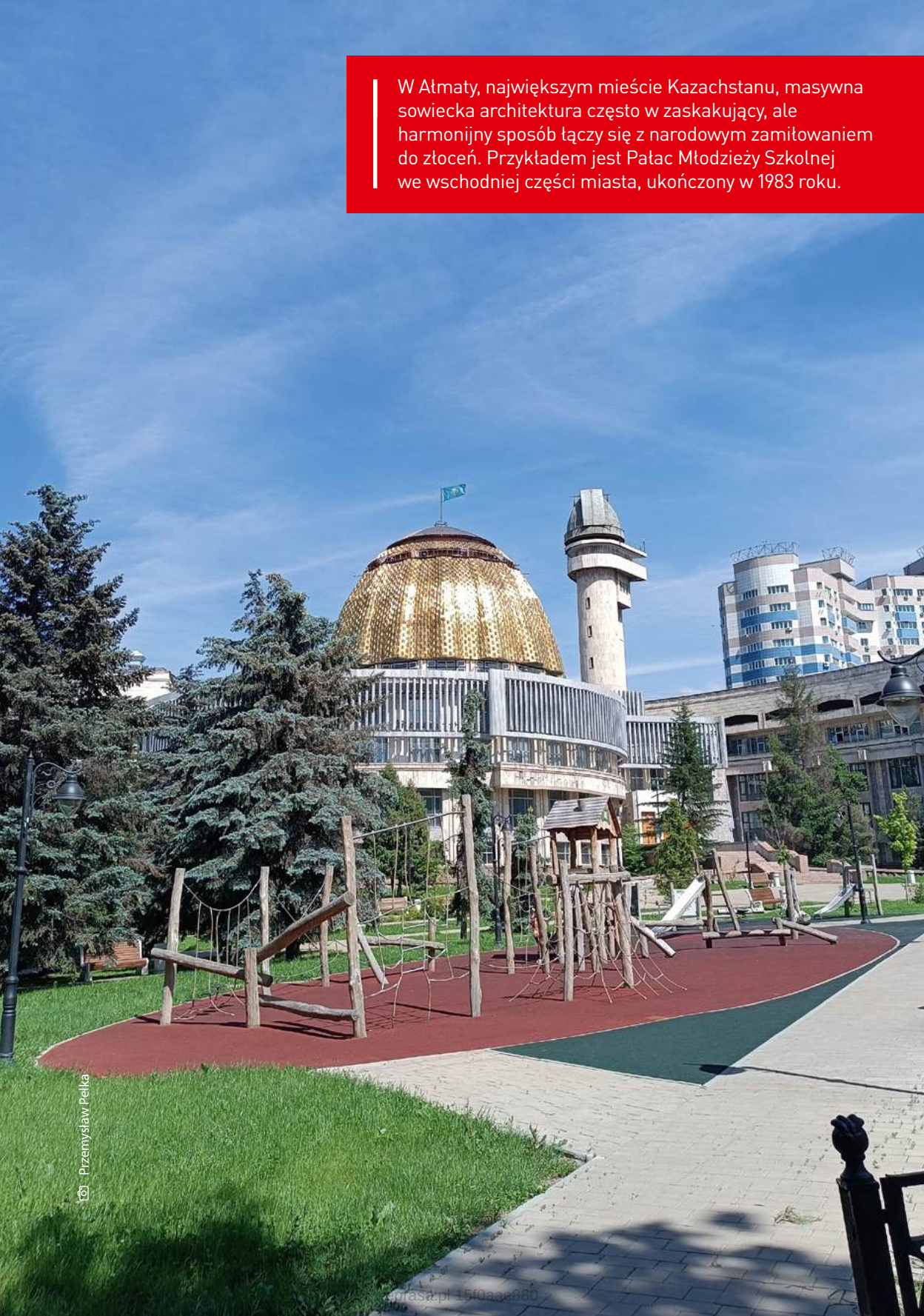
Ulubieniec pierwszego prezydenta

W maju bieżącego roku został skazany na dwadzieścia cztery lata więzienia za zabójstwo swojej żony, którą w 2023 roku brutalnie pobił w restauracji należącej do jego rodziny, a następnie dusił ją, aż straciła przytomność. Kiedy leżała zakrwawiona, zamiast po karetkę zadzwonił do jasnowidza, który zapewnił go, że wszystko będzie dobrze. Wykształcony w Stanach Zjednoczonych w ramach prestiżowego programu Bolaszak (stypendium przyznawane najlepszym studentom z Kazachstanu, by mogli kształcić się za granicą; po nauce absolwenci muszą jednak powrócić do kraju na co najmniej pięć lat), zabójca Saltan Nunekowej jawił się jako przedstawiciel nowej generacji urzędników, którzy byli obiecującym symbolem zmian w modernizującym się Kazachstanie. Karierę polityczną rozpoczął w 2009 roku; w wieku dwudziestu sześciu lat został mianowany na stanowisko asystenta prezydenta. Sprawował także (w 2016 roku) urząd ministra gospodarki narodowej Kazachstanu. Jego kariera na stanowisku ministra nie trwała długo, w przeciwieństwie do powiązań z władzą. W 2017 roku został oskarżony o korupcję. W 2018 roku skazany na dziesięć lat więzienia. Rok później został zwolniony i ułaskawiony przez prezydenta Kazachstanu Nursułtana Nazarbajewa.

Również w 2017 roku w Kazachstanie przepisy dotyczące przemocy zostały zmienione. Napaść i umyślne spowodowanie lekkiego uszczerbku na zdrowiu zostały zdekryminalizowane i przeniesione z kodeksu karnego do kodeksu wykroczeń administracyjnych. Od tego czasu sprawcy przemocy domowej zagrożeni byli jedynie karą grzywny. Dotknęło to przede wszystkim kobiet z mniej zamożnych rodzin, które przed zgłoszeniem przemocy domowej blokował nie tylko wstyd wynikający z norm społecznych, według których mówienie publicznie o problemach domowych traktowane jest jako wystąpienie przeciwko tradycji i rodzinie, ale również świadomość, że w wyniku zgłoszenia mogą jedynie stracić. Nie tylko materialnie, ale i reputację.

eprasa.pl 15f0aae880

W Ałmaty, największym mieście Kazachstanu, masywna sowiecka architektura często w zaskakujący, ale harmonijny sposób łączy się z narodowym zamiłowaniem do złoceń. Przykładem jest Pałac Młodzieży Szkolnej we wschodniej części miasta, ukończony w 1983 roku.



Przemysław Pełka

prasa.pl 15f0aae880



© Przemysław Pełka

W mieście natrafić można na formy całkiem oryginalne dla sowieckiej architektury mieszkalnej. Nie ominęła go także pomnikoza – figur upamiętniających bohaterów narodowych i socjalistycznych w centrum nie brakuje.




Przemysław Pełka



Na kazachskiej prowincji dominuje prostota parterowej zabudowy. Na zdjęciu wieś Saty blisko granicy kirgiskiej, gdzie mieszkańcy zajmują się głównie hodowlą krów i owiec, ale zarabiają też na rozwijającej się w regionie turystyce.

eprasa.pl 15f0aae880



© Przemysław Pełka

Swoistym centrum wsi, wciśniętej pomiędzy dwa masywy górskie, pozostaje niewielki, ale malowniczo położony meczet.





Największym skarbem Kazachstanu jest oczywiście unikatowy krajobraz naturalny. Na południu kraju szczególnym zainteresowaniem przyjezdnych cieszy się między innymi jezioro Kolsai.

Przemysław Pełka

eprasa.pl/15f0aae880

Wstydzić ma się ofiara

Zła jest dziewczyna, która wróciła – to kazachskie powiedzenie odzwierciedla głęboko zakorzenione społecznie przekonanie, że kobiety, które opuszczają mężów i wracają do domu rodzinnego, należy z definicji potępić. Jak w soczewce skupia w sobie presję społeczną i reakcje środowiska, w którym przemoc domowa nierzadko pozostaje bardziej akceptowalna niż kobieta decydująca się na zakończenie małżeństwa. Brak odpowiednich regulacji prawnych w połączeniu z przekonaniem, że należy przedkładać jedność rodziny nad indywidualne bezpieczeństwo, odzwierciedlają statystyki dotyczące przemocy domowej w Kazachstanie, gdzie około 60 procent kobiet w wieku od piętnastu do czterdziestu dziewięciu lat doświadczyło przemocy ze strony partnera w pewnym momencie swojego życia. Po zabójstwie Nunekowej jej krewni rozpoczęli zbieranie podpisów pod internetową petycją, w której wzywali do zaostrzenia kary za przemoc domową. Chociaż pod petycją nazywaną Prawem Saltanat zebrano ponad 150 tysięcy podpisów, to minister sprawiedliwości stwierdził, że nie ma ona mocy prawnej, gdyż została stworzona na niewłaściwej platformie.

Zgodnie z nowym prawem obowiązek zbierania dowodów w przypadkach przemocy domowej spoczywa na policji, dotychczas należał do ofiary przemocy.

Rozpoczęty pod koniec marca 2024 roku siedmiotygodniowy proces w sprawie zabójstwa Saltan Nunekowej był pełen prób przerzucenia na nią odpowiedzialności za przemoc, której doświadczyła. Dowody w sądzie obejmowały nagranie z monitoringu, na którym widać Biszimbajewa bijącego, kopiącego i ciągnącego za włosy Saltan. W procesie aktywnie brał udział Aitbek Amangeldy, brat zamordowanej, co było szeroko komentowane jako wyłamanie się ze schematu, w którym wstydzić ma się ofiara. W tradycyjnym społeczeństwie kazachskim, gdzie obrona honoru często wiąże się z ukrywaniem przemocy domowej, Aitbek uznał za honorowe publiczne bronienie swojej siostry.

#ZaSaltanat

W patriarchalnym społeczeństwie kobieta jest potępiana za rzeczy, które dla mężczyzn są uważane za normę, a czasem powód do dumy. W Kazachstanie społeczeństwo opiera swoje funkcjonowanie w pierwszej kolejności na zasadach „moralnych", a w następnej – na prawie. W trakcie procesu prokuratura twierdziła, że Biszimbajew był agresywny; obrona dołożyła wszelkich starań, aby przedstawić ofiarę jako alkoholiczkę, która doprowadziła go do przemocy. W odpowiedzi kazachskie kobie-

eprasa.pl 15f0aae880

ty zamieściły zdjęcia, na których trzymają drinki, z podpisem: „Jeśli widzisz mnie z kieliszkiem wina, to nie znaczy, że możesz mnie zabić", i hashtagiem #ZaSaltanat. Biszimbajew miał nadzieję pozyskać konserwatywną część społeczeństwa, dla której pojęcie *uyat*, czyli publiczne potępienie osoby, która nie przestrzega norm moralnych, jest ważne. Część społeczeństwa, która rozumiała „wstyd" jako coś, co dotyczy jedynie kobiet i ich „niewłaściwego zachowania", takiego jak nieodpowiedni ubiór, sprzeciwianie się mężowi czy starszym krewnym lub rozwód.

Proces traktowany był również jako test dla nowej elity politycznej, która zobowiązała się do wzmocnienia przepisów chroniących przed przemocą. W trakcie gdy cały kraj oglądał proces w sprawie zabójstwa Nunekowej, obecny prezydent 15 kwietnia 2024 roku podpisał nową ustawę mającą na celu wzmocnienie ochrony przed przemocą wobec kobiet i dzieci, w tym ofiar przemocy domowej. Zgodnie z nowym prawem obowiązek zbierania dowodów w przypadkach przemocy domowej został przeniesiony na policję, dotychczas spoczywał na ofierze przemocy. W ustawie przewidziano również, że policja musi badać wszystkie przypadki przemocy, nawet jeżeli ofiara nie wniosła skargi. Ustawa eliminuje możliwość dążenia do „pojednania" między stronami jako sposobu rozwiązywania przypadków powtarzającego się „pobicia" i „lekkiego uszkodzenia ciała". Nadal jednak przemoc domowa nie została uznana za samodzielne przestępstwo ani w kodeksie karnym, ani w kazachskiej ustawie o jej zapobieganiu z 2009 roku.

Jak mówi Kamila Smagulowa, w niektórych regionach nadal bardziej akceptowalne będzie urodzenie i porzucenie dziecka niż wychowywanie dziecka spoza małżeństwa. Zmiana w społeczeństwie jest możliwa, lecz wymaga refleksji, a także redefinicji pojęcia „honoru" i „wstydu".

Joanna Bagadzińska jest doktorantką na Uniwersytecie Warszawskim i współpracowniczką Ośrodka Badań nad Migracjami UW. Specjalizuje się w polityce językowej i polityce Kazachstanu, gdzie prowadzi badania terenowe, współpracując z Uniwersytetem Nazarbajewa w Astanie.

eprasa.pl 15f0aae880

Sprawa Barczuków

Maria Semenczenko

Ta historia zaczęła się w 2022 roku. Kiedy Rosja zaatakowała Chersoń, Serhij Barczuk, który pracował w Funduszu Emerytalnym, zdecydował się nie wyjeżdżać i pozostać w pracy. Po zajęciu miasta został zatrzymany, a następnie zaginął. Ojciec z żoną, a także wujek i bliski przyjaciel postanowili rozpocząć poszukiwania. Koniec końców wszyscy trafili do więzienia.

Z jednej strony historia Barczuków jest wyjątkowa, ponieważ okupanci przetrzymywali przez trzynaście miesięcy czterech członków rodziny i jej bliskiego przyjaciela jako zakładników, grożąc im wyrokami więzienia. Z drugiej – to typowa historia. W czasie okupacji mieliśmy setki takich zgłoszeń.

Tetiana Katryczenko, działaczka na rzecz praw człowieka i dyrektorka wykonawcza Inicjatywy Medialnej na rzecz Praw Człowieka, wyjaśnia:

– Przeważnie ludzie są zatrzymywani za zachowanie odmienne od oczekiwań władz okupacyjnych. Na przykład ktoś pisze coś na portalach społecznościowych, a następnie zostaje oskarżony o terroryzm lub sabotaż. Są przetrzymywani w celu izolacji i zastraszania innych. Większość więźniów jest przewożona przez okupowany Krym do Federacji Rosyjskiej. Czasem są przetrzymywani na Krymie. Przykładowo, w dwóch aresztach śledczych w Symferopolu przebywa obecnie kilkudziesięciu Ukraińców. Czasami zwalniają osoby, które są zastraszone lub doznały tortur. Zdarzały się przypadki, że ludzie byli przetrzymywani przez trzydzieści dni, a następnie przewożeni na linię demarkacyjną i deportowani z zakazem wjazdu na terytorium Federacji Rosyjskiej przez pięćdziesiąt lat. Istnieje również praktyka pozasądowych egzekucji. Sprawa rodziny Barczuków to z definicji sprawa więźniów politycznych.

Zawsze sobie pomagamy

Z sześćdziesięciodwuletnim Artemem Barczukiem spotkaliśmy się w jednym z kijowskich klubów kręglarskich, gdzie trenuje kilka razy w tygodniu. Przed inwazją na pełną skalę Artem stał na czele Federacji Bowlingu Sportowego w Chersoniu.

– To wysportowana rodzina – mówi. – Kiedy byliśmy w więzieniu, pomagali nam, przysyłali pieniądze.

eprasa.pl 15f0aae880

Mężczyzna dodaje, że w jednym z miejsc zatrzymania wśród strażników przebywał mężczyzna, którego Artem rozpoznał.

– To był zawodnik z ligi amatorskiej. – Uśmiecha się Barczuk.

W Chersoniu Artem prowadził rodzinny biznes – Barczukowie sprzedawali zastawę stołową do restauracji i kawiarni. Jednak po rozpoczęciu inwazji na pełną skalę rodzina musiała zrezygnować z interesu.

– Rosjanie przybyli do Chersonia zaledwie kilka dni po rozpoczęciu wielkiej wojny, więc nie mieliśmy nawet czasu pomyśleć, co robić – mówi mężczyzna. – Kupiliśmy żywność, lekarstwa i przeprowadziliśmy się z Lidią [Lidia Podozerska jest żoną Artema – przyp. red.] do wiejskiego domu nad brzegiem Dniepru, było tam spokojniej.

Lidia twierdzi, że oprócz rozmów ze sobą więźniowie mogli czytać – w celi znajdowały się dwie książki: Biblia i książka Dale'a Carnegiego *Jak zdobyć przyjaciół i zjednać sobie ludzi*.

Artem wspomina, jak mieszkańcy Chersonia szli na wiece przeciwko okupantowi:

– Rosjanie mieli zdezorientowane twarze, ponieważ przybyli wyzwolić miejscową ludność i napotkali taki opór! Mówi, że na początku Rosjanie zachowywali się mniej więcej normalnie, ale potem to się zmieniło. Zaczęli rozpędzać wiece, przeszukiwać domy. Z miasta znikali ludzie. Krzyki kobiet i mężczyzn słychać było ze Stekliszki [improwizowanego aresztu śledczego w bazie hurtowej w północno-wschodniej części miasta – przyp. red.], gdzie okupanci zorganizowali salę tortur.

– Po jednym z wieców Rosjanie aresztowali naszego przyjaciela, weterana operacji antyterrorystycznej, i gdzieś go wywieźli. Po kilku dniach wrócił zmaltretowany i zdemoralizowany. Złamali go. Doświadczył strasznych tortur – mówi Artem.

Zanim opowie o roku spędzonym w niewoli, wyjaśnia:

– Jesteśmy dużą i zżytą rodziną. Poza tym mamy przyjaciół, z którymi utrzymujemy kontakt od czterdziestu lat i oni są już częścią naszej rodziny. Bez ich wsparcia trudniej byłoby nam przetrwać więzienie.

Dusili mnie sznurówką

Trzydziestopięcioletni Serhij Barczuk pracował jako zastępca kierownika Głównego Oddziału Funduszu Emerytalnego w obwodzie chersońskim. Po rozpoczęciu inwazji na pełną skalę większość pracowników biurowych opuściła miasto. Serhij został, wstąpił do Wojsk Obrony Terytorialnej i otrzymał broń.

– Wkrótce rozwiązano Wojska Obrony Terytorialnej, poprosiłem ojca, żeby schował mój automat, i wróciłem do pracy, bo dawała mi poczucie, że nad czymś

eprasa.pl 15f0aae880

panuję. W tym czasie nasze biuro funkcjonowało dzięki ludziom, którzy wyjechali. Znalazłem sobie jednak zajęcie. Pomagałem mieszkańcom Chersonia w sprawach związanych z ukraińską emeryturą. Ustaliliśmy z zarządem, że spróbuję ukryć komputery, aby Rosjanie do nich nie dotarli – mówi Serhij.

Postanowił ukryć komputery w mieszkaniu żony ojca. Lidia się zgodziła: w mieszkaniu nikt nie mieszkał, a do biura Serhija było 300 metrów, więc wygodnie było to zorganizować.

– 30 czerwca Rosjanie zajęli pierwszy budynek naszego biura, a drugi 15 lipca. W tym czasie część sprzętu już ukryłem, część nawet wywieziono z terenów okupacji przez ludzi, którzy wyjeżdżali – mówi Serhij. – Zdawałem sobie sprawę, że ryzykuję. Na ulicach uzbrojeni ludzie robili, co chcieli. Kradli, zabierali mieszkańców Chersonia do sal tortur. Wszyscy wiedzieliśmy, co tam robili ludziom.

17 lipca Serhij wpadł w zasadzkę w biurze.

– Naskoczyło na mnie dwóch mężczyzn w cywilnym ubraniu khaki. Próbowałem uciekać, ale jeden z nich wycelował do mnie z pistoletu. Wykręcili mi ręce, wciągnęli mnie do jakiegoś budynku i rzucili na podłogę.

Następnie Serhija przewieziono do komendy dnieprowskiego oddziału chersońskiej policji.

– Przesłuchiwały mnie tam trzy osoby, dwie w maseczkach i mundurach wojskowych oraz jedna w cywilnym ubraniu i z odkrytą twarzą. Zapytali, kim jestem, na czym polega moja praca, co robię w budynku Funduszu Emerytalnego. Potem jeden z mężczyzn zaczął mnie dusić sznurówką z mojej tenisówki. Zadali pytanie i natychmiast mnie pobili, po czym dusili mnie sznurówką, aż się rozerwała, i kontynuowali duszenie rękami. Dusili kilkanaście razy, zadali ponad sto ciosów – wspomina Barczuk. Mówi, że przyłożyli mu pistolet do kolan, a potem powiedzieli, że będą torturować jego matkę na jego oczach. Powiedział im, gdzie znajduje się sprzęt.

Serhij został umieszczony w celi jednoosobowej, ale przebywało w niej kilka osób.

– Nie bałem się o siebie, miałem tylko nadzieję, że rodzina nie zrobi nic ryzykownego. Jednak oni już zaczęli mnie szukać – wzdycha mężczyzna.

Usłyszałam jęk z bagażnika

18 lipca Artem Barczuk otrzymał wiadomość od swojej byłej żony Neli, matki Serhija: „Nasz syn zniknął". Artem poszedł do mieszkania Lidii. Na balkonie wszystko było na swoim miejscu – w pudłach stało blisko trzydzieści komputerów. Rzeczy osobiste również były na swoich miejscach. Nie udało im się jednak skontaktować z Serhijem.

Artem zdał sobie sprawę, że Rosjanie pojmali jego syna. Razem z Lidią, jego bratem Ołeksijem i przyjacielem rodziny Ołehem Samotojem postanowili przenieść

eprasa.pl 15f0aae880

komputery w inne miejsce. Podjechali samochodem pod budynek i zaczęli ładować pudła. Artem wyszedł wcześniej, aby kontynuować poszukiwania syna. Kiedy Lidia, Ołeksij i Ołeh poszli do mieszkania, aby zabrać resztę sprzętu, z górnego piętra zbiegli uzbrojeni mężczyźni.

– Wepchnęli nas do mieszkania – opowiada Lidia. – Przyszło jeszcze dwóch mężczyzn z FSB. Wyprowadzali nas jednego po drugim na balkon i zadawali różne pytania. Następnie wprowadzili Serhija do mieszkania i przyłożyli go twarzą do ściany, skuli go kajdankami. Był przesłuchiwany.

Następnie Lidia została wsadzona do samochodu wraz z kierowcą i uzbrojonym mężczyzną. Udało jej się napisać wiadomość do Artema, że zostali aresztowani. Ołeksija i Ołeha zabrano innym samochodem.

– Napisałam do męża, żeby uważał, usunął dane z telefonu, i poprosiłam, żeby uratował mojego psa Tiawkę, bo bałam się, że w razie rewizji zwierzę zostanie zastrzelone przez Rosjan – wspomina Lidia. – Wtedy usłyszałem jęk z bagażnika samochodu. Serhij tam był.

Na daczę Barczuków przybyli okupanci, aby aresztować Artema.

– Założyli kajdanki, bili mnie kolbą karabinu po żebrach. Przez chwilę nie mogłem oddychać, upadłem. Zastraszali mnie, krzyczeli, prowokowali. Pytali, czy wiem, że oni prowadzą tutaj wojnę z Ameryką. Milczałem. Potem przeszukali dom, nie znaleźli ukrytej broni Serhija. Podczas kolejnych poszukiwań kilka miesięcy później też jej nie znaleźli. Po prostu mieliśmy szczęście – mówi Artem.

Wiadomości z sałatki

Wreszcie Artem, Ołeksij, Ołeh i Lidia zostali dowiezieni do tego samego rejonowego komisariatu policji w Dnieprze, gdzie wcześniej przywieziono Serhija. Artem został umieszczony w izolatce.

– Nie było wody, śmierdziało strasznie od moczu. Upał i duchota – wspomina.

Później do Artema przywieziono Ołeksija i Ołeha. Serhij był przetrzymywany w celi obok i mogli się porozumiewać.

Lidia spędziła dwa miesiące na korytarzu pomiędzy celami a posterunkiem wartownika. Czasami pozwalano jej wyjść, aby nabrać wody i podać ją więźniom w celach. Wieczorem kobieta otrzymywała materac.

– Przez pierwsze trzy miesiące nie dostawaliśmy jedzenia. Natalia, żona Ołeksija, przynosiła nam żywność – mówi Lidia.

Natalia Barczuk przynosiła także tajne wiadomości na karteczkach, które zwijała w małe kulki, zawijała w folię i chowała w sałatkach. Aby krewni wiedzieli dokładnie, gdzie szukać notatek, uzgodnili, że będą w naczyniach z zieleniną. Artem opo-

eprasa.pl 15f0aae880

wiada, że w ten sam sposób przekazywali wieści z więzienia – chowali pognieciones karteczki do plastikowych torebek, w których oddawali naczynia. – Natalia była naszym aniołem stróżem, zawsze nas odnajdywała, gdy przenoszono nas w inne miejsca, znajdowała okazję do przekazania rzeczy i jedzenia, a potem nawet przeprowadziła się na okupowany lewy brzeg, kiedy nas tam przywieziono – wspomina Artem.

Kiedyś pobito mężczyznę, bo strażnicy uważali, że mówi za głośno. Pobito go tak mocno, że w nocy z ust wypłynęła mu biała wydzielina, stracił przytomność i trzeba było wezwać karetkę.

Artem martwił się o żonę i nawet w takich warunkach starał się ją wspierać. Pisał krótkie zabawne wierszyki o kici Lidzi i przekazywał je przez szparę pod drzwiami.

– Pisał też o miłości – uśmiecha się Lidia. – Napisał mi wiersz na urodziny, w więzieniu obchodziłam sześćdziesiątkę. Natalii udało się przynieść mi pudełko cukierków, schowałam je, żeby dać mężowi na urodziny. Jednak Rosjanie mi je zabrali.

Później Barczukowie i Ołeh Samotoj zostali poinformowani, że toczy się wobec nich postępowanie karne z art. 158 ust. 4 Kodeksu Karnego Federacji Rosyjskiej – „Kradzież popełniona przez zorganizowaną grupę na dużą skalę". Groziło im do dziesięciu lat więzienia. Kiedy jednak komenda okręgowa policji zaczęła przygotowywać się do ewakuacji ze względu na zbliżanie się wojsk ukraińskich do Chersonia, liczyli na to, że zostaną zwolnieni. Zamiast tego okupanci przewieźli więźniów na lewy brzeg Dniepru.

Po co wam emeryci?

Serhij Barczuk został przeniesiony do aresztu śledczego przy ulicy Perekopskiej. Tam został pobity „na wszelki wypadek". Następnie został przewieziony na Krym. Pozostałą część rodziny Barczuków i Ołeha Samotoja przetransportowano najpierw do miasta Perekopsk, a następnie na lewy brzeg obwodu chersońskiego.

– Byłem w szoku – mówi Artem. – Po co wam emeryci? Po co nas przewozicie przez Dniepr razem z personelem wojskowym? Łatwiej byłoby nas wypuścić. Ale nie zrobili tego.

Lidia wspomina, że przewożono ich promem, bo most Antoniwski na Dnieprze, łączący Chersoń z lewym brzegiem, był już uszkodzony:

– Byliśmy w klatkach, cały czas miałam nadzieję, że coś nagle uderzy w prom i zdołamy uciec.

Najpierw przewieziono ich do aresztu w Oleszkach. Następnie Lidia została wysłana do komisariatu policji w Czapłynce, a mężczyźni do Kałanczaki.

eprasa.pl 15f0aae880



istock.com/Sinenkiy

Pracujący w Funduszu Emerytalnym Serhij Barczuk po zajęciu Chersonia został zatrzymany, a następnie zaginął.

– Zmuszali nas tam do nauki rosyjskiego hymnu narodowego. Dali nam trzy dni. Ci, którzy nie śpiewali, byli bici i rażeni elektrowstrząsami – mówi Artem.

Później wszystkich przewieziono do aresztu śledczego w Czonharze, który Rosjanie zbudowali po zajęciu części obwodu chersońskiego, więc Barczukowie dotarli tam jako jedni z pierwszych.

– To był obóz koncentracyjny – wspomina Artem. – Wykorzystali nas do opracowania techniki postępowania z zatrzymanymi.

Przywożonych tam ludzi zmuszano do rozbierania się, kazano biegać i kucać, zabrano im część dobytku. Barczukowie słyszeli, jak biją innych zatrzymanych. Barczuków nie bito.

– Prawdopodobnie dlatego, że jesteśmy emerytami – uważa Artem. – Nie stawialiśmy oporu.

W areszcie śledczym w Czonharze znajdowała się lista zakazów, która była codziennie aktualizowana. Nie wolno było na przykład leżeć w ciągu dnia na pryczach. Zabraniano siedzenia i opierania się o ścianę, następnie siadania na pryczach z nogami, musiały zwisać.

– Nie wolno nam było ćwiczyć, nie wolno było się śmiać. W celach był monitoring i podsłuchy. Kiedyś pobito mężczyznę, bo strażnicy uważali, że mówi za głośno. Pobito go tak mocno, że w nocy z ust wypłynęła mu biała wydzielina, stracił przytomność i trzeba było wezwać karetkę. Kolejna osoba została pobita za zbyt głośne rozwiązywanie krzyżówki – relacjonuje Artem.

eprasa.pl 15f0aae880

Mężczyzna pamięta także inne przypadki, gdy na przykład ręcznik został wysuszony w celi „w niewłaściwy sposób" lub „w niewłaściwym miejscu" albo strażnicy zobaczyli na swetrze więźnia nitkę, której „nie powinno tam być".

– Wtedy wkroczyła ekipa karna, wyprowadziła więźnia ciosami na korytarz, ustawiła go w „pozie strzeleckiej" – z rękami wyciągniętymi do tyłu, rozstawionymi nogami i twarzą do ściany. Jeśli ktoś nie rozłożył dostatecznie szeroko nóg, był bity. Trudno było ustać, bo podłoga była śliska. Kiedy wróciliśmy do celi, bito nas kijami.

Ukradli rok naszego życia

Lidia twierdzi też, że areszt śledczy w Czonharze był najgorszym miejscem z tych, w których byli przetrzymywani. Mówi, że więziono tam różne kobiety, niektóre zatrzymano, ponieważ ich mąż lub syn służył w Siłach Zbrojnych Ukrainy, inne oskarżono o wzniecanie pożaru lub sabotaż.

– Przeważnie były to kobiety z lokalnych wiosek – mówi. Lidia twierdzi, że oprócz rozmów ze sobą więźniowie mogli czytać – w celi znajdowały się dwie książki: Biblia i książka Dale'a Carnegiego *Jak zdobyć przyjaciół i zjednać sobie ludzi*.

– Trudno było mi znieść fakt, że nie było wiadomo, kiedy zostaniemy zwolnieni – mówi Lidia. – Miałam zeszyt, w którym codziennie rysowałem kwadraty i jeden przekreślałem. Tak było łatwiej.

Później Natalia znalazła ich w Czonharze. Zaczęła przynosić rzeczy i lekarstwa. W tym czasie Barczukowie i Ołeh Samotoj mieli już adwokata, a potem ich przyjaciele zatrudnili kolejnego – Witalija Gieraskina, który właśnie otrzymał stanowisko prezesa Izby Adwokackiej Federacji Rosyjskiej w okupowanej części obwodu chersońskiego. Udało mu się wynegocjować z „prokuratorem generalnym" okupanta zmianę artykułu dotyczącego powodu zatrzymania więźniów na „przywłaszczenie cudzego mienia powierzonego winnym". Artykuł ten pozwalał na zamknięcie sprawy za zgodą stron. „Prokurator generalny" ogłosił cenę – dwa i pół miliona rubli (około 122 tysięcy złotych).

– Pieniądze pożyczaliśmy od krewnych i znajomych – wspomina Artem. – Najpierw wypuścili Lidię, Ołeha i mnie do aresztu domowego. Natalia wynajęła dom w Czonharze, tam czekaliśmy na Serhija i Ołeksija. Kiedy w końcu się wszyscy spotkaliśmy, musieliśmy poczekać, aż dokumenty zostaną nam zwrócone, i wtedy wyjechaliśmy.

Serhij wrócił na terytorium kontrolowane przez Ukrainę przez punkt kontrolny Kolotyliwka–Pokrowka; natychmiast udał się do Chersonia i wrócił do pracy. Inni wyjechali do Europy. Artem i Lidia wrócili do Ukrainy.

eprasa.pl 15f0aae880

W sumie rodzina Barczuków i Ołeh Samotoj spędzili w więzieniu rok (Serhij i Ołeksij byli tam o miesiąc dłużej).

– Ukradli rok naszego życia – mówi Ołeh.

– To ogromne doświadczenie życiowe, bo wewnętrzna przemiana następuje dopiero wtedy, gdy przechodzimy przez ciężkie próby. Przeszliśmy je z godnością. Wyszliśmy silniejsi i teraz jeszcze lepiej rozumiemy życie i wolność. Rozumiemy też, jakie to szczęście, że mamy wspaniałą rodzinę i przyjaciół – mówi Artem.

Z języka ukraińskiego przełożyła Urszula Pieczek

Tekst jest częścią projektu „Dziennik wojny" realizowanego przez duet Marii Semenczenko (tekst) i Ingi Levi (grafiki). Teksty w języku ukraińskim i angielskim ukazują się na ukraińskim portalu Suspilne. Oryginał ukazał się 19 czerwca 2024 roku na stronie suspilne.media/770971-sprava-barcukiv-istoria-rodini-aka-provela-13-misaciv-v-uvaznenni-na-okupovanij-castini-hersonsini/

Publikacja w „Nowej Europie Wschodniej" za zgodą Marii Semenczenko.

Maria Semenczenko jest ukraińską reporterką, dziennikarką i redaktorką.

eprasa.pl 15f0aae880

Czy dekolonizacja w Ukrainie osiągnie swój cel?

Roman Kabaczij

Mój znajomy w mediach społecznościowych zauważył, że dzięki dekolonizacji Ukraina przestaje być brzydkim kaczątkiem, a zamienia się w łabędzia pozbawionego niskiego poczucia własnej wartości. Jak przebiega ten proces od 2014 roku? Czy dekolonizacja jest kontynuacją dekomunizacji?

Ukraińska Rada Najwyższa 9 kwietnia 2015 roku przyjęła pakiet czterech ustaw dekomunizacyjnych. Pierwsza: Ustawa nr 2558 „O potępieniu totalitarnych reżimów komunistycznych i narodowo-socjalistycznych (nazistowskich) i zakazie propagowania ich symboliki"; druga: Ustawa nr 2538-1 „Ustawa o statusie prawnym i uczczeniu pamięci uczestników walk o niepodległość Ukrainy w XX wieku"; trzecia: Ustawa nr 2539 „O upamiętnieniu zwycięstwa nad nazizmem w II wojnie światowej 1939–1945"; czwarta: Ustawa nr 2540 „O dostępie do archiwów organów represji totalitarnego reżimu komunistycznego lat 1917–1991". Mimo że druga ustawa z wyżej wymienionego pakietu, uznająca rolę OUN i UPA w walce o niepodległość i wprowadzająca odpowiedzialność prawną za zaprzeczanie temu faktowi, spotkała się z krytyką zarówno za wschodnią, jak i zachodnią granicą Ukrainy, to najbardziej kluczowa dla społeczeństwa ukraińskiego okazała się ustawa pierwsza. Wraz z jej przyjęciem usunięcie symboli sowieckich przestało być prerogatywą władz lokalnych, zależną od ich widzimisię, ale nakazem z góry, który należy wykonać.

Warto jednak zauważyć, że od lat dziewięćdziesiątych XX wieku byliśmy świadkami kilku fal oddolnej dekomunizacji w Ukrainie. Właśnie w latach dziewięćdziesiątych pomniki bohaterów komunistycznych zniknęły przede wszystkim w regionach, które przed II wojną światową nie wchodziły w skład Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, czyli w Galicji Wschodniej, na Wołyniu Zachodnim, Zakarpaciu, Bukowinie, ale nie – uwaga! – w ukraińskiej części Besarabii, a tym bardziej nie na Krymie. Jadąc koleją przez Zbrucz z miejscowości Podwołoczyska w Galicji do Wołoczysk na Podolu, pasażerowie pociągu patrzyli na popiersia Lenina umieszczone na stacjach. „Ale komu on przeszkadza?!" – można było usłyszeć

eprasa.pl 15f0aae880

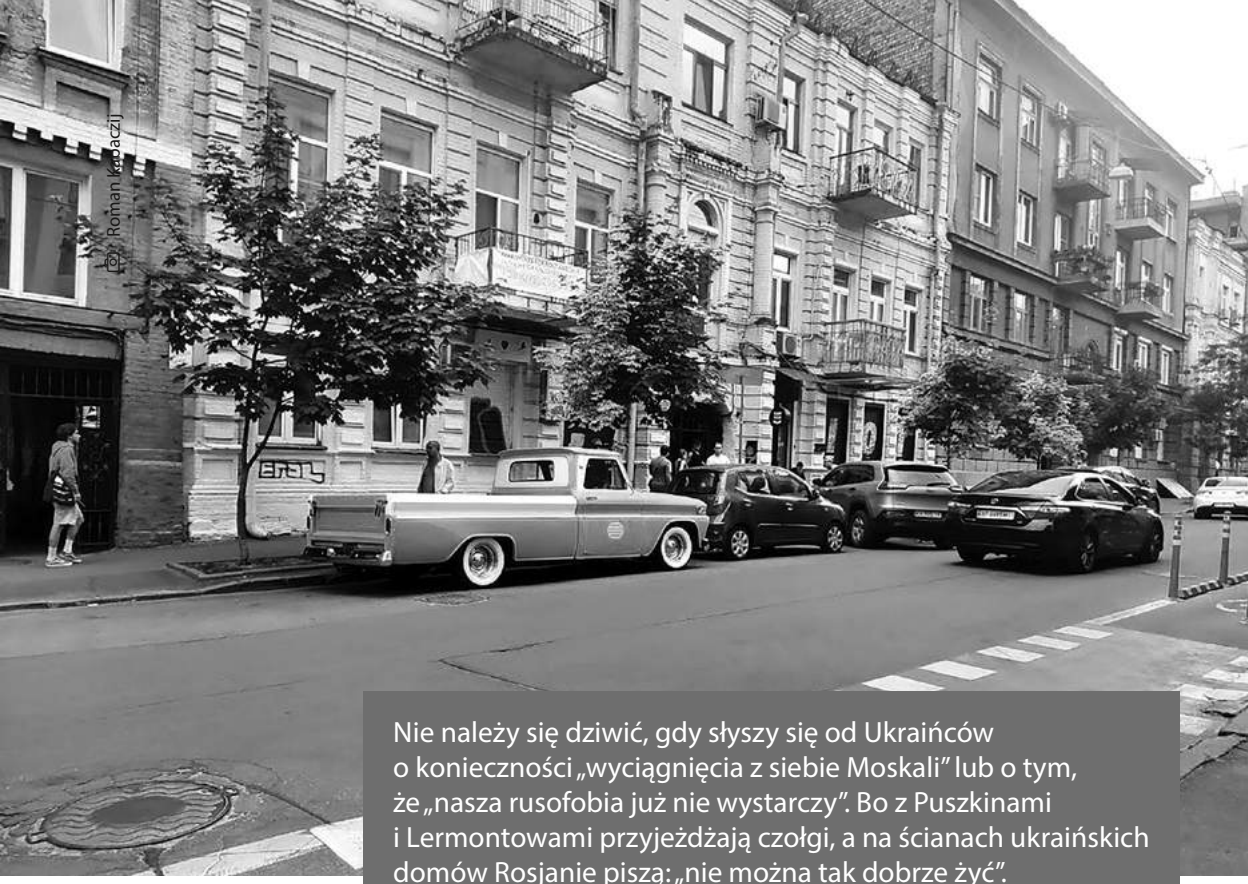
od lokalnych władz. Oczywiście w głębi Ukrainy były bardziej postępowe miasta, jak na przykład Odessa, gdzie mer Eduard Hurwic z partii Nasza Ukraina Wiktora Juszczenki nakazał w 2006 roku przeniesienie głównego pomnika Lenina z pola Kułykowa do Komsomolskiego Parku Lenina. Jednak należy pamiętać, że Hurwic wzmocnił narrację rosyjsko-imperialną w mieście, które w późniejszym czasie musiało stawić czoła dekolonizacji. Większość miast środkowej, wschodniej i południowej Ukrainy nie spieszyła się z pożegnaniem komunistycznych śladów, choć rewolucja godności wywołała nową falę „upadków Lenina". Ten proces (od niechęci usunięcia radzieckich idoli do ich pożegnania) opisała w swojej znakomitej książce *Кам'яний гість. Ленін у Центральній Україні* (Kamienny gość. Lenin w środkowej Ukrainie) historyczka Ołeksandra Gajdaj.

8 grudnia 2013 roku Lenin zleciał z cokołu na placu Besarabskim w Kijowie i został – podobnie jak kiedyś mur berliński – rozebrany na drobne kawałki – pomimo krzyków niektórych krytyków sztuki, że reprezentuje on artystyczne wartości. Lenin, stojący na rogu Chreszczatyku w Kijowie i bulwaru Tarasa Szewczenki, uosabiał poradziecki reżim Janukowycza, którego przed uczestnikami rewolucji broniły oddziały Berkutu. Po zwycięstwie Majdanu Lenin „upadał" w Chersoniu, Mikołajowie, Dnieprze, Zaporożu i innych mniejszych miastach. Rosja szybko zajęła Krym, zbuntowała obwody południowe i wschodnie oraz udało jej się oddzielić od Ukrainy jedną trzecią terytorium donieccczyzny i ługańszczyzny. W związku z tym proces spontanicznego „upadku Lenina" został wstrzymany i nie miał szans na kontynuację na terenach okupowanych. Oznacza to, że kiedy piszę te słowa latem 2024 roku, w Doniecku, Ługańsku i Symferopolu wciąż stoją Leniny!

Spadają nie tylko Leniny

Ukraina musiała zorganizować proces dekomunizacji i doprowadzić go do logicznego zakończenia na kontrolowanym przez siebie terytorium. Kluczową rolę w przygotowaniu ustaw dekomunizacyjnych odegrał ówczesny szef Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej Wołodymyr Wiatrowycz i poseł Jurij Szuchewycz, syn Romana Szuchewycza. Ustawy weszły w życie 22 maja 2015 roku – dawały sześć miesięcy na wyburzenie pomników i zmianę nazw związanych z reżimem komunistycznym. Oczywiście nie wszędzie na czas sobie z tym poradzono. Na przykład wspomniany odeski Lenin został zdemontowany z drugiego miejsca spoczynku dopiero w maju 2016 roku (przewieziono go do Muzeum Rzeźby Socrealistycznej w kompleksie etnograficznym Frumuszyka Nowa). Społeczności lokalne starały się zmieniać nazwy minimalnie lub neutralnie. Na przykład wieś Kalinińskie (od krwawego starosty ZSRR Michaiła Kalinina) zmieniono na Kalinów.

eprasa.pl 15f0aae880



fot. Roman Kabaczij

Nie należy się dziwić, gdy słyszy się od Ukraińców o konieczności „wyciągnięcia z siebie Moskali" lub o tym, że „nasza rusofobia już nie wystarczy". Bo z Puszkinami i Lermontowami przyjeżdżają czołgi, a na ścianach ukraińskich domów Rosjanie piszą: „nie można tak dobrze żyć".

Część zmian jest, moim zdaniem, nieudana – na przykład w rejonie hołoprystańskim obwodu chersońskiego znajdowała się wieś Bolszowyk. Gmina zmienia jego nazwę na Prymorske (Nadmorskie). W 2020 roku w Ukrainie przeprowadzana jest reforma polegająca na konsolidacji okręgów, rejon hołoprystański zostanie włączony do rejonu skadowskiego, który ma swoją wieś o tej samej nazwie (historyczna nazwa turecka to Karga). Poza tym wieś Prymorske znajduje się także w rejonie Kili obwodu odeskiego (nazwa historyczna Żebrijana), miasto Prymorśk w obwodzie zaporoskim (nazwa historyczna Nogaisk) i miasto Czornomorsk koło Odessy (przed dekomunizacją Illiczіwsk). I tu można prześledzić trend, którego sama dekomunizacja nie była w stanie ogarnąć – powrót do nazw historycznych, które oddawałyby specyfikę, koloryt i mozaikę danego regionu. Dlatego w środowisku eksperckim coraz częściej pojawiały się opinie, że sama dekomunizacja nie wystarczy.

Gwóźdź do trumny rosyjskiej ekspansji

Przemawiając w ramach dyskusji z okazji osiemdziesiątej rocznicy deportacji Tatarów krymskich w Muzeum Historii Ukrainy w II Wojnie Światowej, szef Medżlisu Tatarów Krymskich Refat Czubarow słusznie zauważył: „Prawo nie pozwala na

eprasa.pl 15f0aae880

zmianę toponimów nazwanych na cześć zwycięzców II wojny światowej. Ale dlaczego nasza wioska, nosząca tę nazwę od sześciuset lat, miałaby nosić imię osoby, która urodziła się gdzieś w obwodzie leningradzkim w Rosji i zginęła od nazistowskiej kuli na Krymie?". Nawet ustawa o dekolonizacji, do której społeczeństwo dojrzało już po inwazji na pełną skalę i która została uchwalona w marcu 2023 roku, nie zawiera żądania przywrócenia nazw historycznych.

Można to prześledzić na przykładzie wsi Wynohradiwka, która znajduje się w ukraińskiej części Besarabii. Wieś zamieszkują Gagauzi, grupa etniczna pochodzenia tureckiego, i w mniejszym stopniu Bułgarzy. Historyczna nazwa Wynohradiwki to Kurczu. Nie można zmienić nazwy Wynohradiwka zgodnie z wymogami prawa, gdyż nie gloryfikuje ona reżimu komunistycznego, nie niesie narracji imperialnych i nie ma w nazwie rosyjskiego pierwiastka. Dziennikarz i żołnierz Sił Zbrojnych Ukrainy (a także mieszkaniec wsi i przewodniczący gagauskiej inicjatywy społecznej) Iwan Kapsamun zaapelował do Rady Miejskiej Bolgradu, do której należy wieś, o przywrócenie jej historycznej nazwy, ponieważ po konsolidacji okręgu są w nim aż trzy (!) Wynohradiwki. Rada Miasta zgodziła się na taką propozycję, ale od razu pojawili się przeciwnicy, którzy złożyli dwa pozwy w sądzie, i na razie sprawa utknęła. Zmianę nazwy musi zatwierdzić Rada Obwodu Odessy, a następnie Rada Najwyższa. Zdaniem Kapsamuna nie powinno tak być, gdyż władze sowieckie, okupując Besarabię i Bukowinę w 1940 roku i wracając tam w 1944 roku, dopuściły się niesprawiedliwości, niszcząc niemal do szpiku kości autochtoniczną toponimię regionu. Nawiasem mówiąc, zrobiono to z zamiarem „przywrócenia sprawiedliwości historycznej". Dlatego coraz więcej znawców problemu skłania się do twierdzenia, że opinia społeczna powinna być ważna, ale nie decydująca.

Dekomunizacja nie była w stanie sprostać powrotowi do nazw historycznych, które oddawałyby specyfikę, koloryt i mozaikę danego regionu.

Reżyserka filmów dokumentalnych Żanna Maksymenko-Dowhicz, której matka pochodzi z ukraińskiej Besarabii, mówi:

– Powrót nazw historycznych powinien nastąpić. Ludzie są bierni, ale to nie znaczy, że nie należy ich słuchać, trzeba przywrócić nazwy, którymi i tak się posługują: Krywda, Kubej, Czyjszyj. Można tym ludziom pomóc.

I dodaje:

– Moi starsi kuzyni są w połowie Ukraińcami, w połowie Bułgarami. Wioska, z której pochodzą, nazywa się Czyjszyj. Należy zmienić obecną nazwę Horodnie na nazwę historyczną. To imię nie jest nawet bułgarskie – kiedy Katarzyna II pozwoliła Bułgarom i innym kolonistom osiedlić się w Besarabii, zetknęli się oni z mieszkają-

eprasa.pl 15f0aae880

cym tam ludem Nogajów. Następnie Nogajowie zostali wypędzeni, ale ich tureckie nazwy pozostały. Ta oznacza „mokrą dolinę". Widać, że rozszyfrowanie historycznej nazwy wprowadza element obecności, wzbudza zainteresowanie toponimem i historią wsi.

Jednak bardzo często nie tylko zwykli mieszkańcy, ale także przedstawiciele władz nie chcą niczego zmieniać, łatwiej jest im sabotować niezbędne zmiany, niż zgłaszać propozycje. Klasycznym przykładem tego rodzaju sabotażu jest decyzja Rady Miejskiej Wyłkowe w Besarabii z dnia 28 stycznia 2016 roku, kiedy na liście ulic, których nazwy zostały przemianowane, widnieje następująca informacja: „Zmiana nazwy ulicy 28 czerwca w Wyłkowe na ulicę 28 czerwca". Problem w tym, że 28 czerwca to dzień sowieckiej okupacji Besarabii i Bukowiny w 1940 roku, a obecnie 28 czerwca to rocznica uchwalenia konstytucji Ukrainy. Tłumacząc na język bliższy polskiemu czytelnikowi, to tak, jakby władze miasta Lwowa znalazły nowe zastosowanie dla daty 17 września (początek okupacji sowieckiej Galicji Wschodniej w 1939 roku) i pozostawiły taką ulicę na mapie miasta.

Znamienna okazała się historia pomnika Katarzyny II w Odessie (zbudowanego w 1900 roku, zburzonego przez bolszewików w 1920 roku) odrestaurowanego w 2007 roku za czasów mera Eduarda Hurwica. Oficjalnie nazywano go pomnikiem Założycieli Odessy, gdyż oprócz Katarzyny II znajdowały się na nim mniejsze postaci jej współpracowników. Tak czy inaczej, w Ukrainie wzniesiono pomnik osoby, która zniszczyła Sicz Zaporoską, instytucję hetmanatu, i w ten sposób, zdaniem Tarasa Szewczenki, „uczyniła [Ukrainę] biedną sierotą". Dopiero kilka ataków rakietowych Rosjan na Odessę, osobisty apel prezydenta Wołodymyra Zełenskiego do Rady Miejskiej z prośbą o poparcie petycji o wyburzenie tego pomnika skłoniły radnych do zrobienia tego 28 grudnia 2022 roku, jeszcze przed przyjęciem ustawy o dekolonizacji – jak zauważa ukraińska Wikipedia – w ramach derusyfikacji. Proces ten, podobnie jak „upadek Lenina", miał charakter raczej spontaniczny, objawiał się zmianą nazw ulic, toponimów kojarzonych z rosyjskimi nazwami geograficznymi, postaciami, w pewnym stopniu dotknął także białoruskie nazwy i oznaczenia, jednak ten wątek został wstrzymany.

Andrij Łochmatow, dziennikarz i działacz z Mikołajowa, twierdzi, że jesienią 2022 roku zapytał burmistrza swojego miasta Ołeksandra Sienkiewycza, co by zrobił, gdyby w Mikołajowie także stał pomnik Katarzyny II. Na co Sienkiewycz odpowiedział: „Tym problemem powinni się zająć historycy i eksperci, ja nie mam jednoznacznego stanowiska".

– On po prostu stara się nie drażnić mieszkańców miasta kategoryczną odpowiedzią. I to jest burmistrz uważany za proeuropejskiego, o statusie ukraińskiego męża stanu – mówi Łochmatow.

eprasa.pl 15f0aae880



Roman Kabaczij

Powrót nazw historycznych powinien nastąpić. Ludzie są bierni, ale to nie znaczy, że nie należy ich słuchać, trzeba przywrócić nazwy, którymi i tak się posługują: Krywda, Kubej, Czyjszyj.

A co możemy powiedzieć o działaczach miejskich, którzy rządzili tam wcześniej? Andrij twierdzi, że on sam w pewnym stopniu nie zdawał sobie sprawy z tego, co portrety rosyjskich admirałów i generałów robiły w sali posiedzeń Rady Miejskiej jeszcze w latach 2017–2018 po aneksji Krymu, choć toczyły się w niej dyskusje na ten temat.

Praktyczny wymiar dekolonizacji

W maju 2014 roku w Iwano-Frankiwsku, dokąd tymczasowo przeniesiono Chersoński Uniwersytet Państwowy, odbyła się konferencja „Polityka pamięci i upamiętnienia na południu Ukrainy", podczas której poruszano także problematykę dekolonizacji. Dziennikarz Ołeh Baturyn ujawnił zakulisowy proces „nieobecnej" zmiany nazw na obecnie okupowanych obszarach wschodniego brzegu Dniepru w obwodzie chersońskim. Istnieją oddelegowane działy administracyjne, które pracują na okupowanych terytoriach i są za nie odpowiedzialne. Część z tych działów podjęła decyzję o zmianie nazwy, co wywołało falę oburzenia i wyśmiewania w strukturach, część zaś opóźniła ten proces, otrzymując od władz regionalnych *carte blanche* na nową kadencję.

eprasa.pl 15f0aae880

W społeczności chersońskiej, która choć została wyzwolona, pozostaje pod codziennymi ostrzałami, proces dobiegł końca, jednak nie w sposób zadowalający wszystkie strony. Na przykład większość mieszkańców Chersonia opowiedziała się za przywróceniem historycznej nazwy głównej ulicy miasta na Howardiwska z alei Uszakowa. Fiodor Uszakow to rosyjski admirał związany z walkami na Morzu Czarnym, a Chersoń był jednym z pierwszych miast, w których zbudowano rosyjską Flotę Czarnomorską. John Howard z kolei był angielskim filantropem, zaniepokojonym sytuacją w rosyjskim systemie penitencjarnym oraz w miejscach zesłania – jednym z nich był Chersoń, gdzie okresowo występowały epidemie tyfusu, malarii i innych chorób. Zmarł na tyfus w Chersoniu w 1790 roku, gdzie został pochowany, a jego grób w kształcie zegara słonecznego do dziś zdobi tę główną ulicę. Ale regionalnej administracji wojskowej w Chersoniu nie spodobał się pomysł przywrócenia nazwy historycznej (być może ze względu na kontakty Howarda z Katarzyną II) i obecnie aleja została przemianowana na aleję Niezależnosti (Niepodległości), a sąsiadujący deptak Suworowa na ulicę Europejską. Nazwiska rosyjskich generałów i admirałów zostały wykorzystane przez komunistów do ugruntowania rosyjskiego mitu na południu Ukrainy, a jeszcze kilka lat temu trudno było sobie wyobrazić, że Chersoń się z nimi pożegna. Stało się to jednak „dzięki" rosyjskiej okupacji miasta. Wycofując się z Chersonia, okupanci zabrali pomnik Grigorija Potiomkina, popiersie Suworowa i pomnik Uszakowa znajdujący się w pobliżu Akademii Morskiej, który również został odrestaurowany, podobnie jak Katarzyna II Odeska, „ułatwiając" chersońską dekolonizację.

We wspomnianej konferencji w Iwano-Frankiwsku wziął także udział (online) szef administracji wojskowej wsi Nowoworoncowka Andrij Seleckyj. Powołano go na to stanowisko 28 października 2022 roku, ponieważ jest znanym dziennikarzem, wolontariuszem i historykiem lokalnym. Nowoworoncowka to jedyne dawne centrum powiatowe obwodu chersońskiego, którego Rosjanie nie byli w stanie zająć, leży tuż przy granicy obwodu z regionem dniepropietrowskim (nawiasem mówiąc, obwody dniepropietrowski i kirowohradzki nie zostały jeszcze zdekomunizowane, bo wymaga to poprawek w konstytucji). Andrij opowiedział, jak wyglądał proces zmiany nazwy w jego społeczności, gdzie nieustannie trwają prace nad zaopatrzeniem w wodę, ogrzewaniem i przezwyciężeniem skutków ostrzału.

We wsi, która w 2017 roku liczyła sześć tysięcy trzysta czterdzieści mieszkańców, przemianowano szesnaście ulic i jeden park.

– Nowoworoncowka ma dość bogatą historię i chciałbym urzeczywistnić to historyczne doświadczenie właśnie tutaj – mówi Seleckyj. – Dzielnice Mazuriwka (mieszkali tam emigranci z Wołynia), Cyganiwka i Zadwir (z oszczędności hrabiego Woroncowa) powstały pod koniec XIX wieku, nie można ich przypisać do historycznego centrum. W dość gęstym centrum znajdowały się ulice: Gagarina, Woroncowa

eprasa.pl 15f0aae880

(wcześniej Lenina, teraz też ją przemianowaliśmy), jedna z najpiękniejszych i największych ulica Suworowa, kolejna kontrowersyjna nazwa alei Karnauszenka (bohatera ZSRR, a potem przewodniczącego Rady Wiejskiej, który pełnił jednocześnie funkcję wojskową i administracyjną). Przeprowadziliśmy ankietę, w której zasugerowaliśmy inne nazwy, a także zostawiliśmy wolną kolumnę na sugestie mieszkańców. Na przykład pojawiła się propozycja nazwania ulicy Czkalowa na cześć naszego rodaka, artysty Izaaka Eisenschera, przedstawiciela narodu żydowskiego. Do 1914 roku w Nowoworoncowce mieszkało 65 procent Żydów, mieliśmy dwie synagogi. Ulica Czkalowa stanowiła granicę dzielnicy żydowskiej. Więcej o Eisenscherze dowiedzieliśmy się w 2018 roku, kiedy jego postać została wprowadzona do obiegu naukowo-kulturalnego obwodu chersońskiego. W badaniu wzięło udział zaledwie sto sześćdziesiąt pięć osób – jeśli przekaz władz nie dotyczy pomocy humanitarnej, to udział ten jest raczej słaby. Błąd, jaki popełniliśmy, polegał na tym, że nie upubliczniliśmy wyników ankiety, lecz zwołaliśmy posiedzenie komisji historyczno-toponimicznej i opublikowaliśmy zarządzenie w sprawie zmiany nazwy ulicy Nowoworoncowskiej.

Dodaje:

– Potem poszczególni ludzie zaczęli aktywnie wyrażać swój protest, i to nie mówię o ilości, ale intensywności. Grupa około pięćdziesięciu osób zaczęła krytykować nowe nazwy, popadając w przejawy szowinizmu, przede wszystkim w odniesieniu do ulicy Eisenschera. Jedna z organizacji żydowskich złożyła nawet skargę na policję w związku z antysemityzmem w publikacjach przedstawicieli tej grupy. Nawiązaliśmy z nimi dialog, a jeden z członków napisał prośbę o upublicznienie wyników badania. Rozpoczęliśmy proces od nowa. W drugim badaniu wzięły udział trzysta dwie osoby, mimo że we wsi mieszka około czterech tysięcy ludzi. Do skrzynki wrzucono dwie propozycje. W rezultacie: ulica 1 Maja została zamieniona na ulicę Mychajła Chorunżego, ukraińskiego dysydenta, pochodzącego z pobliskiej wsi Zołota Bałka; a ulica 8 Marca zamieniła się w ulicę Ingulskiej Pałanki (część administracyjna Siczy Zaporoskiej); ulica 40-lecia Zwycięstwa nosi imię 60. Brygady Piechoty Sił Zbrojnych Ukrainy, która brała udział w obronie Nowoworoncowki itd. Chcę zauważyć, że protestowano przeciwko nazwom zorientowanym na turystykę i dziedzictwo historyczne. Na przykład, kiedy zaproponowałem ulicę Thomasa Stevensona, pierwszego zagranicznego podróżnika, który w swoich notatkach wspomniał o Nowoworoncowce, ludzie zgłosili sprzeciw, twierdząc, że powinniśmy

Na terytoriach okupowanych od 2022 roku rozpoczęła się rekolonizacja – powróciły cokoły Lenina, sowieckie nazwy osiedli zdekomunizowanych w 2016 roku.

eprasa.pl 15f0aae880



Roman Kabaczij

Procesu dekolonizacji nie da się całościowo opisać choćby dlatego, że wiele rzeczy utkwiło w pamięci wychowanych na kulturze radzieckiej i rosyjskiej, na przykład cytaty z piosenek, filmów, kreskówek, które pojawiają się z przypadkowymi skojarzeniami i aluzjami.

chcieć ukraińskich nazwisk, by wyrazić szacunek i uhonorować naszych obrońców. Ale kiedy wpisałem kilka nazw brygad, to oddano głos tylko na jedną, a pozostałe nie przeszły. Historyczną nazwę Mostowa nadano ulicy Woroncowa, na której niegdyś znajdowały się trzy mosty, z których jeden przetrwał do dziś. Ulica Gagarina została przemianowana na ulicę Czerwonego Krzyża. Ulica Gorkiego nosi imię na cześć Wiaczesława Kubraka, jedynego bohatera Ukrainy z Nowoworoncowki.

Tylko na przykładzie jednej małej stepowej wioski można zrozumieć, jak obficie Ukraina była usiana rosyjskimi znacznikami. A tu i tak mamy do czynienia z menadżerem, który podchodzi do sprawy z rozwagą, stara się proponować różne nazwiska, w niektórych przypadkach idzie na kompromisy i słyszy, że „po wojnie i tak zrobimy to po swojemu".

Dlatego nie należy się dziwić, gdy słyszy się od Ukraińców o konieczności „wyciągnięcia z siebie Moskali" lub o tym, że „nasza rusofobia już nie wystarczy". Bo z Puszkinami i Lermontowami przyjeżdżają czołgi, a na ścianach ukraińskich domów Rosjanie piszą: „nie można tak dobrze żyć". Nie może być tak, że w stolicy Ukrainy jeden z głównych placów nosi imię Lwa Tołstoja, który nigdy nie był w Ukrainie, a plac Tarasa Szewczenki znajduje się na północnych obrzeżach przy wyjeździe w stronę Czarnobyla. Do niedawna Rosyjski Teatr Dramatyczny w Kijowie nosił

eprasa.pl 15f0aae880

kpiącą nazwę Łesi Ukrainki, autorki wiersza *Bojarynia*, który ujawnia obskurantyzm i stereotypizację kultury rosyjskiej.

***

Procesu dekolonizacji nie da się całościowo opisać choćby dlatego, że wiele rzeczy utkwiło w pamięci wychowanych na kulturze radzieckiej i rosyjskiej, na przykład cytaty z piosenek, filmów, kreskówek, które pojawiają się z przypadkowymi skojarzeniami i aluzjami. Wysiadając na stacjach kijowskiego metra, łapiesz się na tym, że na stacji Uniwersytet znajdują się popiersia Łomonosowa, Puszkina, Gorkiego czy Mendelejewa. Jednak udało się usunąć godło ZSRR z tarczy najwyższego w Europie kobiecego pomnika Matki Ojczyzny i zamontować siedmiometrowy tryzub, symbol Ukrainy – pomimo ogromu krytyki mówiącej: „nieważne, ile tryzubów nawieszacie, to nie pozbędziecie się sowieckości". Teraz przyjeżdżają setki ludzi, aby mu się przyjrzeć, a niektórzy za odpowiednią opłatą wspinają się nawet na platformę za jego tarczą na wysokości 92 metrów.

Dekolonizacja będzie trwała dalej, ponieważ nie rozpoczęła się na terenach okupowanych w 2014 roku. Z kolei na terytoriach okupowanych od 2022 roku rozpoczęła się rekolonizacja – powróciły cokoły Lenina, sowieckie nazwy osiedli zdekomunizowanych w 2016 roku, jak na przykład Ahajmany w rejonie azowskim obwodu chersońskiego, które Rosjanie ponownie przemianowali na Partizan.

Z języka ukraińskiego przełożyła Urszula Pieczek

Dr Roman Kabaczij jest ekspertem Muzeum Historii Ukrainy w II Wojnie Światowej.

eprasa.pl 15f0aae880

Recenzje

Nie możemy przywyknąć



Wojna 2022. Eseje, wiersze, dzienniki, wybór i opracowanie Wołodymyr Rafiejenko, Centrum Mieroszewskiego, Warszawa 2023

„My, Ukraińcy, nie mamy czasu na długie teksty – ani żeby je pisać, ani żeby czytać – teraz możemy mieć tylko fakty i świadectwa" – odnotowała 28 marca 2022 roku pisarka i dziennikarka Anastasija Ławkowa. *Wojna 2022* to mozaikowa opowieść, w której zostały zebrane fragmenty dzienników, esejów i wierszy z pierwszych miesięcy wojennych autorstwa ponad czterdziestu ukraińskich pisarek i pisarzy. Są to w większości teksty krótkie, zdające sprawę z emocji, działań i refleksji, oddające sytuację tych, którzy z dnia na dzień znaleźli się pod ostrzałem, musieli udać się na front czy stać się uchodźcami. Choć w założeniu miały pełnić przede wszystkim funkcję dokumentującą, nie można im jednak odmówić również wartości literackiej.

Lektura zbioru przenosi nas nie tylko w pierwsze dni wojny, lecz zdarzają się także fragmenty dotyczące czasu bezpośrednio ją poprzedzającego, mówiące o analizowaniu ruchów wojsk rosyjskich na granicy, kompletowaniu plecaka ewakuacyjnego, rozważaniu możliwych scenariuszy działania. Sporo pisze o tym na przykład Petro Jacenko, który w styczniu 2022 roku próbuje zajmować się końcowym etapem urządzania własnego domu, a równolegle nieustannie śledzi scenę polityczną, rozmawia o wybuchu wojny ze znajomymi, odbywa wraz z żoną Halą szkolenie z pierwszej pomocy. Przeczucie zbliżającej się katastrofy jest w nim bardzo mocne. Choć jeden z przyjaciół uspokaja go, że przecież sytuacja w Ukrainie jest inna niż chociażby kiedyś w Syrii, Jacenko stwierdza: „Nas na świecie także uważa się za »dzikich«, a w głębi serca – na zasługujących na wojnę".

Choć wojna w Ukrainie toczy się tak naprawdę od 2014 roku, to dopiero pełnowymiarowa inwazja sprawiła, że stała się czymś oczywistym. Dziennikarz Pawło Kazarin pisze o tym tak: „W 2014 roku, gdy rosyjska armia zajmowała Krym, bra-

eprasa.pl 15f0aae880

kowało właściwego zrozumienia sytuacji. Czułem, że muszę opowiedzieć ludziom, jak jest naprawdę. Dlatego pisałem artykuły, występowałem w radiu i telewizji. Natomiast w roku 2022 ważniejsze wydały mi się ćwiczenia na strzelnicy i dyżury na punktach kontrolnych. Teraz wszystko jest przejrzyste jak kryształ. Nawet jeśli trzeba coś wyjaśniać – to nie ma sensu".

24 lutego stał się dniem wielkiej mobilizacji. Jak odnotowuje Iryna Sławinska, od tego czasu „rzeczywistość trzyma się kupy tylko dzięki prostym słowom i gestom". Choć wszyscy angażują się, jak tylko mogą, to niczym refren powraca wątek poczucia winy, przekonanie, że robi się niewystarczająco. Dobrze oddają to zapiski eseistyczne Kateryny Babkiny czy dzienniki pracującej w Czerwonym Krzyżu Bohdany Romancowej, która powoli uczy się tego, co stanowi istotę dobrego wolontariatu: żeby mogła dobrze i skutecznie pomagać, musi też zadbać o siebie. Nie może sobie robić wyrzutów, że oderwała się na chwilę od pracy, żeby zaspokoić swoje podstawowe potrzeby. Wolontariat w książce zostaje ukazany jako doświadczenie uzdrawiające – pozwala choć na chwilę uwolnić się od goryczy bezradności i bezużyteczności.

Autorki i autorzy ciekawie piszą o tym, jak zmienia się mapa Ukrainy. Wojna sprawia, że tworzy się nowa geografia – taka, której nie uczono w szkole. „Teraz miejscowości będziemy rozpoznawać po wojennych bliznach. Zmieniła się nasza toponimia. Obok tego czołgu, za rosyjskimi okopami, tam gdzie stała chata babci Niny…" – odnotowuje Artem Czech. Dawną moc utraciło także niebo, kiedyś spokojne, dające wytchnienie. Jak pisze poetka Kateryna Kałytko: „Nigdy już nie będzie cicho i ciemno/ po tym jak tu nocami płonęła Europa. (…) Po wrzącej w ludzkich źrenicach wodzie/ nie będzie już niewinnego nieba".

Choć wojna zmienia wszystko, autorki i autorzy zwracają uwagę na to, że aby przetrwać, nie można całkowicie porzucić dotychczasowego życia. To wydaje się jednym z największych wyzwań. Tak to ujmuje Sofija Andruchowycz: „Trudno uwierzyć, że trochę więcej niż tydzień temu żyliśmy zwyczajnym życiem. Trzeba wysiłku, żeby przypomnieć sobie, jakie to życie było i że było w ogóle. Ale nie można sobie pozwolić, by to zapomnieć, bo inaczej się nie przeżyje. A powinniśmy przeżyć".

Jednym z aspektów, który przybliża do poprzedniego życia, jest właśnie pisanie. Nie jest ono jednak proste, często bowiem wiąże się z syndromem ocalońca i budzi poczucie winy. Czy można pisać o wojnie, skoro nie walczy się na pierwszej linii frontu? Czy istnieją w ogóle słowa, które mogłyby nazwać to, co niewyrażalne? Ołeksandr Myched zapytuje: „Drogi Adorno, my kiedyś znaleźliśmy odpowiedź na twoje pytanie: »Czy jest możliwa sztuka po Auschwitz?«. Ale czy ty znalazłbyś odpowiedź na pytanie: »Czy są możliwe słowa po Buczy?«".

Równocześnie wojna na szczęście nie zabija wśród ukraińskich twórczyń i twórców poczucia, że nie tylko należy doku-

eprasa.pl 15f0aae880

mentować, lecz także wierzyć w ocalającą moc sztuki, bo jak pisze Julia Musakowska w jednym ze swoich wierszy: „Nasze słowa, twarde i wypukłe od złości,/ czarne od rozpaczy,/ jak betonowy strop dawnego schronu./ Nie ma niczego trwalszego od nich/ niczego bardziej nieprzemijającego".

Ostap Sływynski w eseju *Mocne słowa* opowiada o tym, że zaczął układać *Słownik wojny*, gdzie pokazuje, jak poszczególne wyrazy ulegają redefiniowaniu. „Pewne zwykłe słowa w czasie wojny stają się heroiczne i ważne, jak prościutkie skody i volkswageny, którymi wolontariusze dostarczają na front kamizelki kuloodporne, żywność i leki" – pisze. W jego słowniku nie ma słowa „pokój", gdyż, jak wyjaśnia, wszyscy marzą o zwycięstwie. Pokój w obliczu zaistniałej sytuacji byłby półśrodkiem, byłby oszustwem.

Znamienny jest fakt, że wśród autorek i autorów antologii znalazły się dwie osoby, które straciły życie na skutek działań wojennych. Zbiór otwiera dziennik twórcy literatury dziecięcej Wołodymyra Wakułenki, który został wraz z synem zatrzymany przez Rosjan w marcu 2022 roku w okolicach Iziumu, a po półrocznych poszukiwaniach jego ciało znaleziono w masowym grobie. Przed porwaniem zdążył zakopać swoje zapiski w ogrodzie. Odnalazła je dokumentująca zbrodnie wojenne pisarka Wiktoria Amelina, która w czerwcu 2023 roku została ciężko ranna podczas ataku rakietowego w Kramatorsku. Zmarła kilka dni później, 1 lipca, w rocznicę urodzin Wakułenki.

Te wydarzenia uświadomiły twórcom antologii, że trzeba działać, zebrać rozproszone zapiski i wydać je, by udokumentować najnowszą historię Ukrainy, która przecież pisze się tu i teraz, na naszych oczach. Choć w polskich wiadomościach nadal słyszy się o wojnie, raczej została ona przesunięta na dalszy plan. Mniej myślimy o niej na co dzień, mniej angażujemy się w działania pomocowe, zdaje się, że temat został wręcz oswojony. Tymczasem antologia *Wojna 2022* przypomina, że wojna jest żywiołem, do którego nie można przywyknąć. „Jest strach, bo wojna. Po prostu strach, bo jest wojna i życie się nie unormuje. Nie możesz dać sobie z tym rady, zżyć się, przestawić, nie możesz" – zapisuje Łarysa Denysenko. Ten stan nadal trwa.

Ilona Klimek-Gabryś

Chce mi się pisać, ale trzeba kopać okopy



Siergiej Siergiejewicz „Sajgon", *Brud [*khaki]*, przeł. Aleksandra Brzuzy, Wydawnictwo Ha!art, Kraków 2024

„Pisałem prostymi słowami i szczerze. To prawda dla tych, którzy nie widzieli wojny, a gorzki uśmiech dla tych, którzy widzieli brud Donbasu. Błoto koloru khaki" – tak zaczyna się książka *Brud [*khaki]* Siergieja Siergiejewicza „Sajgona".

eprasa.pl 15f0aae880

Prawdziwe nazwisko autora to Leszczenko, ale postanowił posługiwać się frontowym pseudonimem „Sajgon". Cztery lata temu jego powieść *Jupak* stała się literackim objawieniem, zdobywając nagrodę ukraińskiej redakcji BBC dla najlepszej książki 2020 roku. Uwagę krytyków zwrócił nie tylko barwny styl i obyczajowy koloryt, ale też dialekt, w którym opisał życie wioski z okolic Dnipra na przełomie ery internetu. Surżyk, bo o nim mowa, powstał w czasach imperium carskiego jako mieszanka języka ukraińskiego i rosyjskiego. Do dziś używany jest przez wielu mieszkańców prowincji na południu i wschodzie Ukrainy. „Sajgon", rodem ze wsi w obwodzie dniepropietrowskim, pisze wyłącznie w tym dialekcie i po rosyjsku, a następnie jego książki przekłada na ukraiński Wiktoria Nazarenko. Z tego między innymi powodu poza zachwytami budził czasem oburzenie nacjonalistów, którzy zarzucali mu brak językowego patriotyzmu.

„Ktoś słyszał o tym bydlactwie w moskiewsko-surżyckim języku? Jeśli chcesz klasycznego wyrodka słowa – Oto on!!!" – tak niedawno zabita w wyniku ostrzału Iryna Farion, doktor filologii ukraińskiej i znana wielbicielka Stepana Bandery ze Lwowa, komentowała nagrodę BBC dla „Sajgona".

Książka *Brud [*khaki]*, która właśnie ukazała się w Polsce, to jego pierwsza zagraniczna edycja. Na polski udanie przetłumaczyła ją Aleksandra Brzuzy, co nie było łatwe, biorąc pod uwagę językową mieszankę w oryginale. Sam autor odżegnuje się często w wywiadach od miana pisarza. Z wykształcenia jest politologiem, jako trzydziestolatek zgłosił się do wojska, a następnie trafił na ukraińsko-rosyjski front w Donbasie. Służył tam od sierpnia 2015 do października 2016 roku, zdobywając od podstaw bojowe szlify. Najdłużej był zwiadowcą w oddziale górskiej brygady szturmowej, zajmował się rozpoznaniem pozycji wroga. Dwa lata po demobilizacji opisał swoje wojenne doświadczenia.

Tytułowe „brud" i „khaki" to synteza i metafora frontowego życia, w którym króluje prosty, dosadny język i surowe warunki egzystencji. Przez dziesięć lat wojny w Ukrainie powstało całkiem sporo książek, które napisali weterani walk z Rosjanami. Dzieło „Sajgona" wyróżnia się jednak oryginalnym stylem, niezwykłym zmysłem obserwacji, brutalną szczerością, a nierzadko też czarnym humorem. Sam autor zaprzecza, aby jego książka była dziełem literackim. Pisanie po prostu pozwala mu nie zwariować. Jest rodzajem psychicznej autorehabilitacji, audytem traumatycznych przeżyć, których doświadczył wraz z innymi żołnierzami. Większość walczących na froncie to młodzi mieszkańcy ukraińskiej prowincji – wsi i miasteczek. Oni też do dziś stanowią główny rezerwuar poborowych. Nieliczni zgłaszali się na ochotnika do służby kontraktowej w armii. Wielu próbowało na wszelkie sposoby uniknąć munduru.

„Para spoconych bab po czterdziestce i ich dwudziestopięcioletnich dzie-

eprasa.pl 15f0aae880

ci, posłusznie siedzących na krzesłach, czekających, aż matki posmarują komu trzeba. Matki pochylały się nad oknem tej »recepcji« wojskowego punktu poborowego i głośno nawijały o zapaleniu trzustki, dwóch tuzinach świń, nieletnich wnukach, znowu o trzustce, studiach (…)" – tak Sajgon opisuje to, co zobaczył, kiedy pierwszy raz zgłosił się do wojska w 2015 roku. „Przejebane, banderowcy nawymyślali, a my musimy umierać…", „Jeden chuj, mieszkałem na budowach, a tak pójdę, może się czegoś nauczę…", „Mam krwawiący wrzód i opadnięte nerki…", „Kto będzie karmić moje dzieci?…" – cytuje zasłyszane słowa poborowych.

Zdecydowaną większość opowiadań w książce oparł na własnych doświadczeniach. Bohaterami są koledzy z oddziału („zwykli ludzie w niezwykłych warunkach"). Żadnemu (jak twierdzi) nie dał przeczytać tekstu przed wydaniem. Nie prosił o konsultacje. „Wyobraźcie sobie… Tysiące zwykłych mężczyzn wykonuje po prostu rutynową pracę wojskową, dzięki której istnieje wokół was ten piękny świat".

Kolejne rozdziały to zamknięte opowieści, w których akcje bojowe mieszają się z codzienną nudą i rutyną frontowego życia, gdzie częściej walczy się z chmarami komarów (latem) i mrozem (zimą) niż z „małpiszonami", jak ukraińscy żołnierze nazywają rosyjskich separatystów. Czasem można odnieść wrażenie, że „wojna to w przeważającej mierze takie spokojne chwile i picie herbaty z pierdoleniem przy ognisku". Ale to tylko pozór – zastrzega „Sajgon". W każdej chwili jeden wystrzał może zakończyć czyjeś życie.

Autor jak ognia unika patetycznych opisów śmierci czy bohaterstwa na wojnie. Wręcz przeciwnie. Stwierdza na przykład, że „uwielbia strzelanki na krótki dystans, najlepiej w lesie". „To ataki z AGS nie wiadomo skąd. Takie akcje zawsze zapadają w pamięć…" – czytamy. „To ujadający pod blindażem pies, to jaskółka lecąca zgodnie z kierunkiem twojej bezłuskowej amunicji. To koleś w kapciach, wściekle napierdalający z PKM-u, który mówi: »Macie swoją wojenkę, chcieliście karabiny, to macie z karabinu«. To jest zajebiste".

Wojna w jego relacji to na wskroś męska sprawa. Nie ma miejsca na mazgajów i pięknoduchów, choć bywają też tacy, którzy nie palą, nie piją, a dają radę na pierwszej linii frontu. Proste chłopaki zwykle lepiej adaptują się do wojskowej dyscypliny i prymitywnych warunków niż ich wykształceni rówieśnicy z dużych miast. Szacunek „Sajgona" budzą ci, którzy nie pękają pod ostrzałem, a także dowódca, który z sadyzmem musztruje podkomendnych, by dzięki temu mogli dłużej pożyć. Kobiety, jeśli pojawiają się w opowieściach, to jako żona, która przez telefon informuje go, że chce się rozwieść; atrakcyjna pani porucznik, która przyjeżdża na intymne spotkanie z żołnierzem poznanym przez internet; w końcu prostytutka przyjmująca pijanych, młodych wojaków w swojej brudnej, śmierdzącej chałupie.

eprasa.pl 15f0aae880

Śmierć to codzienność na froncie. Po pewnym czasie nie robi wrażenia. Strach przed nią przeszkadza w walce. Kiedy człowiek pokona go w sobie, wtedy staje się prawdziwym żołnierzem. Nie po przeszkoleniu w koszarach i na poligonie, ale w starciu z wrogiem. „Na ziemi były dwa ciała, jedno zawieszone na uszkodzonym granatem trójnogu na środku pomieszczenia, drugie leżało na boku przy wejściu do bunkra. Oba z ranami postrzałowymi i odłamkowymi, co było nie do pogodzenia z życiem. W środku śmierdziało trotylem, krwią, jakąś kiszoną kapustą oraz żelazem. Wokół było mnóstwo ikon na kartkach A4 i było bosko (no co, pomogło wam prawosławie?)" – opisuje „Sajgon" zdobyty bunkier separatystów.

Nie kryje, że jest ateistą. Z ironią wspomina kolegę z oddziału, który modlił się pod ostrzałem:

> Jezu Chryste, Najświętsza Bogurodzico…
> Łup... Łup... Łup...
> – Trzydzieści trzy i wszystko obok – policzy Kajman.
> – To dlatego, że się modlę – powie Głowa.
> – A ja z jakiegoś powodu myślałem, że to dlatego, że piechota wykopała tę transzeję.
> – Nie, dlatego, że Głowa się modli, transzeja to chuj – zachichoczę.

„Sajgon" zakończył służbę wojskową po ponad roku w strefie ATO (Antyterrorystycznej Operacji), jak władze ukraińskie nazywały tereny walk w Donbasie. Ponownie włożył mundur 24 lutego 2022 roku, czyli po inwazji Rosji na Ukrainę. Bronił między innymi okręgu kijowskiego. Od ubiegłego roku pracuje jako instruktor szkolenia wojskowego. Obecna wojna – w jego opinii – różni się od wcześniejszej przede wszystkim skalą, sprzętem i dynamiką. W wywiadach zauważa jednak, że kiedy odepchnięto wroga spod Kijowa i ustabilizował się front na wschodzie i południu, wielu mieszkańców Ukrainy zaczęło ponownie traktować konflikt jako coś odległego, co ich bezpośrednio nie dotyczy. Przyznaje, że do armii nie garnie się inteligencja i klasa średnia. Jak dawniej, zdecydowana większość żołnierzy to gorzej wykształceni, biedniejsi mieszkańcy ukraińskiej prowincji. Sam nie zamierza na razie wracać do cywila. „Chce mi się pisać, ale trzeba kopać okopy" – wyznał w wywiadzie dla BBC Ukraina.

Ireneusz Dańko

Amerykanie w Bololandzie



Douglas Smith, *Rosyjska misja. Zapomniana opowieść o tym, jak Amerykanie uratowali Związek Sowiecki przed upadkiem*, przeł. Łukasz Muller, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2024

Bolszewicka Rosja nie przetrwałaby, gdyby nie amerykańska pomoc w czasie wielkiego głodu na początku lat dwudziestych XX wieku – pisze Douglas Smith w swojej ostatniej książce. Nawet jeśli przesa-

eprasa.pl 15f0aae880

dził z tytułową tezą, to z pewnością akcja Amerykanów pozwoliła uratować przed śmiercią miliony ludzi.

Tę książkę czyta się jednym tchem. Błyskotliwie napisana, stylem, którego nie powstydziłby się pisarz sensacyjnych powieści, odsłania zapomniane wydarzenia z początku Związku Radzieckiego. Wojna domowa, która wybuchła po bolszewickim przewrocie, kompletnie zrujnowała rosyjską gospodarkę. Przymusowe rekwizycje na wsi wywołały najpierw wielkie powstania chłopskie (krwawo stłumione przez Armię Czerwoną), a potem ograniczenie zasiewów, bo ludzie nie widzieli sensu upraw, gdy większość plonów i tak musieli oddawać państwu. W latach 1920–1921 doszła do tego klęska nieurodzaju spowodowana suszą, która dotknęła znaczne obszary kraju. I tak wybuchła klęska głodu, której rozmiary przeraziły nawet Lenina i jego towarzyszy z komunistycznej partii.

Mroczne nastały dni

Autor książki *Rosyjska misja. Zapomniana opowieść o tym, jak Amerykanie uratowali Związek Sowiecki przed upadkiem* to wybitny znawca historii Rosji, niegdyś osobisty tłumacz z języka rosyjskiego prezydenta Ronalda Reagana. Wielokroć tam jeździł, badając archiwa. Wcześniej wydał między innymi biografię Rasputina i opisał upadek rosyjskiej arystokracji. W swoim ostatnim dziele już na wstępie nie żałuje drastycznych opisów i zdjęć, by przedstawić rozmiary tragedii, która dotknęła byłe carskie imperium i skłoniła Amerykanów do największej operacji humanitarnej. Cytuje chociażby sowiecką prasę, która po początkowym milczeniu o głodzie i krótkich notkach o „problemie żywnościowym na froncie rolniczym" zaczęła publikować wstrząsające relacje. Nawet bolszewicki działacz Władimir Antonow-Owsiejenko, przywykły do okrucieństwa (odpowiedzialny między innymi za krwawą rozprawę z chłopskim powstaniem w rejonie Tambowa), alarmował, że głód ogarnął całą gubernię samarską i oszalałe matki zabijają dzieci, by nie patrzeć na ich śmierć głodową. Nie brakowało też doniesień o kanibalizmie, którego dopuszczali się zdesperowani ludzie. Sowiet powiatu usmińskiego zawiadamiał na przykład o kobiecie, która poćwiartowała zwłoki jedenastoletniego chłopca i ugotowała je w dużym kotle. Lekarz i poeta amator Lew Wasilewski ustalił kilkaset podobnych przypadków. W swej broszurze wspominał o trzech nastolatkach z guberni ufijskiej, którzy zwabiali małe dzieci do chaty na uboczu wioski, udusili je, poćwiartowali, a następnie ugotowali i zjedli.

Coraz gorsza sytuacja skłoniła w końcu władze ZSRR, by wystąpić o pomoc do znienawidzonych kapitalistów. Oficjalne apele o żywność dla głodujących dzieci wystosowali prawosławny patriarcha Rosji Tichon oraz pisarz Maksym Gorki, przyjaciel Lenina i pierwszoplanowa postać sowieckiej literatury: „Do wszystkich uczciwych ludzi (…). Mroczne dni nastały w ojczyźnie Tołstoja, Dostojewskiego, Mendelejewa, Pawłowa, Musorgskiego,

eprasa.pl 15f0aae880

Glinki i innych cenionych w świecie postaci (…). Proszę wszystkich uczciwych Europejczyków i Amerykanów o niezwłoczną pomoc dla narodu rosyjskiego. Dajcie nam chleba i lekarstw" – to fragment apelu Gorkiego, który 22 lipca 1921 roku opublikowała amerykańska prasa. Tekst dotarł między innymi do Herberta Hoovera, sekretarza handlu w rządzie Stanów Zjednoczonych. Dwa lata wcześniej przekonał on prezydenta do utworzenia Amerykańskiej Administracji Pomocy (American Relief Administration, ARA), by pod jego kierownictwem prowadziła akcje humanitarne w trzydziestu dwóch krajach zniszczonych wojną (między innymi w Polsce). Antykomunista Hoover wspierał białych Rosjan w walce z bolszewikami, za co dostał nawet list z podziękowaniem od generała Nikołaja Judenicza. Mimo to napisał do sekretarza stanu Charlesa Evansa Hughesa: „Jestem głęboko przekonany, że powinniśmy przyjść z pomocą tym dzieciom, a także zapewnić im jakąś pomoc medyczną". Nakazał też wstrzymać operacje ARA w innych krajach, by przekierować zapasy do głodującej Rosji. „Jego motywy były dwojakie: pragnął zwalczać zarówno głód, jak i bolszewizm – pisze Douglas Smith. – W razie upadku lub obalenia sowieckiego rządu chciał być gotowy, żeby pokazać Rosji dobrą wolę narodu amerykańskiego".

Hoover uzależniał pomoc dla miliona głodujących dzieci od spełnienia kilku warunków, w tym wystosowania oficjalnej prośby przez sowiecki rząd, uwolnienia amerykańskich więźniów i zapewnienia swobody działania pracowników ARA. Państwo sowieckie miało też pokryć koszty wewnętrznego transportu, magazynowania i obsługi dostaw. Dwa dni po swoim piśmie do Gorkiego dostał odpowiedź Lwa Kamieniewa, bliskiego współpracownika Lenina i szefa Komitetu Pomocy Głodującym, że komunistyczne władze przyjmują ofertę pomocy. Negocjacje dotyczące zasad, na których miała opierać się cała operacja, trwały dwa tygodnie. Część bolszewickich władz, a także lewicowych Amerykanów nie kryła obaw, że humanitarna akcja może prowadzić do obalenia rządu sowieckiego poprzez przejęcie kontroli nad dostawami żywności. Z drugiej strony antykomunistyczna prawica oskarżała Hoovera, że chce pomagać komunistycznym władzom, zamiast czekać na ich upadek w wyniku klęski głodu. Porozumienie umożliwiła deklaracja, że ARA nie zatrudni nie-Amerykanów bez zgody władz sowieckich i zwolni podejrzanych o działalność polityczną lub kontrrewolucyjną. Sowieci mogli wydalić z kraju każdego przyłapanego na tym pracownika, a także przeszukiwać pomieszczenia, gdzie doszło – ich zdaniem – do przestępstwa. Trzy dni później Lenin wysłał tajny list do Mołotowa: „W konsekwencji porozumienia (…) stoimy w obliczu przyjazdu Amerykanów. Musimy zadbać o właściwy nadzór i wywiad".

Tak też się stało, o czym w następnych dwóch latach przekonali się uczestnicy akcji pomocowej. Sowieckie władze starały się też cały czas pomniejszać rolę ARA. W tym celu stworzyły między inny-

eprasa.pl 15f0aae880

mi Międzynarodowy Robotniczy Komitet Pomocy Głodującym w Rosji (Mieżrabpom) i nagłaśniały szeroko akcję Fridtjofa Nansena, działacza społecznego i Wysokiego Komisarza Ligi Narodów do Spraw Uchodźców, który jako szef Międzynarodowego Komitetu Pomocy Rosji koordynował zbiórki Czerwonego Krzyża i innych organizacji humanitarnych w ponad dwudziestu krajach. Norweg nie stawiał żadnych warunków, dary przekazywał bezpośrednio sowieckiemu rządowi, który dzielił je według własnego uznania. Smith zaznacza, że efekty równoległych akcji pomocowych były skromne i w porównaniu z amerykańską misją stanowiły jedynie jej dziesiątą część. Dodaje też, że niektórzy na Zachodzie uważali Nansena za „naiwne narzędzie sowieckiego reżimu". Przesadne wyrazy uznania, jakimi go obsypywano (w 1922 roku otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla), doprowadzały wręcz do szału ludzi z ARA.

Nieznany, tajemniczy kraj

Pierwsi Amerykanie dotarli do Moskwy pod koniec sierpnia 1921 roku. W większości młodzi mężczyźni mieli zwykle za sobą służbę wojskową podczas I wojny światowej. Udział w rosyjskiej misji traktowali często jak szansę na przygodę w nieznanym, tajemniczym kraju. Garstka znała miejscowy język. Nietypowy pod tym względem był Frank Golder, urodzony w Odessie profesor Uniwersytetu Stanforda, który z ramienia ARA miał ocenić rozmiary klęski głodu, a przy okazji zbierać materiały historyczne do pracy naukowej o Rosji. Kilka dni po jego przyjeździe przypłynął z Hamburga do Piotrogrodu pierwszy statek z ładunkiem siedmiuset ton racji żywności. Wkrótce otwarto tam pierwszą kuchnię ARA. „Racje żywnościowe składały się z wysokokalorycznych produktów łatwych do zapakowania oraz nadających się do dłuższego przechowywania, zazwyczaj były to: grys kukurydziany, ryż, biały chleb, smalec, cukier, mleko skondensowane i kakao" – wylicza Smith.

W tym samym czasie miliony ludzi w strefie głodu jadły wszystko, co mogło zapchać puste żołądki: mieloną trawę, chwasty, liście, żołędzie czy korę z drzew. Wstrząsające wrażenie na Amerykanach robiły objazdy po rosyjskiej prowincji. Wychudłe trupy ludzi na ulicach, nędzne sierocińce, w których gnieździły się setki głodnych i chorych dzieci. Pociągi, którymi podróżowali, potrzebowały nieraz tygodnia, aby pokonać trasę kilkuset kilometrów. Zwykle były oblepione uchodźcami, którzy uciekali przed głodem.

„Widząc Rosję, człowiek ma ochotę też umrzeć. Na próżno zadaje sobie pytanie, gdzie podziali się zdrowi mężczyźni, piękne kobiety, życie kulturalne. Wszystko to zniknęło, a zamiast tego mamy głodujące, obdarte, wymizerowane istoty, które myślą tylko o jednym: skąd wziąć kawałek chleba" – pisał Golder do kolegi z Wydziału Historii Uniwersytetu Stanforda.

Jednocześnie w Rosji pracowało około dwustu Amerykanów. Zdecydowaną większość z kilkudziesięciu tysięcy zatrudnionych przez ARA stanowili miej-

eprasa.pl 15f0aae880

scowi, dla których była to jedyna szansa na zarobek i uniknięcie głodu. Jej lokalne komitety prowadziły kuchnie w setkach wsi i miasteczek. Wielu pracowników biur należało do dawnej carskiej elity, którą bolszewicka rewolucja strąciła na dół drabiny społecznej.

Olbrzymia skala potrzeb sprawiła, że cele misji szybko rozszerzono ponad pierwotnie zakładaną liczbę miliona dokarmianych dzieci. Już w październiku ruszył dodatkowy program paczek żywnościowych. Za pośrednictwem biur na Zachodzie można było zapłacić za dostarczenie komuś w Rosji pudła z prawie 55 kilogramami mąki, ryżu, tłuszczów, cukru i mleka skondensowanego w puszkach. Każde kosztowało 10 dolarów – ponad 2 dolary więcej niż wartość artykułów. Zysk ARA wspomagał akcję żywienia dzieci.

„Nigdy nie sądziłem, że na świecie może istnieć tyle nieszczęścia na tak niewyobrażalną skalę" – pisał w liście do matki dwudziestoośmioletni J. Rives Childs.

Sowieckie władze były pod wrażeniem działań ARA. Smith cytuje między innymi list Lenina do Ludowego Komisarza Spraw Zagranicznych Gieorgija Cziczerina: „Porozumienia z Amerykanami i ustępstwa wobec nich są dla nas niezwykle ważne: dzięki Hooverowi coś mamy (i to niemało)". Równocześnie jednak cały personel ARA pozostawał pod stałą kontrolą sowieckiej Służby Bezpieczeństwa.

„Z naszych informacji wynika, że Amerykanie wciągają do swojej organizacji elementy antyradzieckie, angażują się w szpiegostwo w celu zbierania informacji na temat Rosji i skupują kosztowności" – raportowano 25 października 1921 roku. W ślad za tym szły aresztowania części miejscowych pracowników. Tylko niektórych – po amerykańskich protestach – wypuszczono na wolność.

„Czuję, jakby wisiał nade mną miecz" – skarżył się Golder, którego z racji pochodzenia z Odessy podejrzewano o szpiegostwo i nie spuszczano z oka. Czterdziestoszścioletni historyk narzekał na jeszcze jedno: hulaszczy styl życia części młodych pracowników ARA. Korzystając z uprzywilejowanej roli, czuli się czasem jak królowie życia w „Bololandzie" (tak prywatnie nazywali sowiecką Rosję). Mieszkali w dawnej rezydencji Siergieja Szczukina, znanego kolekcjonera dzieł sztuki. Nocami często odbywały się tam huczne imprezy, podczas których odreagowywali stresujące obowiązki. Nie brakowało też intymnych związków z rosyjskimi współpracownicami. Amerykanie dla zdeklasowanych arystokratek byli namiastką, a czasem i przepustką do lepszego świata. Nie kryli zauroczenia atrakcyjnymi „Madames Butterflies", jak o nich mówili. Prawie co dziesiąty, według wyliczeń Smitha, ożenił się z Rosjanką. Golder nazywał takie wybranki „głodowymi pannami młodymi". Niektóre romanse skończyły się, niestety, dramatami, w tym samobójstwem porzuconej kobiety.

Masy pracujące dziękują USA

Kulminacja operacji ARA nastąpiła latem 1922 roku. W sierpniu żywiono codziennie co czwartego mieszkańca stre-

eprasa.pl 15f0aae880

fy głodu, co dawało prawie 10,5 miliona ludzi. Zorganizowano też masowe szczepienia przeciw cholerze, tyfusowi i ospie. Kiedy w rejonie nadwołżańskim wybuchła epidemia malarii, ARA wysłała 120 tysięcy podskórnych dawek chininy oraz 500 tysięcy tabletek i 140 kilogramów tego związku w postaci sypkiej. Z amerykańską pomocą czyszczono i budowano wodociągi, remontowano szpitale, drogi, linie kolejowe i mosty, które po wojnie domowej były w większości zrujnowane. Nic dziwnego, że dobroczyńcy budzili fascynację na rosyjskiej ulicy. Reprezentowali nie tylko wielką humanitarną organizację, ale też atrakcyjny styl życia w sowieckiej Rosji, której władze poluzowały na pewien czas system, aby wydobyć gospodarkę z kryzysu w ramach Nowej Polityki Ekonomicznej.

30 lipca 1922 roku Maksym Gorki napisał do Hoovera: „Wasza hojna pomoc jest godna najwyższych pochwał. W ciągu ostatniego roku uratowaliście od śmierci trzy i pół miliona dzieci, pięć i pół miliona dorosłych, piętnaście tysięcy studentów, a teraz dodaliście jeszcze dwustu lub więcej Rosjan reprezentujących wolne zawody (…), w historii praktycznego humanitaryzmu nie znam żadnego czynu, który pod względem wielkości i hojności można by porównać do pomocy, którą zapewniliście".

Sowiecki rząd uczcił pierwszą rocznicę misji ARA w Rosji występem tancerzy Teatru Bolszoj i koncertem kwartetu Stradivarius. Były podziękowania i wzajemne słowa sympatii, które Amerykanie skierowali między innymi do Feliksa Dzierżyńskiego (poza bezpieką nadzorował też transport). W tym samym czasie jego tajne służby pisały w wewnętrznym raporcie: „Z materiałów będących obecnie w posiadaniu GPU wynika jasno, że poza pomocą dla głodujących w Rosji ARA pracuje nad innymi celami, które nie mają nic wspólnego z humanitarnymi ideałami ani z filantropią".

W miarę poprawy sytuacji gospodarczej i wygasania głodu sowiecki rząd coraz mniej liczył się z Amerykanami. Nasilała się za to kampania przeciw zagranicznej pomocy. „Bomba" wybuchła 6 listopada 1922 roku, gdy władze ZSRR ujawniły, że wyeksportują zboże za 50 milionów dolarów, aby zdobyć pieniądze na zakup zagranicznych maszyn. Hoover uznał, że czas zakończyć misję, skoro kraj, do którego dostarcza za darmo żywność, chce ją sprzedawać. 13 czerwca 1923 roku przypłynął do Rygi statek z ostatnim transportem, a w kolejnych dniach zorganizowano pożegnalne bankiety z udziałem sowieckich notabli i kierownictwa ARA.

„Rada Komisarzy Ludowych w imieniu milionów, które zostały ocalone, jak również mas pracujących Rosji Radzieckiej i Republik Związkowych, ma zaszczyt wyrazić przed całym światem swoją najgłębszą wdzięczność dla tej organizacji, dla jej przywódcy Herberta Hoovera, jej przedstawiciela w Rosji pułkownika Haskella i wszystkich jej pracowników, oraz oświadczyć, że narody Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich nigdy nie zapomną pomocy, którą okazał im

eprasa.pl 15f0aae880

naród amerykański za pośrednictwem ARA, i uznaje w tej pomocy gwarancję przyszłej przyjaźni między obydwoma narodami" – napisano w oficjalnym podziękowaniu. Wbrew tej deklaracji amerykańska pomoc szybko poszła w zapomnienie. Pamięć o niej nie była wygodna dla władzy głoszącej antykapitalistyczne hasła. Po wyjeździe Amerykanów ruszyły aresztowania miejscowych współpracowników. Dekadę później, kiedy stalinowska kolektywizacja doprowadziła do kolejnej klęski głodu (głównie w Ukrainie), nikt już nie myślał, by apelować o amerykańską pomoc. Zmarło wówczas od sześciu do dziesięciu milionów osób. W kolejnych latach sowiecka propaganda milczała o ARA lub co najwyżej dawała jako przykład działalności szpiegowskiej i sabotażowej.

Ireneusz Dańko

eprasa.pl 15f0aae880

REKLAMA



REZYDENCJE TRANSLATORSKIE

Tłumaczu, tłumaczko! Zamieszkaj i pracuj w Zamku na Wodzie w Wojnowicach! Do 9 października przyjmujemy zgłoszenia do programu rezydencyjnego.

Więcej na stronie kew.org.pl

Co-funded by the European Union

More information
www.archipelagos-eu.org

eprasa.pl 15f0aae880

W numerze między innymi:

Trafił do nas mężczyzna z Ukrainy. Był torturowany i przetrzymywany w piwnicach, uszkodzono mu zęby, ma zaburzenia widzenia, ale nie prosił nas o żadną pomoc. Ci ludzie nawet nie zdają sobie sprawy z tego, że mają jakieś prawa – o pomocy ofiarom rosyjskich tortur opowiada **Elena Wasylew**, ekspertka Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

Jak opowiedzieć dzieciom o wojnie, zastanawia się ukraińska pisarka, **Olga Rusina** – Ukraińscy twórcy literatury dziecięcej wciąż szukają odpowiedzi na pytanie, jak pisać, żeby nie straszyć, nie traumatyzować, lecz edukować, łagodzić ból i... przygotować najmłodszych na kolejne lata wojny.

Ponadto: **Roman Kabaczij** o dekomunizacji Ukrainy, **Ireneusz Dańko** o „świętej wojnie" patriarchy Cyryla i prezydenta Putina w Ukrainie, **Wojciech Wojtasiewicz** – Gruzja w objęciach Rosji.

KEW
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego we Wrocławiu

eprasa.pl 15f0aae880